WIELCY DUCHEM

OPOWIADANIA O WIELKIEJ WOJNIE W OBRONIE OJCZYZNY



WYDAWNICTWO LITERATURY W JĘZYKACH OBCYCH
MOSKWA 1944

SPIS RZECZY



А7580 Подписано к печати 24/III 1944 г. Зак. 807
Объем $8^1/_4$ п. л. Формат $84 \times 108^1/_{32}$. Тираж 10100

Типография „Искра революции" Москва

ALEKSY TOŁSTOJ

KATIA

Malarz tak namalowałby jej portret: Katia stoi i uśmiecha się, delikatne jej włosy są rozwiane, jak gdyby igrał nimi majowy wiatr, perkalikowa sukienka z wyraźną satysfakcją układa się na kształtnej figurze dziewczyny, poza nią, wśród obłoków przebijają się przez lazur ciepłe promienie słońca, pod stopami — coś w rodzaju kąkolu czy dmuchawca i — rzecz najistotniejsza — twarz, wzniesione pytająco brwi, nosek zadarty z wyrazem pewności siebie, nieugaszoną wolą życia połyskujące, rozmarzone, mądre, niewinnej namiętności pełne oczy, wilgotne, leciutko nabrzmiałe wargi — twarz taka, że sam malarz, nie dokończywszy portretu, zakochałby się niezawodnie w tym osiemnastoletnim dziewczęciu, gdyby miał choć odrobinę zdrowego rozsądku.

Katia nie znosiła żadnej niesprawiedliwości, okrucieństwa, zamętu. Są ludzie, którzy po prostu dla ciekawości wyskakują z tramwaju, by się wmieszać w jakąś awanturę uliczną. Katia, przeciwnie, uważała, że dobrze jest wówczas, kiedy dokoła widzi się ludzi życzliwych, dobrych, wesołych, energicznych... Na odgłos dzikich okrzyków na ulicy, ściskało jej się serce. Nie i jeszcze raz nie! Wszystko, co złe, na nic się nie zda w tym życiu.

Ale zda się czy nie zda, a źli ludzie jednak istnieli i wiele dookoła było niedoli. Katia wszakże miała osiemnaście lat, rozwijała się jeszcze; toteż i życie dokoła niej powinno było się rozwijać, krzepnąć i doskonalić się. Katia wierzyła w to święcie. Wszystko, co ponure i złe, powinno było znikać, jak z ulic Moskwy znikały przegniłe domki, a zamiast nich wyrastały z dnia na dzień wielkie bloki, czyli tak zwane „kompleksy". Kiedy rankiem przebiegała Katia przez Plac Czerwony do szkoły, nic nie potrafiłoby jej przekonać, że złote wskazówki wieżowego zegara posuwają się ku złemu. Nic podob-

nego. Czas kierował wskazówkami zegara ku kasinemu szczęściu, a więc i ku szczęściu powszechnemu.

Ojciec Kati pracował w truście i co roku przez sześć i pół miesiąca czekał cierpliwie chwili, kiedy można będzie zanurzyć z rozkoszą ręce w wilgotnej ziemi ogrodu na wsi pod Moskwą. Matka Kati szyła w domu damską bieliznę. Po całych dniach brzęczała ścicha kołem maszyny do szycia, i w głowie kasinej mamy brzęczały ścicha pełne troski myśli o ojcu, o Kati, i o bracie Kati, Leonie, studencie fizyki na uniwersytecie moskiewskim.

Katia chodziła z bratem do teatru, do filharmonii i do kina, ale więcej nawet niż to wszystko, lubiła po wieczornej herbacie, usadowiwszy się z nogami na starej otomanie, gwarzyć z Leonem szeptem o najrozmaitszych fantastycznych sprawach. Na pół leżąc obok Kati i gryząc ustnik zgasłego papierosa, brat opowiadał jej takie oto naprzykład historie:

„Jakie będą zdobycze fizyki dosłownie w ciągu paru najbliższych lat? Podróż w przestrzenie międzyplanetarne — dajmy na to — do nieznanej nam, wspaniałej kultury na Marsie. Nie będziesz musiała w tym celu lecieć sama trzysta milionów kilometrów, ryzykując w dodatku, że się rozbijesz na proszek przy lądowaniu... Do międzyplanetarnego pocisku reaktywnego przyczepia się kamerę optyczną z obiektywem i radiową stacją nadawczą. Obiektyw notuje wszystko i przesyła fale, które chwytamy na ziemi i odtwarzamy przy pomocy podobnej kamery optycznej na ekranie... Tu oto stoi radioodbiornik i ekran... Szafę i parawan wyrzucimy do wszystkich diabłów... Siedzisz sobie na otomance z podwiniętymi nogami i z całym komfortem odbywasz podróż międzygwiezdną... Pocisk zbliża się do Marsa i na ekranie ukazuje ci się krajobraz do niczego nie podobny: jaskrawa czerwień pustyni, poprzecinanej kanałami szerokości stu kilometrów... Nad brzegami kanałów długimi szeregami ciągną się miasta z okrągłymi domami... I marsjanie — istoty czworonożne — ale zauważ: dwurękie, o wielkich galaretowych twarzach i niezwykłym nadludzkim umyśle... Tak... A druga zdobycz, Kasiu, będzie dopiero za jakieś lat dwadzieścia, nad tym trzeba będzie jeszcze porządnie się napocić... To przekazywanie materii na odległość, przy pomocy takich samych fal, jak radiowe... Muszę, dajmy na to, wysłać cię terminowo do Australii, do Melbourne, do narzeczonego... Wprowadzam cię do specjalnej kabinki, włączam kontakty do głowy i do pięty, puszczam prąd ultraczęstotliwy, który chwyta aparat przesyłający przetransformowaną materię w postaci fal radiowych. Pod działaniem drgań ciało twoje poczyna się rozpadać, materia zmienia się w energię i w całkowitym porządeczku lecisz sobie do Melbourne. Twój głupkowaty narzeczony siedzi tam w takiej samej kabince przy odbiorniku, w którym napowrót z energii stajesz się materią, pojawiasz się najpierw w postaci mgławicy, następnie zaś w całej okazałości... Namiętny pocałunek, i idziecie do kawiarni... Tak, Kasiu, nie zdążymy się obejrzeć, jak życie stanie się zdumiewającym królestwem dobrego ducha... Można kulę ziemską wzdłuż sześćdziesiątego piątego równoleżnika opasać kablem elektrycznym o grubości jakichś pięćdziesięciu centymetrów, puścić przez niego prąd o napięciu pół miljona volt i w ten sposób rozładować pole magnetyzmu ziemskiego, które jak wiadomo, zatrzymuje słoneczną energię korpuskularną, i na sześćdziesiątym piątym równoleżniku, w tundrach, wyrośnie wino... Wszystko będzie zmechanizowane — wystarczy po prostu nacisnąć odpowiedni guzik... Pracować się będzie po dwie godziny dziennie, no, powiedzmy, cztery... wydaje mi się czasem, że potrafię diabli wiedzą co wymyśleć i zrobić... Dobrze mówię... Najważniejsze — to nie stawiać żadnych granic myśli... A jeszcze ważniejsze — to zniszczyć najgłówniejsze źródło wszelkich ograniczeń — wojnę, zniszczyć same przyczyny wojny... Zbliżają się rzeczy niepojęcie, nieopisanie potworne... Wierzaj mi... Nad moim mózgiem, nad geniuszem ludzkim zawisło coś smrodliwego, chciwego, okrutnego..."

* * *

Wojna spadła na geniusz ludzki. Dusza niemiecka wyrwała się na wolność, by do syta rozkoszować się złem... Niemca dopuszczono wreszcie do krwi, udzielono mu rzadkiej rozkoszy: mordowania ludzi... Rozpoczął się huczny obrzęd starogermańskiej uczty: można było iść naprzód z zakasanymi rękawami, palić, deptać, wysadzać w powietrze, przeszywać, patrzeć na dymy, kłęby dymów zaściełające horyzont, na łuny pożarów, patrzeć na kałuże krwi, na twarze ludzkie, zeszpecone w strachu przedśmiertnym. — Naprzód! — wołali Niemcy. — Ho! Ho! Oto prawdziwe życie pełnowartościowe.

* * *

Tego lata Katia skończyła szkołę, ale zamiast na uniwersytet, poszła do pracy. Wojna nie oszczędziła jej rodziny. Ojciec skarżyć się począł na ataki duszności i osłabienie, we wrześniu zabrali go do szpitala, otworzyli jamę brzuszną, no

i zaszyli z powrotem; po kilku dniach umarł. Matce Kati tak się potem zaczęły trząść ręce i głowa, że maszynę do szycia trzeba było okryć pokrowcem. Leon jako ochotnik pułku artylerii poszedł na front. Katia, jak większość dziewcząt w Moskwie, pracowała uczciwie najpierw w jakiejś instytucji, potem w fabryce wojennej. Kiedy Niemcy zbliżali się do Moskwy, wraz z innymi kopała okopy i rowy przeciwczołgowe. Jakkolwiek wystarczyłoby samych tylko bomb burzących i huku artylerii przeciwlotniczej, by przekonać się, że wojna jest czymś realnym, wojna była dla jej zmysłów rzeczą nieuchwytną, zapewne dlatego, że zło tak wielkie nie mogło się pomieścić w jej radosnym sercu. Katia nie mogła objąć ani śmierci miljonów ludzi, ani możliwości tego, co robili Niemcy: tortur, gwałtów, morderstw. Wierzyła w to wszystko, ale wyobrazić sobie tego nie mogła. Malarz nie zabrałby się chyba teraz do kasinego portretu. Stała się milcząca, chodziła ze wzrokiem spuszczonym, ze ściągniętymi brwiami. Czuła się jak mucha na szybie okiennej: była przed nią jakaś niepojęta zapora.

Leon pisał z frontu: Skończył się wreszcie ciężki okres, kiedy musieliśmy tłumić w sobie wstyd, cofając się przed bydłem... Teraz oni się cofają... Z zadowoleniem spoglądam na sterczące zewsząd wśród zasp nogi Niemców, w samych skarpetkach, z dziurami na piętach... W ogóle wszystkich tych wstrętnych hansów i szpansów po wszystkich drogach wala się nieprawdopodobne mnóstwo. Natłuczemy ich jeszcze więcej. Niemcy wsiąkli w Rosji — i zrozumieli to już teraz. Kasiu, żyję nienawiścią, każdą łyżkę żołnierskiej zupy zagryzam nienawiścią... Nienawiść dojrzewa we mnie wspaniale — nienawiść fizjologiczna, narodowa, filozoficzna... Nie ma litości dla burzycieli dobra... Wiele myślę o tobie, siostrzyczko... Widziałem takie dziewczęta, jak ty, zadręczone przez Niemców... Boże miłosierny... Drżyjcie przed nami Niemcy... I ty Kasiu żyj, zaciskając zęby w nienawiści. Jesteś Rosjanką, więc umiesz kochać i nienawidzić do końca...

Aż pewnego razu przyszła z frontu pocztówka — ktoś, kto się podpisał nieczytelnie, donosił Kati, że brat jej, starszy sierżant Leon Iwanow, poszedł na zwiady i nie powrócił.

* * *

Kiedy Katia czytała tę pocztówkę, całą potwornością wojny zacisnęło się jej serce. Szybko, szybko drżeć poczęły wargi. Spadło na nią coś niewidzialnego, niesłyszalnego. Hamując się z całych sił, czytała pocztówkę raz jeszcze, i łzy ściekały

z pocztówki wraz z fioletowym atramentem. Leona już nie ma! To niemożliwe! A jednak świat może istnieć bez niego, i kot sąsiadów tak samo miauczy na schodach... Katia poczuła wojnę.

Wyciągnęła jego listy, rozłożyła je na starej otomance i czytała, czytała w pośpiechu. Wszystko w nich było inne, nabierały zupełnie nowego sensu. W nocy Leon ukazał się jej tak straszny, że dłońmi zatkała usta i cicho łkała w poduszkę. Przed matką ukryła wszystko. Nazajutrz pojechała do komendy wojskowej. Wzięto ją jako sanitariuszkę na front.

* * *

Katia siedziała ze zwieszonemi nogami na platformie ze sprzętem sanitarnym. Pociąg szedł powoli, zatrzymywał się i szarpał. Na linii naprawiano tory. W marcowym słońcu topniał śnieg, a nocą chwytały przymrozki. Wszędzie w pobliżu toru spod topniejącego śniegu ukazywały się brudne powykręcane ręce, ogromne nagie stopy,wzdęte kadłuby Niemców. Poprzez lód widać było ich posiniałe twarze, jak gdyby ci nieboszczycy daremnie starali się spojrzeć ściętymi, szklanymi oczyma w wiosenne słońce. Przejechali już tak wiele kilometrów, i wciąż te same trupy sterczały po rowach. Czarne ptaki gromadami wzbijały się nad nimi i obsiadały je z powrotem. Wszędzie, aż do krańca horyzontu, czerniły się na śniegu i rdzą błyszczały na pagórkach potrzaskane, rozbite, spalone, wywrócone auta wojskowe i armaty, stosy skrzynek, i wiatr podrywał ze śniegu i pędził przed siebie strzępki listów, miliony zapisanych kartek — spóźnionych skarg na przewlekającą się wojnę... Była to droga niemieckiego odwrotu czterdziestego trzeciego roku.

Znudziło się Kati patrzeć na truposzów. Na mankiecie fartucha miała zdobyczny zegarek. Poczęła obserwować, jak wskazówka minutowa przesuwa się niepostrzeżenie między podziałkami — i nagle zauważyła, że raz po raz dobywają się z jej piersi krótkie, urywane westchnienia. Przypomniał jej się inny zegarek — ze złotymi wskazówkami, z innego życia. Cóż to znowu takiego, patrzcie państwo! Katia potrząsnęła głową i zabrała się znowu do liczenia Niemców.

W oddziale sanitarnym Katia miała opinię stanowczej, a nawet szorstkiej, od czasu, kiedy w czasie zamieci stanęła po środku szosy, sama zatrzymała kilka aut ciężarowych i grożąc, że zacznie strzelać do kierowcy pierwszego auta, zmusiła je, by skręciły do szpitala polowego po rannych. Katia lubiła wszelkie przejawy siły, twardości, pasji. Strzelcy nieprzyja-

cielscy mogli przedostać się na tyły i rozpocząć strzelaninę z automatów — nie mąciło to jej spokoju. Sama brała automat do ręki.

Szkoda, że na froncie nie było malarza, by narysował jej portret: w zwykłym, brudnobiałym półkożuszku i grubych butach — była przecież zdumiewająco zgrabna; wielkie, jasne, surowe oczy, smagły rumieniec na policzkach, a spod szarej czapki wychylający się kosmyk delikatnych włosów, którym pod czapką było zbyt ciasno.

* * *

Walki toczyły się na Ukrainie. Front był ze wszystkich stron. Nocami dokoła na horyzoncie płonęły wysoko łuny, i ziemią i niebem wstrząsał taki łoskot wojenny, jakiego nigdy jeszcze nie słyszeli ludzie.

Katia dostała medal za odwagę — rankiem, przy samochodzie sanitarnym, wręczył jej ten medal major, który miał także na nazwisko Iwanow. Po wypowiedzeniu wszystkiego, co z urzędu powiedzieć należało, major ni z tego ni z owego dorzucił nagle od siebie: „Dumny z was jestem i cieszy mnie wasza radość, Katiu, kochamy was przecież wszyscy". A tej samej nocy znalazła się Katia pod obstrzałem niemieckiego moździerza. Gdzieś na skrzydle rozległa się nagle po północy zajadła strzelanina, okrzyki „hurra", kule trasujące wzbiły się w powietrze, w górze zawisły rakiety, oświetlając niebo blaszanym, wyraźnym, jaśniejszym od słońca światłem. Niewielki nasz oddział, operujący w sąsiedztwie, usiłował okrążyć Niemców, ale sam znalazł się w okrążeniu i teraz się przebijał.

W czasie, kiedy walka jeszcze wrzała, Katia z dwiema sanitariuszkami poczołgała się po rannych. Jeden ranny w watowanej bluzie i w hełmie żelaznym, w świetle rakiety zawisłej na płaskim niebie, usiłował pełznąć w stronę naszych pozycji: unosił się na rękach i znów opadał. Katia, pochyliwszy się nisko, podbiegła do niego, położyła się obok niego, i ledwie zdążyła zarzucić sobie jego ręce na ramiona, jak świecące przeklęcie niebo przeszyła mina, i szarpnęła, i Katię obróciło kilka razy.

Kiedy odzyskała przytomność, nie od razu zrozumiała, czemu jej buty skrobią czubkami o zamarznięte grudy ziemi. Okazało się, że ten sam ranny, w hełmie i watowanej bluzie, pojękując ciągnie Katię po ziemi w kierunku naszych okopów.

— Słuchaj, — powiedziała Katia. — Daj spokój. Poleżmy

lepiej. Nabiorę zaraz tchu, trąciło mnie tylko. Już ja się dowlokę.

Położyli się obok siebie, twarz przy twarzy. Ranny już nie jęczał, tylko raz po raz zgrzytał zębami. Kilka minut leżeli w ciemnościach. I znów niebo błysnęło blaszanym światłem.

— Czego zębami zgrzytasz, boli cię? — spytała Katia i zwróciła głowę, nie unosząc jej z ziemi, w stronę rannego. Tamten również zwrócił głowę. I Katia nie od razu poznała, że to — Leon, jej brat. I on także nie od razu poznał Katię. A zresztą, może to potem dopiero zaczęło im się wydawać, że się nie od razu poznali.

MIKOŁAJ TICHONOW

POJEDYNEK

Nikita Lebiediew poszedł na front, nie skończywszy Akademii Sztuk Pięknych. W worku do rzeczy miał dwa niewielkie zeszyty w płóciennych okładkach i tam w chwilach wolnych od alarmów wojennych szkicował portrety swych towarzyszy, krajobrazy, drobiazgi życia frontowego. I teraz też, coraz bardziej zbliżając się skokami do okopów niemieckich, w wirze bitwy, mimo woli dostrzegał wiele okiem niezmordowanego, żądnego wrażeń obserwatora.

Smętny krajobraz z zagajnikami młodych połamanych brzózek, ruda, sztywna trawa na niewielkich pagórkach, rdzawe leje pełne wody o ciężkim, zielonkawo-metalicznym połysku, czarne słupy eksplozji, wśród których przebłyskiwały miedziane języki płomieni, słońce, pochylone ku wieczorowi nisko nad horyzontem i zapadające poza bagniska, w oddali płonące szczątki jakiegoś chutoru, skłębione chmury jesienne zawisłe nieruchomo nad ziemią — wszystko to jak gdyby skupiało się w jednym kierunku: by wywoływać smutek, budzić w duszy najżałośniejsze wspomnienia, i nawet same odgłosy walki, przeraźliwe, groźne, przeciągłe i jęczące, jakie raz po raz rozlegały się w tej dręczącej, monotonnej kotlinie, uderzały w uszy jak burza, wobec której człowiek wydawał się istotą mizerną i słabą, robakiem kryjącym się w mchu i trawie.

Ale Nikita Lebiediew, którego każdy mięsień był napięty, nie tylko nie myślał o rzeczach smutnych, lecz doznawał uczucia szaleńczej radości. Nacieramy! Nacieramy... Gdzieś w tyle pozostała już linia okopów, pełnych pokurczonych postaci

w zielonych kurtkach, połamana broń fryców, blindaże z piętrowymi pryczami, strzępami gazet, stosami puszek od konserw, z okrwawionymi bandażami i skrzynkami granatów ręcznych i nabojów.

Walka toczyła się obecnie ponad kotliną, nad którą wznosił się szary pagórek, wyższy nieco od innych, a tam, za nim, znajdowała się druga linia okopów, którą dziś jeszcze trzeba zdobyć.

Nikita obserwował, jak ciemne postacie strzelców przeskakują przez kępki trawy, jak wysuwają się naprzód fizyljerzy, skokami dopadając nowych dogodnych pozycyj, jak nasza artyleria bije w niemieckie okopy, i z każdym krokiem rósł przed nim szary, owiany dymem, piaszczysty wzgórek.

Gdzieś z lewej strony huczały czołgi, ale z tego miejsca nie było ich widać. Obserwując pole bitwy, Nikita przypomniał sobie niedawną rozmowę z przyjacielem, takim samym strzelcem jak on — Aloszką Buszynem. Opowiadał Aloszy, że przed wojną zabrał się do wielkiego obrazu: zwycięstwo Aleksandra Newskiego nad psami-rycerzami niemieckimi. Długo i z zapałem dowodził Aloszy, że w owych czasach żyli prawdziwi witezie, którzy, kiedy nastał dzień bitwy, od rana do wieczora, niezmordowanie, ciężkimi mieczami, toporami wojennymi, maczugami roztrzaskiwali głowy niemieckie, tarcze i pancerze. I szczególnej doznawali radości, kiedy własnymi dłońmi strącali z koni na lód, kiedy tratowali chełpliwych zbirów, odzianych w płaszcze z czarnym krzyżem.

Aloszka śmiał się i mówił, że dziś, w wieku techniki, czołgów i lotnictwa, nie ma potrzeby tłuc Niemców tęgim kułakiem, kiedy łatwiej i przyjemniej jest kłaść ich kulą i celnym pociskiem. Tak właśnie powiedział: łatwiej i przyjemniej. A już na czołg — dodał — najlepszy koń nie da rady. Zresztą co tu gadać, tamto były psy-rycerze, teraz się innych fryców namnożyło, rycerstwa nie ma w nich za grosz, tyle tylko, że psy, a do tego wściekłe. Toteż wystrzeliwać ich trzeba jak wściekłe psy, które zawędrowały do naszych wsi i miast.

— Prawda to, — mówił Buszyn — że jak fryca zdzielisz pięścią, to mu nie wyjdzie na zdrowie, ale nie tak łatwo podejść do takiego bydlaka. Kiedy tylko poczuje, że z nim krucho, bierze nogi za pas tak, że nie sposób go dopędzić. Do auta — i tyleś go widział.

Szary pagórek był już niedaleko i było widoczne, że powstrzymuje nacierających. Żołnierze, rozproszeni na drobne

grupki, zawracali ku niemu, opływali jego podnóże i robiło się gorąco: najzacietszy bój przenosił się w to miejsce. Pagórek pluł ogniem na wszystkie strony. Nasi żołnierze, wysuwając się naprzód, rzucali granatami w jego sczerniałe zbocza i Niemcy krzyczeli tak głośno, że Nikita i Aloszka, przyczajony o dziesięć kroków od Lebiediewa, słyszeli ich doskonale. Niemcy najwidoczniej nie posyłali już ludzi na wzgórze, bowiem od strony niewidocznej dla Nikity przecięły im drogę nasze kaemy, ale utrzymywali w ręku podejścia, i chwilami nie podobna było unieść głowy.

Miny, pojękując i wyjąc przeciągle, wzbijały czarne tumany sadzy i ziemnego pyłu, a kule świstały tak gęsto, że najbardziej nieustraszone zuchy przywarły do ziemi.

„Cóż to znaczy? — pomyślał Nikita. — Więc atak się zatrzymał? Więc tu się trzeba okopywać, przed tym nędznym pagórkiem? Nie, nie ma tak dobrze! A jak byłoby dobrze? — odpowiedział sam sobie ze złością. — Nadziać się na rożen? Wiek techniki, jak mówi Aloszka. Jeden witeź, wtedy za Aleksandra Newskiego, to był witeź prawdziwy, a teraz dziesięciu witeziów, idących naprzód z podniesioną głową — to tylko cel! Tak czy nie?..."

I Nikita czołgał się z uporem naprzód i widział, że czołgają się wszyscy i że pagórek dymi, jak mikroskopijny wulkan. Pozostawał jeszcze odcinek jednego większego przebiegu, i można będzie z rozpędu wbiec na wzgórek, ale wówczas, jak to często bywa w czasie bitwy, dokoła tej niewielkiej przestrzeni rozszalał huragan. Nasi żołnierze, ogarnięci najwyższym zapałem walki, wzmogli ogień do ostatecznych granic. Wydawało się, że wzgórze chwieje się w dymie; ogień jego osłabł, ale Niemcy poczęli za to szaleć i przez pewien czas wycie min i huk dział rozdzierał powietrze z taką siłą, że najbardziej ostrzelani żołnierze przywierali do ziemi, jak niedoświadczeni nowicjusze. Nikita obserwował, co się dzieje na wzgórzu. A na wzgórzu, pośród ciał pozabijanych Niemców, przestały już terkotać serie kaemów, a wkrótce ucichły również pojedyńcze strzały. Może nikt tam już nie pozostał przy życiu? Ale gdy tylko Nikita doczołgał się jeszcze nieco bliżej, podniósł się na wzgórzu długi, barczysty Niemiec i cisnął granat. Granat wybuchł gdzieś z boku. Nikita nie miał już granatów, dokańczał też ostatnich naboi.

„Granatami pracuje — może rzeczywiście nie ma już naboi?" — pomyślał Nikita, a w następnej minucie tam, w górze, znów wyrósł Niemiec i cisnął drugi granat. Niemcy na skrzydle wzmogli ogień. „A gdyby tak!..." — powiedział Nikita do siebie i nie kończąc myśli, skoczył na wzgórze, jak gdy-

by gnany jakąś siłą, której nie mógł się oprzeć. Wbiegł między kamienie. Przywarł. Niemiec znów rzucił granat, który wybuchł za Nikitą. Kilka odłamków uderzyło o karabin. Nikita wstał. Kręciło mu się w głowie, wypuścił broń z ręki. Krótką chwilę stał tak, chwiejąc się i nic nie rozumiejąc z bólu, który przeszywał ramię i plecy.

Ocknął się. Wysoki Niemiec rzucił się z nożem prosto na niego. Błysk noża na szarym tle kamieni zapamiętał Nikita na całe życie. Starli się z Niemcem. Nóż wytrącony z ręki upadł w krzaki. Nikita uderzył Niemca z taką siłą, że tamten zachwiał się, przysiadł na trawie, i Nikita, dotknąwszy ręką bluzy, spostrzegł krew na palcach i nie mógł się zorientować, czyja to krew. Niemiec wstał, znów rzucił się na Nikitę, a wtedy ten objął go swymi ciężkimi rękoma i potoczył się z nim po wzgórzu. Kołowali między krzakami, to zwierając się z sobą, to odskakując i dopadając do siebie znowu. Okładali się wzajemnie pięściami, gdzie popadło, nie dostrzegając już, co się dzieje dokoła.

W chwili, kiedy obaj ukazali się wyprostowani na wzgórzu, zarówno Niemcy jak i nasi zorientowali się, że ów Niemiec jest jedynym ocalałym jeszcze obrońcą pagórka i że pagórek należeć będzie do tego, kto zwycięży w tym pojedynku. Obie strony zaprzestały ostrzeliwania wzgórza, nasi bowiem bali się trafić Nikitę, a Niemcy — swego długonogiego. Ci dwaj toczyli walkę na śmierć i życie na oczach żołnierzy, którzy przywarli do ziemi po obu stronach wzgórza. W króciutkich chwilach, kiedy odskakiwali od siebie, by znów się dopaść, Nikita zaczerpywał powietrza. Hełm mu spadł z głowy, kołnierz bluzy był podarty, rękawy zwisały płatami, mundur przeciwnika był tak samo w strzępach. Krew spływała po twarzy Niemca, a on łykał ją, nie mogąc złapać tchu. Nikita nieprzytomnym spojrzeniem obrzucił okolicę wzgórza i ujrzał rozległą przestrzeń, rudawo-brunatną, jak gdyby krwią zalaną ziemię, ciemny zarys odległego lasu, postrzępione obłoki i majestatyczne, krwawoczerwone słońce.

„Tak samo było owego dnia, kiedy Rosjanie toczyli walkę wręcz z psami-rycerzami na lodowisku jeziora Czudzkiego. Tamci walczyli, a ja miałbym nie móc? Mogę".

Ziemia połyskiwała purpurowymi odblaskami zachodzącego słońca. Nasi zupełnie już niemal dopełzli do wzgórza i widzieli, jak w strzępach zasłony dymnej, którą wiatr znosił na wzgórze, pojawiają się i nikną dwie splecione postacie, to tarzając się po ziemi, to powstając i ciskając sobą wzajemnie z krańca na kraniec. Wielka cisza ogarnęła wzgórze, jak gdyby bitwa zastygła w obliczu tego nieoczekiwanego starcia. Serca leżących w krzakach żołnierzy biły tak silnie, jak serce Nikity, który jedno tylko wiedział: wroga trzeba zabić!

Napłynął znowu na wzgórze obłok dymu i zasłonił walczących. Obłok nie rzedniał długo, a kiedy się wreszcie rozpłynął, ujrzeli wszyscy, że na wzgórzu, chwiejąc się, stoi jakiś człowiek i coś woła, słów jednak nie podobna było zrozumieć. Cisza trwała jeszcze dokoła, nagle jednak od strony niemieckiej rozległa się szaleńcza strzelanina. Niemcy dostrzegli, kto zwyciężył. Człowiek upadł. Nic już nie mogło powstrzymać naszych żołnierzy. Wbiegli na wzgórze i odpowiedzieli Niemcom zaciekłym ogniem. Aloszka Buszyn podbiegł do leżącego, wołając nieludzkim głosem:

— Bydło, zabili Nikitę!

Nikita leżał obrócony bokiem, ale gdy Aloszka pochylił się nad nim, Nikita zmarszczył brwi i długo mu się przypatrywał, potem usiadł, otarł twarz mokrą od potu i powiedział ochrypniętym głosem:

— Aloszka!...

I natychmiast jednym tchem:

— Granat!

Wstał i z granatem w ręku ruszył po zboczu wdół, w stronę niemieckich okopów. A za nim szli żołnierze, których nic już nie mogło zatrzymać. I widzieli, jak Niemcy wyłażą z okopów i uciekają pochyleni, uciekają w kierunku lasu, a nasze czołgi tratują już blindaże i strzelają do uciekających.

— To dobre, co — zawołał Aloszka, przekrzykując łoskot strzelaniny. — Wieją psy-rycerze!

Późną nocą, kiedy skończyła się bitwa, zmęczony Nikita siedział w blindażu niemieckim, pił wielkimi haustami gorącą herbatę i mówił do Aloszki:

— Wiesz, nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, widziałem tylko ten siny świński ryj przed sobą i darłem go tak, żeby podrzeć na kawałki. A kiedy go udusiłem i wstałem, odszedłem od niego, Niemcy zorientowali się kto zwyciężył i dali salwę, a ja upadłem instynktownie, i wszystkie kule przeleciały nademną.

A przecież wyszło tak, jak na moim obrazie z Aleksandrem Newskim, z tą tylko różnicą, że sam jakbym się wepchnął na obraz. No, ale teraz to już namaluję, możesz być pewny... Oczywiście, wiek techniki, ale zapamiętaj sobie, Aloszka: nasza siła rosyjska, ta oto pięść dogada się zawsze i z czołgiem, i z działem, i z granatem. Są jednej krwi.

— To prawda — rzekł Aloszka — cofam, co powiedziałem.

SYN AKSINII IWANOWNY

Późną wiosną 1922 roku kozak Sergiusz Wierszkow przyjechał wreszcie do domu na krótki urlop. Za sobą miał trzy lata wojny domowej i rok szkoły wojskowej w Borysoglebsku, a miał raptem lat dwadzieścia. Z racji młodości, niezliczone mnóstwo rzeczy radowało go w życiu. Opuścił przed czterema laty stanicę jako wyrostek, wracał jako dojrzały mężczyzna, kozak, i dość oznak zewnętrznych świadczyło o tym. Przede wszystkim order, za to, że w którejś bitwie, pod Kastorną, zarąbał jedenastu białych; po wtóre wąs, który mimo młodości Sergiusza równać się mógł z wąsem samego Budionnego. Po trzecie, czerwone kanciaste naszywki na płaszczu, świadczące o tym, że to już nie — jak dawniej — Sierioża, lecz plutonowy towarzysz Wierszkow.

Wczesnym rankiem wysiadł z wagonu i szedł pieszo przez stanicę, nie spiesząc się, niby prawdziwy mężczyzna, choć bardzo mu się chciało zgubić gdzieś swą stateczność i po prostu pobiec, co sił w nogach. Na rogu znajomej ulicy, kiedy ujrzał już zdala zielony dach swego domu, zagrodziło mu drogę trzech starców ze stanicy. Wszyscy trzej byli bardzo starzy, najstarsi bodaj we wsi — jeden z nich nawet w jakichś dawno zamierzchłych czasach brał udział w kampanii tureckiej. Wierszkow pamiętał ich jeszcze od maleńkości i wydawało się, że ci starcy nie mogą się już zmienić: jakich ich znał przed piętnastu laty, tacy pozostali i teraz. Trzech starców zagrodziło mu drogę. Na piersiach mieli żołnierskie krzyże Jerzego. Ale Wierszkowa zdziwiły nie tylko krzyże — starcy w ogóle ubrani byli odświętnie, co nieczęsto im się zdarzało. Kiedy zbliżył się do nich, nagle stanęli „na baczność", a najbardziej wiekowy z nich, głosem starczym i ochrypłym, lecz donośnym powiedział:

— Panie plutonowy, witamy w domu rodzinnym.

I stary zasalutował, po czym podał Wierszkowowi rękę i pocałował się z nim. Był to honor niebywały, i Wierszkow zrozumiał, że uznany został przez starszyznę za dorosłego kozaka, i że mieszkańcy stanicy dumni są z rodaka, który został podoficerem. Kroczył dostojnie obok starców wiejską ulicą, skręcił papierosa i kurzył go statecznie, zatknąwszy go w kącik ust. I dopiero przy samym domu, kiedy o trzy kroki od siebie zobaczył na ganku matkę w starym, tak dobrze znanym kaftanie, z rękoma złożonymi pod fartuchem — nagłym ruchem

w podskokach rzucił się na ganek i przycisnął kobietę do rozrosłej, stęsknionej za matczyną pieszczotą piersi.

Minęło dwadzieścia lat. Był początek wczesnej wiosny 1942 roku. W ulicę wiejską wjechało opryskane błotem zielone auto i zatrzymało się przed znajomym gankiem. Adiutant wyskoczył i otworzył drzwiczki. Z auta wysiadł niemłody, krępy mężczyzna w pułkownikowskim płaszczu. Miał siwiejące skronie, twarz ogorzałą od wiatru i oczy, które wskutek tego wydawały się jasnoniebieskie.

Machnąwszy adiutantowi dłonią, by zaczekał w samochodzie, pułkownik, kulejąc zlekka, powłócząc ranioną nogą, wszedł na ganek. Otworzył drzwi do sieni, potem następne do izby i po chwili milczenia, stojąc w otwartych drzwiach, zwrócił się po cichu do kobiety, odwróconej doń plecami i pochylonej nad robótką.

— Mamo...

Kobieta odwróciła się, wydała okrzyk, zerwała się z miejsca i w milczeniu przywarła do jego piersi. Stał tak z nią długo, nie zrzucając płaszcza ani czapki i głaskał dłonią jej głowę, która ledwie dostrzegalnie drgała ze starości. Wreszcie posadził ją na ławie, zmęczonym ruchem zrzucił płaszcz i usiadł obok niej.

Na wojnę trafił prosto z Syberji, pięć lat już nie był w tym domu i teraz uważnie i ze smutkiem patrzył na matkę, która jakby się nagle zestarzała w ciągu tych lat. Matka również przyglądała mu się badawczo i w milczeniu. Niepodobny był do tego Sieroży, którego pamiętała z dawnych lat. Włosy zgolone, kiedy został ranny, odrosły mu krótką szpakowatą szczeciną. Twarz zestarzała się, obwisła, a zarazem jak gdyby zastygła, stała się jeszcze surowsza i bardziej zacięta, niż zawsze. Siedzieli tak długo, patrząc na siebie w milczeniu. Potem matka odwróciła się i zaczęła płakać. Wierszkow domyślił się, że opłakuje swego młodszego syna Michała, którego jej przypomniał swoim przybyciem i który teraz już nigdy nie wróci do rodzinnego domu.

Nie próbował jej pocieszać. Wiedział, że Michał był jej ulubieńcem i że wszelkie słowa pocieszenia są bezcelowe. Sam dotychczas nie mógł przeboleć tej straty, i kiedy myślał o niej, zawsze stawał mu przed oczyma Miszka, jego młodszy brat, taki, jak go widział po raz ostatni — wychudły, opalony, wesoły, w bluzie wypłowiałej od słońca, w wysokich butach i z witką brzozową w ręku.

— Przedrzemy się — mówił Miszka. — Przedrzemy się, towarzyszu pułkowniku, — i bił witką po cholewach z taką miną, jak gdyby to przedarcie się było dlań bagatelą.

Patrząc na matkę, Wierszkow przypomniał sobie Kijów. Z Kijowa wycofywał się wraz ze swą dywizją ostatni. Był późny, upalny dzień wrześniowy. W powietrzu unosił się duszący kurz, i chwilami śmierć przebiegała tak blisko, że wydawało się, iż nie sposób jej uniknąć. Jedni z ostatnich przeprawiali się przez rzekę; na brzegu odbierał raporty poszczególnych dowódców, którzy — każdy na własną rękę, — przeprawiali się nocą przez rozmaite przejścia i brody. Były to dni najcięższe od początku wojny i nie wszyscy znaleźli się na wysokości zadania. Niektórzy dowódcy potracili sprzęt, inni wydostali się prawie bez ludzi. Wierszkow, który zazwyczaj umiał się hamować, utracił wówczas całą swą sztukę zachowywania spokoju, i kiedy mu się coś nie podobało, mówił z ludźmi szorstko, ostro, niekiedy nawet brutalnie.

— Gdzie są ludzie? — pytał Wierszkow, nacierając na dowódcę jednego z batalionów, kapitana z „tikiem" w twarzy po kontuzji.

— Sam się ostrzeliwałem do ostatniego naboju — mówił jąkając się kapitan. — Całą bluzę mam poprzestrzelaną. Przepływałem w walce.

— A gdzie są twoi ludzie? Ludzie, ludzie — powtarzał uparcie Wierszkow. — Potraciłeś ludzi. Gdzie są ludzie?

— Nie wiem, — powiedział kapitan i patrząc we wściekłe niebieskie oczy Wierszkowa, gotów był na wszystko...

Ale Wierszkow pohamował się, założył z tyłu ręce, zacisnął je i przeszedłszy trzy kroki, nie odwracając się już powiedział:

— Trybunał.

Następny z kolei składał raport lejtnant, dowódca baterii.

— Gdzie są ludzie? — spytał Wierszkow.

— Z wyjątkiem zabitych są wszyscy — odpowiedział lejtnant spokojnie, uważając zapewne, że to całkowicie wyczerpuje sprawę.

— A działa? Gdzie są działa? Tu czy tam?

— Działa zostały tam, — powiedział lejtnant. — Nie mogliśmy ich przeprawić. Nie mieliśmy sił. Zaraz wam to wytłumaczę, towarzyszu pułkowniku, — dorzucił już mniej spokojnym tonem, zaczynał się bowiem denerwować pod spojrzeniem Wierszkowa.

Wierszkow odwrócił się od niego.

— Nie mieli sił na przeciągnięcie dział. No, a ja teraz nie mam sił, by tu gawędzić z tobą. Do trybunału. Pod sąd.

Otoczenie nigdy nie widziało go w takim stanie. W tej chwili, w obliczu tragedii kijowskiej, opuściła go zwykła łagodność i względność dla ludzi. Nie chciał im nic wybaczyć — ani wstydliwości, ani braku opanowania, ani bezradności — nie chciał im wybaczyć tak samo, jak nie wybaczyłby sobie.

W tej chwili stanął przed nim brat. W dywizji wiedziano powszechnie, że dowódca baterii, starszy lejtnant Wierszkow jest bratem pułkownika Wierszkowa. Ale w stosunkach między sobą zachowywali się tak, jakby pragnęli utrzymać to w tajemnicy: zwracali się do siebie tonem oficjalnym, suchym, z rezerwą.

— Towarzyszu pułkowniku, starszy lejtnant Wierszkow melduje się, — usłyszał głos za swymi plecami, i odwróciwszy się, ujrzał twarz Miszki, zmęczoną, unurzaną w błocie i wesołą jak zawsze.

Wierszkow obrzucił brata spojrzeniem. Starszy lejtnant wyglądał zgoła opłakanie. Furażerki nie miał w ogóle, bluza była poplamiona i podarta, ręce całe w sińcach i wylewach podskórnych. I Wierszkowa po raz pierwszy w życiu ogarnęło przerażenie. Wydało mu się, że Misza, jak i tamci, sądząc po jego wyrazie twarzy, sam jeden zapewne przedarł się wpław, potracił ludzi, porzucił działa. Pomyślał, że jeśli tak jest, nie ma takiej siły, która by mogła uratować w tej chwili brata. W ciągu tych krótkich sekund, kiedy w milczeniu patrzył na Miszkę, przemknęło mu przez głowę wszystko, co powinno było zajść w ciągu najbliższych minut i godzin. Za chwilę zapyta go, gdzie są działa, i Miszka powie, że zostały tam, a on odda go pod sąd, i Miszka będzie rozstrzelany, bo za to trzeba rozstrzeliwać. A potem on, Wierszkow, będzie człowiekiem wyklętym na całe życie i nigdy już nie będzie mógł pokazać się na oczy matce, której nie sposób będzie wytłumaczyć, czemu nie mógł postąpić inaczej, czemu na mocy udzielonej mu władzy kazał rozstrzelać swego młodszego brata Miszkę — tego samego, którego kiedyś podrzucał na rękach, po raz pierwszy sadzał na konia, pieszczocha i ulubieńca całej rodziny.

— Gdzie są wasi ludzie, towarzyszu starszy lejtnancie? — spytał Wierszkow, biorąc się w garść. I być może tylko on jeden i Miszka, który znał go już zbyt dobrze, dostrzegł, jak głos jego drgnął.

— Są ze mną, o kilometr stąd na lewo — odpowiedział wesoło Miszka, ukazując błyszczące zęby.

— A wasze działa?

— Są wszystkie — odpowiedział Miszka i uśmiechnął się. I w uśmiechu jego czuło się to, czego nie powiedział głośno: „Nie bój się, nie bój się. Nie zawiodłem cię".

Wierszkow odetchnął głęboko i milczał parę chwil, nie mając sił, by się odezwać. Kiedy szef sztabu potwierdził, że wszystko jest w porządku i bateria przeprawiona została w komplecie, Wierszkow rzekł:

— Dobrze. Wstąpcie do mnie, towarzyszu starszy lejtnancie, — i pochyliwszy się, wszedł pierwszy przez niskie drzwi do chaty rybackiej, w której rozlokował się chwilowo.

I tu dopiero bez słów uścisnął swego młodszego brata tak, że ten ledwie się powstrzymał, by nie jęknąć z bólu. Potem, kiedy Wierszkow wypuścił go z objęć i usiadł, Miszka siadł również naprzeciw niego i po raz pierwszy od trzech miesięcy wojny, mrugnąwszy w stronę brata, powiedział nieoficjalnym tonem:

— No i co, zdenerwowaliście się trochę, towarzyszu pułkowniku, co?

— Zdenerwowałem się, — powiedział Wierszkow. — Co bym powiedział matce... — I nie kończąc zdania podał Miszce papierosy. — Masz, pal.

A potem były jeszcze przemarsze, jeden i drugi, krwawe, straszne, pod bombami, wśród kurzu i śmierci. A po raz ostatni widział Miszkę w niewielkim lasku, z którego mieli się przedrzeć przez pierścień niemiecki do swoich. Posłał Miszkę na najgorsze stanowisko — do straży tylnej, by ze swymi lekkimi działami osłaniał rozpaczliwą próbę przedarcia się. Objął brata, trzykrotnie, jak w dzieciństwie na Wielkanoc, mocno go ucałował spękanymi od upału wargami, i wypuścił go z objęć. I wówczas to Miszka, poklepując witką po cholewach, powiedział ze śmiejącymi się jak zawsze oczyma:

— Nie szkodzi. Przedrzemy się, towarzyszu pułkowniku. Przedrzemy się... Czy mogę odejść?

— Idź.

Więcej go Wierszkow nie widział. Przedarł się z formacjami do swoich. Ciężko rannego przeniesiono go na płaszczu przez las, a kiedy odzyskawszy przytomność zapytał, kto się przedarł a kto zginął, powiedziano mu, że jego brat się nie przedarł. Już po wyzdrowieniu przez długi czas bał się napisać o tym matce, bo jak gdyby uspokajała ją zawsze myśl, że jej młodszy syn służy pod dowództwem starszego, i czuł swe zobowiązania wobec matki: sam może zginąć, byle zwrócić jej żywego młodszego syna. A wyszło wszystko na odwrót; on żyje, a Miszka...

Gdy matka nie tyle może uspokoiła się, ile po prostu otarła łzy i od razu stała się taka, jak zawsze, Wierszkow — podczas gdy nakrywała do stołu — począł ją wypytywać, kto ze

znajomych, poważanych we wsi starców pozostał w stanicy i chutorach okolicznych. Matka, zawsze milkliwa, nie pytała, na co mu to potrzebne, i przez cały wieczór opowiadała mu, kto umarł, kto żyje, kto się przeprowadził, komu jak się żyje ze starych kozaków, czyi synowie i kiedy poszli do wojska. Syn słuchał jej uważnie, przerywał pytaniami, niekiedy zapisywał do notesu to czy inne nazwisko. Rankiem zaś jego adiutant wsiadł do samochodu i objechał dwadzieścia adresów z poleceniem oddania pozdrowień i zaproszenia tych a tych starców, by przyszli lub przyjechali pod wieczór w gościnę do ich rodaka, pułkownika Sergiusza Wierszkowa.

Wieczorem gwar panował w chacie Wierszkowa: konie związane u wrót przestępowały z nogi na nogę, a gospodarz stał na ganku bez czapki, z szacunkiem witając gości. Po wzajemnych powitaniach Wierszkow, jak przystało, wszczął rozmowę nie od razu, lecz naprzód usadowił wszystkich za stołem i wszyscy wypili po kieliszku, potem powtórzyli. Matka, obnosząc gościom jedzenie, przez cały czas spozierała z dumą na syna, i to, że wszyscy starcy przyszli do nich, było dla niej wymowniejszym dowodem szacunku, jakim cieszy się syn, niż wszystkie jego ordery i godności.

Kiedy wypito trzecią kolejkę, Wierszkow wstał, podkreślając w ten sposób ważność tego, co miał zamiar oświadczyć starcom, i odchrząknąwszy powiedział, że przysłano go dla tworzenia ochotniczej dywizji kozaczej i że wybrano go w tym celu, ponieważ sam jest kozakiem, że kiedy dywizja zostanie utworzona, on, Wierszkow, będzie nią dowodził, i że znając kozackie obyczaje, zwołał starszyznę, by mu dopomogła i wraz z nim dała początek tej sprawie.

Starcy, zanim udzielili odpowiedzi, milczeli chwilę, pokasływali, namyślali się. Najstarszy ze zgromadzonych — Trofim Jerochin, stary wojak, wstał, pogładził statecznie swą brodę, która na przekór wszelkim prawom przyrody nie zaczynała jeszcze siwieć, i powiedział:

— Pomożemy ci i sami pójdziemy, kto ma siły. Ja sam pójdę. Ty tylko zrób tak, żeby doktorzy nie mędrkowali nad nami ze swoimi słuchawkami, żeby ze swoimi komisjami i przeglądami nie psuli sprawy. To cała nasza prośba. A co do pomocy — to już się nie bój: pomożemy.

Jerochin usiadł, uważając sprawę za wyczerpaną. Inni starcy byli tak samo małomówni, zarówno dlatego, że sprawa była jasna, jak i dlatego, że ze stołu nie zeszły jeszcze ani zakąski ani napoje i gotowi byli chętnie raz i drugi jeszcze zamoczyć wąsy w wódce, skoro już taka okazja się nadarzyła.

Wierszkow, mocna głowa jak ojciec i dziad, pił nie upijając się i z ciekawością obserwował starszyznę. Dziwny to był gatunek ludzki, ani rusz nie chcieli się zestarzeć. Trzeba było nie lat, lecz dziesięcioleci, by w ich czarnych brodach pojawiać się poczęły siwe pasma, by do jednego siwego włosa przybył nowy. Widok starszyzny przypomniał Wierszkowowi dzieciństwo i młodość. Choć od dawna już przywykł do roli zwierzchnika, mimo woli wydawało się dziwne, że siedzi za stołem na równi ze starszyzną. Przypomniał sobie, jak to w dawnych czasach młodzieńców nie uważano za kozaków dopóty, póki nie powracali z wojska: kozak, dopiero gdy zostawał żołnierzem, uważany był za dorosłego mężczyznę. I tkwiła w tym głęboka prawda kozacka: surowe wychowanie i głęboka świadomość, że przede wszystkim trzeba być żołnierzem, a dopiero potem można wybierać, że póki się nie przeszło szkoły żołnierskiej, póty nie jest się całkowitym człowiekiem. A jeśli młodemu kozakowi jeszcze przed poborem zdarzało się, że się upił, z wyroku starszyzny mógł i chłostę dostać: uważało się słusznie, że najpierw trzeba swoje odsłużyć, a potem dopiero można sobie pozwolić na zabawę. Wyjątek czyniono w jednym tylko wypadku — mianowicie, kiedy na Zielone Świątki urządzano zawody konne, piesze i najrozmaitsze inne, i ze zwycięzcą starszyzna tego dnia witała się pierwsza, a wieczorem zapraszano go do stołu i pito z nim, mimo że był żółtodziobem. Wierszkow pamiętał, jak pewnego razu spadł na niego ten zaszczyt i z jakim wzruszeniem siedział wówczas za stołem ze starszyzną. I choć od owego dnia Bóg wie ile minęło czasu oddźwięki tego wzruszenia odzywały się w nim dotychczas. Wzruszał go widok starców, ich młode oczy, szerokie, pochylone przez lata, lecz nie zgięte barki, wielkie żylaste dłonie. Wydawało się, że za nimi jest cała potęga ludu. I pomyślał, że to doprawdy będzie dobrze, jeśli w jego dywizji więcej będzie ludzi starszych i wartoby przy przeglądzie ustrzec ich przed wtrącaniem się natrętnych słuchawek lekarzy.

W ciągu najbliższych tygodni poszedł słuch po stanicy, że pułkownik przyjechał, by tworzyć dywizję ochotniczą, że pułkownik to tutejszy, sam pochodzi z kozaczyzny i że wielu zna go i pamięta.

— Więc któż to taki?

— Ależ Sierożka Wierszkow.

— Któren to Wierszkow?

— No, syn Aksinii Iwanowny.

I jeśli ktoś nie pamiętał Sierożki Wierszkowa, przypominał sobie Aksinię Iwanownę, lub jego ojca Iwana Wierszkowa — postać znaną, zarąbanego przez białych w roku 1920. I to, że przyjechał rodak z tej samej stanicy, że jest pułkownikiem, i że nie kto inny, jeno on właśnie, syn Aksinii Iwanowny, gromadzi tu dywizję — przydawało radości sercu i wśród niemłodych ludzi, którzy dawno już zapomnieli jak to się wojuje, rodziło chęć odświeżenia dawnych lat.

Pierwsze walki stoczyła dywizja Wierszkowa na Kubaniu. Wojska niemieckie zdobyły Rostów i szły na Stawropol, na Armawir, na Krasnodar. Był pełen kurzu sierpień kubański. Żółciły się kłosiem pola napoły niezżęte, sady z gałęźmi uginającymi się od ciężaru jabłek, grzędy pełne arbuzów, i niewypowiedzianie ciężko było patrzeć na to wszystko w ten czas żniw, kwitnienia, obfitości, a zwłaszcza boleśnie było sercu opuszczać tę ziemię.

Byli wciąż w ariergardzie, zawsze byli ostatni, umożliwiając innym formacjom oderwanie się od Niemców, i bili się od świtu do zmroku w szyku pieszym, nocą zaś osiodławszy konie, odrywali się sami i zrana w miejscu dla Niemców nieoczekiwanym znów przyjmowali walkę. Bili się pod Kuszczewską, pod Tichorecką, pod Małorosyjską. Wieczorami w ciszy, bez pieśni, przejeżdżali przez stanice.

W dywizji prócz dońskich kozaków wielu było kubańskich, i to w tej, to w innej stanicy, któryś kozak zatrzymywał konia przed jakąś chatą i pochylając się w siodle, w milczeniu, bezdźwięcznie obejmował płaczącą kobietę. Żaden jednak, przejeżdżając przez rodzinną stanicę, nie został. W tym czasie Wierszkow dostrzegł u swoich ludzi jakąś niesłychaną złość na Niemców; zjawiła się ona nie od razu, lecz teraz dopiero, w drugim roku wojny. Jak dawniej, żal im było swych chat i rodzin, ale żałość ta była zawsze teraz słabsza, niż chęć walki. I żegnali się ze swymi chatami i rodzinami bez namysłu, nie dopuszczając nawet myśli, że mogłoby istnieć dla nich jakieś inne wyjście. Najważniejsze było dla nich, by utrzymać broń w ręku i duszę w piersi, by walczyć dalej.

Przerzedzone od razu w pierwszych walkach pułki wypełniły teraz, kiedy przejeżdżali przez stanice, setki nowych ochotników. Do ojców często przyłączali się synowie, i na odwrót — ojcowie do dzieci. I do szwadronu, którym dowodził syn, jako zwykli kozacy wstępowali ojciec i stryj, nie uważając sobie tego za ujmę. Wiele napływało próśb od krewniaków i sąsiadów, by ich umieścić w jednym szwadronie lub plutonie, i Wierszkow trzymał się zasady, by nigdy takim prośbom nie odmawiać.

Pod Kuszczewską zginął dowódca trzeciego szwadronu

Piotr Mordwincew. Wieczorem, kiedy zwłoki jego znaleziono na polu bitwy, jego ojciec, który służył w tym samym szwadronie w obsłudze kaemów, stał długo nad ciałem syna, a kiedy zaczęto je grzebać, powiedział:

— Nie trzeba. Pochowam sam. — Uniósł zwłoki syna, zarzucił je na swe potężne bary i poszedł z nimi.

Wierszkow nie oponował, choć na wszelki wypadek kazał sprawdzić, dokąd stary pójdzie. Mordwincew wyniósł syna na skraj stanicy, wszedł do sadu owocowego, leżącego na zboczu nad jarem i tam, pod wielką jabłonią złożył zwłoki syna na ziemię. Bez pośpiechu, twardymi, wprawnymi palcami skręcił papierosa, zapalił, wypalił do końca i rzuciwszy niedopałek na ziemię, starannie przydeptał go butem. Potem wydostał z pokrowca swą saperską łopatkę i począł kopać grób. Kopał bez pośpiechu, dokładnie, głęboki, prawdziwy grób, nie tak jak się to zdarza w pośpiechu żołnierzom, tylko troskliwie, po ojcowsku. Po zakopaniu syna stary Mordwincew zrobił na jabłoni trzy nacięcia na krzyż, schował łopatę do pokrowca i przeżegnawszy się trzykrotnie, ruszył z powrotem do swego szwadronu. Nie płakał, nie lamentował i nawet nie mówił z nikim o synu. Rankiem jednakże, kiedy w związku z oczekiwaną pod stanicą bitwą w szwadronie wyznaczać poczęto żołnierzy, którzy mieli odprowadzić konie gdzieś dalej, w las, — Wierszkow, przejeżdżając koło stanowisk trzeciego szwadronu, natknął się na Mordwincewa.

— Towarzyszu pułkowniku, — odezwał się Mordwincew ponuro.

— Co?

— Znowu mnie wyznaczyli do koni. Powiedzcie, żeby mnie nie wyznaczali. Ja nie mogę być przy koniach.

— Czemu? — zapytał Wierszkow.

— Bo Niemiec wczoraj zabił mi syna. Ja nie mogę być przy koniach. Ja teraz muszę się bić za całą rodzinę. Powiedzcie, towarzyszu pułkowniku, żeby mnie nie wyznaczali, bo zostawię konie i pójdę sobie.

I w twarzy jego i w oczach była taka zawziętość, że Wierszkow, choć w ogóle nie znosił samowoli, od razu wybaczył mu słowa „i pójdę sobie" i polecił, by Mordwincewa nie wyznaczano już do koni.

Tę samą zawziętość, jaką dostrzegał Wierszkow u swych podwładnych, czuł w sobie samym. Niekiedy, „sztorcując" swych dowódców za niepotrzebne ryzyko w czasie walki, czuł że mówi nieprzekonywująco, bez zapału, obłudnie. Wiedział, że tak trzeba z nimi mówić, ale mówić mu się nie chciało, bo uczucie litości nad sobą i obawy o własne życie zanikło w nim do szczętu w ciągu tego miesiąca i rozumiał doskonale, że tak samo zaniknąć mogło u innych.

Między Krapotkinem i Krasnodarem wydawało się, że dywizja ostatecznie znalazła się w worku. Trzeba było poświęcić cały pułk, a przynajmniej jego połowę, by uratować pozostałe dwa. Wierszkow pojechał na stanowisko dowództwa do dowódcy pułku i pozostawał tam w ciągu całego dnia bitwy. Dzień ten okazał się straszliwszy, niż wszystko co było dotychczas i wszystko, co było potem. Niemcy nie mieli zbyt wiele piechoty, ale 70 czołgów, które w krótkim czasie przedarły się przez zapory, w ciągu wielu godzin tratowało gąsienicami wzdłuż i wszerz pozycje pułku.

Dowódca pułku zginął jeszcze z rana tuż obok Wierszkowa i Wierszkow, który zazwyczaj nie wtrącał się do szczegółów działalności swych podwładnych, tym razem, mimo że wyznaczono nowego dowódcę pułku, w istocie rzeczy sam objął dowództwo. Robił wszystko, co można było robić w taki dzień. Dopóki przybywali gońcy i dowódcy, rozmawiał z nimi, wydawał rozkazy i zachowywał ów spokój, który kto wie czy nie był cenniejszy od jego rozkazów. Dopóki nie zostały zerwane wszystkie druty telefoniczne, mówił przez telefon, dodając ludziom animuszu. Ale kiedy wszystko to się skończyło i stanowiska pułku, poczynając od wystawionej nocą osłony bojowej, a kończąc na stanowisku dowództwa, obróciły się w czyste pole, po którym z wyciem pełzały niemieckie czołgi, Wierszkow przygotował się, by dokonać tej najostatniejszej rzeczy, jakiej dokonać można w takiej sytuacji — umrzeć, wyzyskując w tym celu nieprzysługujące mu, jako dowódcy dywizji, prawo osobistego udziału w walce z Niemcami. Zapiął kołnierz, zatknął za pas dwa granaty — tyle, ile miał każdy, i z blindażyka dowódcy wyszedł na miejsce otwarte do niewielkiego okopu. Nikt z otoczenia nie protestował, nadziei bowiem pozostało niewiele i wszyscy rozumieli, że dowódca dywizji chce zginąć po żołniersku, w walce, a nie — po prostu tylko zginąć.

Przypadek, jakie co dnia trafiają się na wojnie, zdarzył, że czołgi przeszły na lewo i na prawo od ich okopów i Wierszkow nie zginął. Wieczorem wyprowadził pułk z pola bitwy i drogą okrężną ruszył na Majkop, by dopędzić pozostałe pułki, które oddaliły się już znacznie.

Późną jesienią przerzucono dywizję na piaski, pod Mozdok. Dokoła piętrzyły się fałdy piasku, zwane przez kozaków

„burunami". Śniegu było niewiele, wskutek czego wydawało się, że jest jeszcze zimniej. Tu dywizja zajęła mocne stanowisko obronne i wszyscy poczuli, że coś się dokonało. Niemcy stracili oddech i nie mogli już posuwać się dalej. Atakowali jak dawniej, jak dawniej to tu, to tam przedzierały się ich czołgi, ale jednocześnie było już coś innego, niż dotychczas: posunąć się naprzód już nie mogli.

Siódmy listopada świętowano w tym samym miejscu na piaskach. Ofensywa jeszcze się nie zaczęła, ale czuło się ją już w powietrzu. Na froncie panowało zacisze, które, sądząc z wszelkich oznak, lada chwila powinien był przerwać niespodziewany i potężny cios. Wierszkow postanowił uczcić dwudziestopięciolecie w nocy.

Między dwoma wielkimi piaszczystymi wzgórzami rozpostarto szerokie, zdjęte z „Dodge'ów" płótna brezentowe i ustawiono na nich uzbierane w ciągu ostatnich dni na tę okazję gwardyjskie porcje wódki i wszystko to, co znalazło się z rzeczy jadalnych, nadających się na świąteczną przekąskę. Po obu stronach płócien kazał Wierszkow ustawić samochody z zapalonymi światłami. Czterema wielkimi żółtymi plamami padło światło latarń na brezenty i na kozaków, którzy zasiedli dookoła, zwartym koliskiem. Byli tu wszyscy, których można było zgromadzić, nie szkodząc sprawie: dowódcy pułków i szwadronów, starzy brodaci ochotnicy, starszyzna oddziałów. O pięć czy sześć kilometrów na północ, na linji czołowej odbywała się zwykła strzelanina i na ciemnym niebie świeciły rakiety. Nikt ze zgromadzonych nigdy jeszcze tak nie obchodził święta. Do kubków z wódką padał śnieg i od czasu do czasu, by nie zamarznąć, ten i ów klaskał w ręce lub zrywał się i postukiwał zdrętwiałymi nogami. Ale ani wesołość, ani uroczysty nastrój nie doznawały od tego szwanku. Wypili najpierw za święto, za zwycięstwo, potem za poległych towarzyszy, a potem, jak się to praktykuje w krótkich chwilach żołnierskiego odpoczynku, zaczęły się rozmowy o tym i owym, o przemarszach, o noclegach, o rodzinnych stanicach kubańskich czy dońskich, i wydawało się, że się te gawędy nie skończą nigdy, było bowiem co wspominać i za kim westchnąć.

Kiedy wszyscy rozeszli się z powrotem na swoje miejsca, Wierszkow długo jeszcze przechadzał się koło swego blindażu, skrzypiąc butami na świeżym śniegu. Latarnie samochodowe zgaszono. Dwaj kozacy zwijali brezenty. Wierszkow myślał o tym, ile kruchych domków zbudowano w jego oczach od czasu wojny, ile blindaży zagospodarowywali i musieli opuścić,

ile było już przemarszów i noclegów i ile ich jeszcze będzie. I choć to może się wydać dziwne, myśli te nie budziły w nim smutku, ani goryczy — przeciwnie, jakiś spokój udzielał się duszy na myśl, że wszystko się zmienia, zmieniają się okolice, miasta, pozycje, a dywizja wciąż żyje i pozostaje dywizją, i on, Wierszkow, doprowadzi ją aż do końca drogi, jak coś własnego, co zrosło się z jego ciałem i duszą i z czym nie podobna się rozstać. I w tej chwili, choć był dumny i ambitny, nie pragnął awansu, chciał tak aż do końca dowodzić wciąż tą samą swoją dywizją.

Spotkałem się z Wierszkowem pod koniec lutego w czasie walk między Rostowem i Taganrogiem. Sprawdziły się jego przeczucia owej zimnej listopadowej nocy: dywizja przebyła z powrotem całą drogę, którą kiedyś przemierzyła w odwrocie, przeprawiła się przez Don i obecnie biła się już za Donem, na pograniczu Ukrainy. Wierszkow właśnie powrócił z pułku; siedział przy stole, już bez płaszcza, lecz jak zwykle zapomniał zdjąć z głowy futrzaną czapę. Była to owa godzina dnia wojennego, kiedy rozkazy co do dzisiejszego natarcia są już wydane, a pierwsze wiadomości jeszcze nie nadeszły i w sztabie na krótką chwilę zapanowuje rzadka cisza oczekiwania: można wówczas pogrążyć się we własnych myślach i zastanawiać się nad czymś innym, niż troski codzienne. Wierszkow lubił rozmyślania i oparty o poręcz krzesła, w roztargnieniu bębnił palcami po stole.

— O czym myślicie? — zapytałem.

— Jakby tu rzec — o wszystkim naraz. Przypomniałem sobie, jak to niedawno, kiedyśmy odebrali Kuszczewkę i zatrzymali się tam na odpoczynek, zaszedłem wieczorem do sadu, w którym kiedyś stary Mordwincew pochował syna, dowódcę szwadronu. Pamiętacie przecież, opowiadałem wam o tym. Wróciliśmy do Kuszczewki, ale starego Mordwincewa nie było z nami, raniono go pod Tichorecką i wysłano do szpitala polowego. Poszedłem za niego do sadu i za niego odszukałem to drzewo z trzema nacięciami i postałem chwilę nad mogiłą jego syna. I wydało mi się w tej chwili, jakbym naprawdę był ojcem tych wszystkich ludzi, żyjących i umarłych. I oto teraz, kiedy myślę o mojej dywizji, wydaje mi się, że choć przerzedziły się jej pułki — jest wielka, większa niż ta, która kiedyś ruszyła do pierwszej bitwy. Składa się teraz z żywych i umarłych, z tych, którzy walczyli i z tych, którzy walczą w jej szeregach. I siłę jej stanowi nie tylko siła żyjących, lecz i siła zmarłych — siła ich bohaterstwa, siła ich śmierci za ojczyznę. Kiedy się przemierza z powrotem ziemię, w któ-

rej leżą nasi polegli, kiedy mogiły ich pozostają za nami — krzepi to duszę, każe trzymać się mocniej. Co myślicie o tym?

I nie czekając na odpowiedź, zamyślił się znowu. Potem uśmiechnął się nagle:

— Dostałem niedawno list od matki, który dzięki mojej lekkomyślności napsuł mi wiele krwi. Był u niej w czasie urlopu ktoś z naszej dywizji (nie udało mi się dojść, co to był za gaduła) i naskarżył na mnie. I matka pisze mi teraz: „Sierożka, doszły mnie wieści, że chociaż jesteś takim ważnym dowódcą, włazisz niekiedy, gdzie nie trzeba. Więc pamiętaj, że kategorycznie ci tego zabraniam...“ Dostałem ten list i pokazuję go mojemu szefowi sztabu. Uśmieliśmy się, ale on z pewnością opowiedział wszystko dowódcom pułków. I teraz przyjeżdżam do pułku, chcę iść do szwadronu, a dowódca pułku mnie nie puszcza. Powiadam: „Jakim prawem mnie nie puszczasz?“ A on na to:

— Mam pełne prawo, towarzyszu pułkowniku, nawet mama wam tego zabroniła.

A wiecie przecież, że u nas, kozaków, nakaz rodzicielski szanuje się zawsze! No i nie puszczają mnie do szwadronów.

Wierszkow uśmiechnął się znowu, i wyczułem poprzez ten uśmiech, jak bardzo pragnąłby choć na chwilę przefrunąć do swej stanicy, gdzie za takim samym stołem wiejskim siedzi teraz jego matka Aksinia Iwanowna.

S. SIERGIEJEW-CEŃSKI

DROPY

1

Głęboki śnieg spadł nie tylko na stepach krymskich, lecz i na brzegu południowym, ale dropy, ptaki stepowe, zimujące zazwyczaj na Krymie, nie chciały w to uwierzyć. Przeleciały nad łańcuchem górskim i krążyły nad wybrzeżem gromadami po kilka sztuk, a czasem i w pojedynkę, odrywając się od stada — w poszukiwaniu ziemi nie ośnieżonej, gdzie na tydzień lub dwa, póki śnieg nie stopnieje, mogłyby znaleźć pożywienie.

Kołowały na próżno: nie było skrawka, niepokrytego białym całunem.

Z wyciągniętymi szyjami i nogami, ogromne, szare o szerokich, czarnych, a spodem białych skrzydłach, krążyły nawet

nad morzem, jak gdyby postanowiły z rozpaczy przeskoczyć całe morze aż do brzegów Anatolii; ale przerażone bezkresem morza zawracały z powrotem ku nieprzytulnym plażom, które omywał słaby przypływ.

Dostrzegały w górach ciemne smugi i ulatywały w tę stronę, tnąc z szumem zwarte, chłodne powietrze, ale smugi okazywały się urwiskami, stromymi zboczami nagich skał, można było gdzie niegdzie przysiąść na nich i odpocząć, lecz nie podobna było się pożywić: nawet mech nie rósł na tych urwiskach.

Bezsilne, ptaki siadały po prostu na śniegu, nie tylko na polanach leśnych, lecz nawet w pobliżu siedzib ludzkich, zatracały już poczucie niebezpieczeństwa ze strony ludzi, wobec katastrofy, która groziła im śmiercią wskutek głodu.

Nie wskutek mrozu, bowiem mrozu nie było. Cyklon, który przyniósł w te strony chmury śnieżne, ustąpił miejsca ciszy. Niebo było czyste, wysokie, zielonkawe nad górami, gdzie zachodziło już słońce.

Szosą, wzdłuż wybrzeża — dość zresztą wysoko nad nim — biegł niewielki samochód osobowy, wiozący dwu niemieckich oficerów sztabowych: majora i oberlejtnanta.

Szosą tą przejeżdżały często ciężarówki i auta osobowe; śnieg był dostatecznie ubity, gęstego lasu nie było ani po jednej, ani po drugiej stronie, tylko krzaki, wyrastające z pni ściętych drzew; toteż, mimo że szosa była kręta, naogół — choć nie na wszystkich odcinkach — widzialność w obie strony była dostateczna. O jakieś dwa kilometry przed wioską tatarską, w miejscu, gdzie droga opadała ku morzu, oficerowie niemieccy ujrzeli gromadę mężczyzn i kobiet z łopatami: oczyszczano tu drogę ze śniegu.

— Cóż to za pierwotny naród ci Tatarzy! — odezwał się oberlejtnant, marszcząc pogardliwie lodowatą twarz. — I nie, żeby był leniwy, ale po prostu nic robić nie umie!

— Nie szkodzi, nauczymy ich pracować — wycedził przez zęby major, strząsając popiół z papierosa, i dodał znacząco: — Mówię „my“, Niemcy, ponieważ odrzucam wszelką myśl o tym, byśmy Krym mieli oddać tym pożeraczom mamałygi — Rumunom!

— To prawda, pomyśleć tylko: oddać taki kraj diabli wiedza komu! — z nieco sztucznym oburzeniem odpowiedział oberlejtnant. — Oczywiście, niech się na razie cieszą nadziejami, ale z nas nie tacy durnie.

— Jak tylko śnieg spłynie, trzeba będzie zapolować w tych górach na dzikie kozy i jelenie, — powiedział major, spo-

glądając z rozmarzeniem przez szybę na zalesione zbocza, okryte już sinawymi cieniami wieczoru.

— Podobno jest tu wiele muflonów, a skórki tych dzikich baranów nadają się przecież doskonale na półkożuszki — poparł go oberlejtnant.

— Tak, tę sprawę poruszyć trzeba w sztabie natychmiast, by nas nie wyprzedzili ani Rumuni, ani makaroniarze... W tych górach są nawet wiewiórki i kuny, a ja mam duszę zajadłego myśliwego i ani rusz nie mogę znaleźć czasu na polowanie, — użalił się nad sobą major, dopalając papierosa.

Akurat w tej chwili dostrzegł przelatujące nisko dropy i zawołał szoferowi:

— Stój! Dzikie gęsi!

Major był korpulentny, ale wyskoczył z auta ze znaczną lekkością i natychmiast strzelił z rewolweru nie celując w kierunku lotu ptaka. Ptak był daleko... Sekunda — i znikł za drzewami, ale major strzelił jeszcze dwa razy, już tylko ze złości.

Oberlejtnant wysiadł również i także wyciągnął z olster rewolwer, rozglądając się, czy znów nie ukaże się dzikie ptactwo; na pociechę powiedział majorowi:

— Z rewolwerami można polować tylko na partyzantów.

Ale major był niepocieszony.

— Do diabła! — zawołał. — Oczywiście, gdybym miał w ręku strzelbę, to... A co do partyzantów tutejszych, to wie pan sam, jak przycichli, kiedyśmy powiesili gajowego, który ich ukrywał!... O, tam lecą dzikie gęsi, nad morzem — i wyciągnął rękę w kierunku stada ptaków, kołujących istotnie nisko nad samym morzem: wyszukiwały miejsce na brzegu, gdzie można usadowić się na noc.

Rozejrzawszy się dokoła i stwierdziwszy, że więcej „dzikich gęsi“ w pobliżu nie widać, major powiedział tonem rozdrażnionym i stanowczym:

— Nie, nie dostaną Rumuni tak znakomitej bazy do natarcia na Indie!

Zrobił przy tym energiczny gest w stronę Batumu, a potem jeszcze energiczniej, jako że już zmierzchało, wskoczył do auta. Szofer gotów był już ruszyć dalej, gdy niespodziewanie zza zakrętu szosy ukazali się dwaj chłopcy z grubymi pałkami dębowymi w ręku; jeden z nich niósł na ramieniu dropa, którego trzymał za długą szyję.

— Aha! — powiedział triumfująco major. — To ta sama gęś, do której strzelałem. — I znowu wyskoczył z samochodu.

2

Dla oddziału partyzanckiego, ukrywającego się w górach, głęboki śnieg nie był niczym niespodziewanym: oddział w większości składał się z mieszkańców tych stron, którzy wiedzieli doskonale, że śnieg na Krymie wprawdzie nie trzyma się długo, ale spada co roku. Do zimy zresztą oddział przygotował się jeszcze jesienią — w ziemiankach wszyscy byli syci, zapasów dość było, by wyżywić ludzi do kwietnia, wszyscy byli ciepło ubrani. Jednakże głęboki śnieg utrudniał działania partyzantów, którzy nie mieli nawet nart. Zamieć, która szalała w lasach przez kilka dni z rzędu, nie tylko zaniosła śniegiem wszystkie ścieżki; zawaliła również gdzie niegdzie i wąwozy, tak że można w nich było zapaść się po szyję.

Zarazem doszły partyzantów wieści, że oddział desantowy przeprawił się przez cieśninę z półwyspu Tamańskiego, wyparł Niemców i Rumunów z Kierczu, zajął miasto i posuwa się w głąb Krymu.

W celu sprawdzenia właśnie tej radosnej wieści szef sztabu wysłał dwu chłopaków na wybrzeże, do najbliżej leżącej wsi tatarskiej.

Spodziewano się, rzecz prosta, że wojska okupacyjne poczną się posuwać szosami na wschód, na spotkanie oddziałów Czerwonej Armii, i dowódca oddziału zastanawiał się nad tym, jakie kroki podjąć mogą partyzanci, jeśli chodzi o minowanie dróg, niszczenie mostów, napady na tabory i w ogóle wszystko, co mogło hamować działania nieprzyjaciela.

Mitia i Wasiuk nie raz już jesienią chodzili na zwiady. Byli to sprytni i dzielni chłopcy. Zanim spadł śnieg, byli również we dwójkę na zwiadach i przynieśli bardzo ważne wiadomości; na ich podstawie oddział urządził zasadzkę nocną na zalesionym odcinku szosy, o świcie uszkodził granatami dwa czołgi i pięć samochodów z wojskiem i amunicją, a do tego zdobył kilka kaemów i parę skrzyń naboi do nich, nie licząc automatów i innej broni.

Oczekiwano wtedy, że Niemcy z rozmaitych stron wyślą w góry ekspedycje karne i szykowano się do zaciętej walki, ale ekspedycja, która posunęła się na odległość kilku kilometrów w głąb lasów górskich, tegoż dnia zawróciła z powrotem: pozostawanie w lesie na noc uznała jawnie za ryzykowne i ograniczyła się tylko do tego, że ograbiła domek gajowego i spaliła go.

Z jednej z gór — tej właśnie, na której mieściły się ziemianki — partyzanci przez lunetę widzieli zazwyczaj na prze-

siece leśnej biały domek gajowego Akima, człowieka statecznego, z którym utrzymywali kontakt. Wszystkie lasy okoliczne — około dwudziestu tysięcy hektarów — stanowiły rezerwat i takich samych domków w rozmaitych miejscach było około tuzina. Akim mieszkał najbliżej szosy nadbrzeżnej. Miał rodzinę, miał gospodarstwo — krowę, cielaka, świnie. I oto ten domek się palił, widzieli to, i dla wszystkich było jasne, że to sprawka Niemców. Nie trudno się było domyśleć, że zarżnęli świnię i uprowadzili krowę i cielaka; ale tego dnia dopiero Wasiuk i Mitia, zbliżywszy się do pogorzeliska, na pół zasypanego śniegiem, ujrzeli, co zrobili Niemcy z Akimem i jego rodziną.

Gajowy, zawsze taki stateczny w ruchach i słowach, silny na pozór, wysoki, rudobrody, pięćdziesięcioletni mężczyzna, stary mieszkaniec lasu, znający lepiej niż ktokolwiek wszystkie jego tajniki — wisiał teraz nieruchomo na gałęzi wielkiego buka z głową zwieszoną na bok. Ręce miał związane z tyłu, bose nogi dotykały śniegu, a wokół nich widać było gęste ślady lisa. Wypłowiała, różowa koszula zesztywniała na mrozie, fałdy jej zprószył śnieg, i widać było na niej białe smużki ptasiego pomiotu.

Lisie ślady krzyżowały się gęsto, zwłaszcza w pobliżu ruin spalonego domku i szopy, i gdy młodzi zwiadowcy zbliżyli się do nich, zastygli w przerażeniu: żonę gajowego, kobietę jeszcze niestarą — zwano ją Aksinią — i troje dzieci — najstarsza córeczka mogła mieć lat dwanaście — Niemcy na miejscu spalili żywcem i na ich to szczątkach ucztowały teraz nocą lisy — te same, które przebiegały koło bosych nóg powieszonego, nie ruszając ich na razie, zostawiając je sobie na zapas.

Akim był myśliwym, jak wszyscy gajowi, ale strzelanie w rezerwacie było surowo wzbronione, by nie spłoszyć jego mieszkańców. Na lisy wszakże wolno było polować, napadały one bowiem na młode, dzikie kozy i muflony (wilków i szakali nie ma na Krymie). Gajowi zastawiali tu pułapki na lisy i Akim w ciągu swego długiego życia schwytał ich już kilkadziesiąt; teraz i dla lisów nastało święto.

Mitia i Wasiuk tak byli przygnębieni tym, co ujrzeli, że nie powiedzieli obaj ani słowa, i tylko mocniej ścisnęli w garści kłonice, którymi badali w drodze głębokość śniegu.

Mitia był nieco starszy od Wasiuka, miał prawie szesnaście lat, i on na zwiadach prowadził. Obaj urodzili się w jednym z miasteczek okolicznych i przed wojną chodzili do jednej szkoły. Od Tatarów — towarzyszy zabaw dziecinnych nauczyli się mówić po tatarsku i z wyglądu — obaj mieli czarne oczy

i brwi — uchodzić mogli za Tatarczuków. Było to też bardzo wygodne dla oddziału: po wsiach nawet starcy przyjmowali zwiadowców jak swoich.

We wsi tatarskiej, leżącej najbliżej gajówki, dowiedzieli się, że Niemcy długo torturowali gajowego i jego żonę, by wydostać od nich wiadomości o legowisku partyzantów, ale nie uzyskali nic. Zarazem we wsi panowało radosne poruszenie: wszyscy uśmiechali się tajemniczo, zerkając znacząco na wschód, w stronę Teodozji i Kierczu. Ktoś zapewniał nawet, że Czerwona Armia jest już w Karasubazarze; można było zresztą w to nie wierzyć, ale istotne było to, że mówiono o tym, z błyskiem radości w oczach. Przy okazji udało się zdobyć nieco ważnych wiadomości o ruchach wojska na wschód.

Młodzi zwiadowcy ruszyli w drogę powrotną pełni poczucia swej ważności; wydawało im się, że zajmują na swojej ośnieżonej ziemi nierównie więcej miejsca niż dotychczas. Trzeba było tylko przedostać się jeszcze równie pomyślnie z szosy do lasu; drogi, a nawet ścieżki, wydeptane w śniegu przez drwali wiejskich, tajemnie obserwowali żołnierze niemieccy.

Zwiadowcy skradali się skrajem szosy, czekając, aż ściemnieje tak, że można będzie kryjąc się za rozłożystymi młodymi dębczakami, z których nie opadły jeszcze ciężkie liście, prześliznąć się do wiadomej ścieżki przed zapadnięciem nocy. Noc zapowiadała się jasna i zbłądzić nie mogli. Na dropa pogrążonego aż po skrzydła w śniegu, natknęli się zupełnie niespodzianie.

— Patrz, drop! — zawołał Wasiuk, a Mitia puścił w ruch swój kij dębowy, w tej samej chwili właśnie, kiedy ptak usiłował się poderwać.

— Jeszcze jeden! — powiedział z podnieceniem, ale już ciszej Wasiuk, wskazując na przelatującego w pobliżu drugiego ptaka, podczas gdy Mitia wyciągał zabitego ze śniegu.

W tej to właśnie chwili od strony szosy rozległy się trzy strzały rewolwerowe jeden za drugim i chłopcy pytająco spojrzeli na siebie.

Strzelać mogli tylko Niemcy i tylko do nich; tymczasem, szosy nie było z tego miejsca widać, a więc i Niemcy byli niewidoczni. Ale jeśli oni Niemców nie widzieli — to znaczy, że i Niemcy widzieć ich nie mogli. Do kogóż więc strzelali?

Była chwila śmiertelnego niebezpieczeństwa, kiedy nie wolno było ruszyć się z miejsca, by się nie zdradzić. W chłopcach zamarło wszystko; ale Mitię olśniła nagle myśl, że Niemcy strzelali do tego właśnie ptaka, który przeleciał; i kiedy

wypowiedział to przypuszczenie, w obu zbudziło się chłopięce zaciekawienie szczęśliwych łowców dla myśliwych niedoświadczonych. Wówczas to, zarzuciwszy sobie zdobycz na ramię, Mitia ruszył pierwszy na szosę, a Wasiuk nie pytając go nawet po co, poszedł za nim.

3

Najoczywistsze fakty przeczyły triumfalnym okrzykom spaśnego niemieckiego majora: i lejtnant i szofer widzieli, że ptak nie był trafiony, że zniknął gdzieś daleko, skąd w żaden sposób nie podobna go było przynieść tak szybko; ale majorowi bardzo się chciało, by tak właśnie było — tak bardzo, że zapomniał o czasie i przestrzeni.

— Hej, chłopcze, oddaj moją gęś!

Patrzył wesoło na Mitię i wyciągał doń rękę w bronzowej rękawiczce.

— To nie gęś, to drop! — wtrącił Wasiuk, uśmiechając się mimo woli z powodu takiej nieznajomości rzeczy najzwyklejszych; ale Misza z wielką gotowością zdjął zdobycz z ramienia, podał ją majorowi i powiedział, wpadając w jego wesoły ton:

— Myśmy też widzieli, jakeście strzelali!... — Patrzcie, trafiony w samą głowę!

I chociaż major strzelał do odlatującego dropa i w najszczęśliwszym nawet wypadku w głowę trafić nie mógł, z niezmąconym ożywieniem pokazywał lejtnantowi łeb ptaka, roztrzaskany ciężkim kijem, i trzy razy powtórzył z zapałem:

— To mi strzał!

— Ale ten ptak to nie gęś; za duży na gęś, — powiedział lejtnant.

— Mówi pan, że to nie gęś?... Racja, jest znacznie większy od gęsi... olbrzymi ptak! Nigdy nie zdarzyło mi się polować na podobne ptaki, — rozmyślał głośno major, ujmując ptaka za szyję i ważąc go w wyciągniętej dłoni. — Waży dobre dwanaście kilo!... Chłopcze, — zwrócił się do Mity, — to nie gęś, co?

— Dropami je nazywają, ale to wszystko jedno, — odparł wesoło Mitia, — lepsze są od wszystkich gęsi!... Przepiórka czy drop — tak samo smakuje!

— Aha! Smaczne mięso!... Dro-pa! — pochwycił triumfalnie major i raz jeszcze zważył ptaka w ręku, po czym, narozkoszowawszy się nim, począł go ładować do auta.

Postawił już nogę na stopniu samochodu, ale jednak uznał za wskazane zapytać:

— Chłopiec! Skąd idzie, co?

— Stamtąd, — odpowiedział spokojnie Wasiuk, wskazując ręką w dół, gdzie pracowali i rozchodzili się już ludzie.

— Drogęśmy tam czyścili, — z jeszcze bardziej niewinnym i radosnym uśmiechem potwierdził Mitia.

— A... a... dokąd idzie? — znów spytał major.

Mitia zdążył zaledwie wymienić nazwę wsi, kiedy Wasiuk zawołał:

— O, jeszcze dwa dropy.

Dwa ptaki ostatkiem sił ciągnęły z dołu w las; dostrzegłszy ludzi na szosie, zawróciły — ale niezbyt szybko — w kierunku, skąd dopiero co przyszli młodzi partyzanci.

— Och, nie mogę, nie mogę! Mam duszę myśliwego! — ryknął major, chwytając za rewolwer.

Lejtnant także wyskoczył z auta i sięgnął po rewolwer, choć nie mówił o swej myśliwskiej duszy. Ale ani jednemu, ani drugiemu nie udało się wystrzelić: ptaki od razu jakoś znikły z oczu, okolica przecież była falista, pocięta wzgórzami.

— Przysiadły, — powiedział z zapałem Mitia i sam nawet usiadł dla ilustracji, spoglądając na lejtnanta.

— Aha! Tak, tak! Przysiadły! — podchwycił major i pierwszy ruszył za szosę w kierunku, dokąd poleciały ptaki.

Za nim poszedł i lejtnant, a za nimi Mitia i Wasiuk, niby nagonka za myśliwymi. Tylko szofer, człowiek już więcej niż pięćdziesięcioletni, zdyscyplinowany i milczący, pozostał w aucie, oczekując powrotu panów oficerów z dwoma nowymi niezwykłej wielkości ptakami, jakich nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się widzieć.

Tymczasem szybko zapadał zmierzch, choć zresztą do jazdy pozostało niewiele: z dziesięć kilometrów, do najbliższego miasta nad brzegiem morza, a przytym droga była oczyszczona.

Major, w obawie, by chłopcy nie spłoszyli ptaków, sam poszedł naprzód wraz z lejtnantem; wkrótce jednak zmęczyło go zapadanie w śnieg po kolana niemal co krok i wysłał naprzód chłopców.

Wasiuk i Mitia sumiennie wpatrywali się przez zarośla w polanki otulone już w zmierzch i szli zwykłym, dość szybkim krokiem, torując Niemcom drogę; ptaków jednak nie było.

— No i co, mały? Gdzie twoje dropy? — pytał od czasu do czasu sapiący ze zmęczenia major, a lejtnant nie pytał o nic, tylko od czasu do czasu spoglądał podejrzliwie na Mitię, jako starszego z chłopców.

Mitia zauważył to. Widział także, że oddalili się już dość znacznie od szosy i że ściemniło się już dostatecznie, by można było dać nura w kierunku owej ścieżyny, którą przyszli tu z rana, ominąwszy spaloną gajówkę.

Spojrzał wymownie na Wasiuka, pochylił się nagle i szepnął cicho majorowi:

— Siedzą!

Zatrzymał się, przyczaił i wskazał dłonią naprzód, w kierunku, gdzie wśród zarośli ciemniało coś niewielkiego i jakby o dwu łodygach. Co to było — nie podobna już było rozeznać, ale Mitia, a za nim Wasiuk szybko odsunęli się na bok, puszczając przodem myśliwych, którzy musieli przyklęknąć i dobrze celować, by nie chybić.

I najpierw major, dostrzegłszy cel za wskazaniem Miti, a za nim lejtnant istotnie przyklękli, wysunęli się naprzód i wystawili rewolwery, a Mitia z tyłu, z rozmachu, z całej siły zdzielił majora przez łeb kłonicą.

Wasiuk spóźnił się z uderzeniem lejtnanta o sekundę, oficer zdążył wystrzelić, ale tylko w krzak rosnący przed nim i natychmiast runął na plecy majora.

Kilka razy jeszcze, chwytając oddech jak w czasie ciężkiej pracy, z rozmachu spuszczali zwiadowcy swe kłonice na głowy tych, co być może tak niedawno jeszcze kazali torturować i powiesić gajowego Akima i spalić żywcem w płonącej gajówce jego troje dzieci i żonę Aksinię.

Mitia i Wasiuk zabrali zabitym Niemcom rewolwery i papiery, jakie znaleźli w ich kieszeniach, i poszli wiadomą ścieżką, spokojni, że zapadająca noc powstrzyma pościg, rankiem zaś będą już wśród swoich.

LEW KASSIL

FIEDIA Z PODFLOTY

Znał już chyba z dziesięć liter, kiedy przyjechałem po raz pierwszy na jedną z baz zapolarnych floty północnej. Wystarczało to w zupełności, by wyryć swe imię na torpedzie — ku nauczce Hitlera i wszystkich faszystów... Zastałem go przy tym zajęciu za płotem z drutu kolczastego, chroniącym bazę przed łodziami podwodnymi. Kiedy po pokazaniu wartownikom przepustki wszedłem na dziedziniec „podfloty", jak w skróceniu nazywają marynarze flotę podwodną, ładowano akurat torpedy do wielkiej łodzi. Długi, ciemnozielony rybi kadłub

podwodnego okrętu leżał na wodzie przy ściance do cumowania, zwanej „pirsem". Marynarze w roboczych płóciennych kombinezonach składali ogromne torpedy na specjalnym wózku i wywozili je ze składu. W mroku kamiennej jaskini ukazywała się najpierw okrągła głowa torpedy, a potem, wsparta niby na łapach na niskich kółkach, wypełzała cała, podobna do olbrzymiego trytona, ku ogonowi węższa, ciężka, gładka i złowrogo połyskująca na słońcu. Nakładano na nią grubą warstwę smaru, przypominającego z wyglądu konfitury z jagód lub marmoladę.

Koło torpedy kręcił się może ośmioletni chłopak, chudziutki, z ostrym noskiem, którego czerwony koniuszek bliżej miał chyba do pozbawionego brwi czoła, niż do górnej wargi. Chłopiec miał na głowie zbyt wielką, granatową furażerkę, ozdobioną z przodu błyszczącą kotwicą, a na rękawach poplamionej kurteczki widniały jedna nad drugą naszywki miniera, łącznika, artylerzysty, komendora, elektrotechnika i sygnalisty. Czerwone strzały, skrzyżowane błyskawice, kotwice, klucze francuskie, armaty... Naszywek było tak wiele, że ledwie się mieściły między ramieniem i postrzępionym wyłogiem, z którego wyłaniała się chuda, brudna ręka. Malec okiem znawcy oglądał każdą wywiezioną torpedę, obchodził ją ze wszystkich stron, potem przykucał przed nią i pociągając zadartym nosem z przejęcia, starannie kreślił coś palcem na warstwie tłuszczu, którym wysmarowana była torpeda. Podszedłem bliżej. Poprzez różowawo-brunatną warstwę smaru mętnie połyskiwał metalem wyryty palcem napis: „Ot Fedi". Kreska poprzeczna w rosyjskim „i" pochylona była w niewłaściwą stronę, wskutek czego litera podobna była do „n" i domyśliłem się, że niezmiękczone „e" jest również dziełem przypadku.

— No, Fiedia, — spytałem, — cóż ty tu, bracie, robisz?

— Podpisuję się, — odpowiedział Fiedia, spoglądając na mnie z ukosa i poprawiając palcem wykonany właśnie napis.

— Po co?

— Żeby wiedzieli od kogo — powiedział gniewnie malec. — Oni już znają moje pismo. Ja się zawsze podpisuję.

— A cóżeś ty za jeden?

— Ja? — ze zdziwieniem jakby spytał chłopczyk, i zadarłszy nos jeszcze wyżej, spojrzał na mnie z dołu surowo. — Ja tu jestem jedyny chłopiec u nich...

— U kogo — u nich? Czyj jedyny?

— No, ich wszystkich... Z floty. Ja jestem z podfloty. Nie wie pan, czy co?

I odszedł ode mnie do drugiej torpedy, którą właśnie wy-

taczano na wózku spod skały. Jeden z marynarzy floty podwodnej, ująwszy wolną ręką Fiedię pod pachę, nie zatrzymując się posadził go okrakiem na torpedzie i chłopiec tak przejechał przede mną, obejmując nogami okrągłe i tłuste cielsko ogromnego śmiercionośnego pocisku.

— Rozstąp się, narodzie, król Fiedor na koniu jedzie! — zawołał z mostku łodzi człowiek w zatłuszczonej czapce, widocznie mechanik. — No i co, Fiedia, zrobiłeś swoje?

— W porządku — odpowiedział Fiedia.

— Czy to syn którego z was? — zwróciłem się do marynarza, który go nazwał królem Fiedorem.

— Ale skąd, to cała historia — odpowiedział półgłosem marynarz. — To Fiedia Tolbein. Nasz, z podfloty. Otrzaskany od maleńkości. Jego ojciec za bocmana był, z nad brzega, na osiemnastym numerze, przy holowniku. A jak w zeszłym roku ewakuowali ich rodziny, morzem je posyłali i Niemcy na morzu ich naszli, zleciało się tych diabłów z pięć sztuk i jak zaczną walić. Kobiet tam, dzieci — straszne rzeczy! Wprost z koszącego. Widzieli przecie, że pasażery nie wojskowe, a nie dali spokoju, póki nie wykończyli. Zanim pomoc dopłynęła z brzegu, mało kto się na powierzchni utrzymał. Ojciec tego Fiedi, i matka, i siostrę miał także, wszyscy zginęli. A jemu się udało! Boję kotwiczną strąciło bombą, a on się jej uczepił. Ocalał on jeden. No, więc odstawili go na bazę. A tam wzięła go do siebie Dusia, ta co to podaje w kajucie kapitańskiej, wiecie, kelnerka. No i tak już został u nas w podflocie. Jedyny w swoim rodzaju, można powiedzieć. Tu przecież w całej zatoce, ani na żadnej łodzi dziecka ani poświecić, całą dzieciarnię ewakuowali, jak się wojna zaczęła. No, a ten Fiedia, tak już wyszło, został u nas na zawsze. Zresztą, wiecie, nam przecież jednak weselej na duszy, kiedy na niego popatrzeć: człowiek zapomniał już, jak dzieci wyglądają. To u nas przecie jeden, jedyny.

Tak poznałem historię Fiedi Tolbeina, wspólnego syna marynarzy floty podwodnej, wychowanka i ulubieńca północnych marynarzy. Bardzo go psuto w podflocie. Najznakomitsi marynarze, Bohaterowie Związku Radzieckiego, sam słynny Zwiezdin, rączy Sucharkow, niezmordowany Falkowski darzyli go swą przyjaźnią. I kiedy łódź wyruszała na operację bojową, Fiedia zawsze odprowadzał przyjaciół, stał na „pirsie“ i długo spoglądał na niknący w dali okręt. Marynarze floty północnej mają zwyczaj robienia napisów na smarach torpedowych. „Hitlerowi na pamiątkę“ pisali na torpedach. „Kanaliom faszystowskim od marynarzy Północy“ — kaligrafowali na tych straszliwych pociskach, ładując aparaty torpedowe. „Za Kijów, za Sebastopol...“ Któregoś dnia i Fiedia ubłagał, by mu pozwolono zrobić napis. Znał parę liter i nagryzmolił na torpedzie swoje imię. I zdarzyło się tak, że Bohater Związku Radzieckiego Falkowski tą właśnie torpedą, na której się Fiedia podpisał, zatopił wielki parowiec niemiecki. Falkowski płynął na małej łodzi — we flocie nazywają je „malcami“. Torpedowce nieprzyjacielskie eskortowały statek z cennym ładunkiem. Ale „malec“ przesunął się odważnie pod statkami konwojującymi i torpeda z napisem: „ot Fedi“ trafiła prościutko w faszystowski parowiec. Statek wyleciał w powietrze, zarył się dziobem w wodę i wkrótce zatonął. Od tego czasu weszło w modę zabierać na wyprawę torpedę z podpisem Fiedi. Marynarze zapewniali żartobliwie, że Fiedia ma lekką rękę i przynosi im szczęście.

Po całych dniach sterczał Fiedia w podflocie. Grał w klasy, kreśląc je kredą na grubych deskach pirsu, i gdy ktoś nieostrożnie stąpnął w klasę, Fiedia krzyczał ze złością:

— No, jak chodzisz!... Nie widzisz, tu jasno narysowane: miny!

Falkowski podarował mu pozostawiony przez któregoś z ewakuowanych rower trzykołowy. W wieku Fiedi należałby się już rower na dwu kołach. Ale Fiedia niezbyt się przejmował liczbą szprych swego rydwanu. I szeroko rozkładając ręce, by o nic nie zawadzić, z pończochami podartymi na kolanach, Fiedia rozjeżdżał po pirsie na swym trójkołowym rowerze, lawirując między palami do cumowania, torpedami i beczkami. Raz nawet zjechał stromym wąskim pomostem na stojącą przy ścianie łódź Zwiezdina, ale dostał za to taką porcję, że dwa dni potem chodził piechotą, bojąc się pokazać marynarzom na rowerze.

— Ech, Fiedia, Fiedia! — mawiał do niego Falkowski, z którym zaprzyjaźnił się szczególnie. — I co z ciebie wyrośnie? Zagadka i tajemnica! Jeśli sobie nigdzie łba nie rozbijesz, przyda ci się w gospodarstwie, ale rozbijesz go na pewno...

Od kogoś dostał Fiedia starą furażerkę marynarską. Chociaż zrobili w niej z tyłu zakładkę, była dlań zbyt wielka i odstawały spod niej uszy. Marynarze, minierzy, elektrotechnicy, sygnaliści kupowali dla niego w sklepie marynarskim przepisowe naszywki na rękawy i wkrótce Fiedia stał się podobny do kufra podróżnika, oklejonego ze wszystkich stron hotelowymi nalepkami. Pewnego razu przyjechali zwiadowcy z półwyspu Rybackiego, z dalekiego morza na samym krańcu świa-

ta. Od dawna już nie byli na Wielkiej Ziemi. Otoczyli Fiedię i przyglądali mu się z wesołym i serdecznym podziwem.

— Patrzajcie, prawdziwe dziecko! Bez blagi! — powiedział jeden z nich, ogromny mężczyzna z rozpiętym kołnierzem bluzy, spoza którego wyzierała marynarska koszulka. — Znaczy się, że życie idzie swoim trybem, pętaki rozjeżdżają na rowerach! Porządek jest! Wal, bracie, naciskaj pedały!

I darował Fiedi zdobyczny scyzoryk.

Nazajutrz Falkowski spotkał Fiedię w pobliżu podfloty. Fiedia szedł z wizytą do zwiadowców, którzy zatrzymali się w domu dowódcy portu. Ujrzawszy przyjaciela, Fiedia szybkim ruchem zapiął kurtkę. Wydało się to Falkowskiemu podejrzane.

— Pokażno, pokażno, co tam chowasz?

Fiedia począł gwałtownie kaszleć.

— Zaziębiłem się wczoraj.

— Zaziębiłeś się? Rozepnijno kurtkę, dawaj to twoje zaziębienie, osłucham cię.

— Kiedy tak nic nie słychać, tylko w gardle mnie tak drapie, że muszę kasłać, nawet mnie boli jak kaszlę.

— No, jeżeli nie słychać, to może widać przynajmniej. Co? — nalegał nieubłagany Falkowski. I odsunąwszy na bok ręce Fiedi, rozpiął mu kurtkę.

— Któż to ci taką koszulkę wyspekulował? Czekajno, przecież ty to masz po prostu na skórze? Och, Fiedia... Przecież mnie przez ciebie szlag trafi przedwcześnie.

— Nie łechczcie mnie, ręce macie zimne, i tak jestem zaziębiony — burknął Fiedia zawstydzony, zapiął kurtkę, pod którą cała skóra na piersi wysmarowana była ołówkiem chemicznym na niebieski kolor, żeby się ludziom zdawało, że Fiedia nosi marynarską koszulkę.Falkowski obiecał mu, że nikomu o tym wydarzeniu nie opowie. Zaprowadził Fiedię do siebie i z trudem umył go w gorącej wodzie. A od tego czasu znakomity marynarz i Fiedia zaprzyjaźnili się jeszcze bardziej.

Falkowski odpłynął wkrótce na niebezpieczną wyprawę na swej łodzi. Fiedia podpisał się na dwu jego torpedach. Falkowski odpłynął. Po kilku dniach przyszły o nim na bazę złe wieści. Fiedia podsłuchał, jak Zwiezdin mówił po cichu Sucharkowowi:

— Słyszałeś, Walek, Niemcy Falkowskiego nakryli! Ktoś tam przetrącił, a teraz uganiają się za nim i nie dają mu wypłynąć.

— Może przeczeka na głębiach, — powiedział cicho Sucharkow.

— Akurat ci przeczeka. Nie znasz Falkowskiego. To przecież ogień, zaryzykuje na pewno. Zresztą jak długo ma przeczekiwać? I tak już przeciągnął wyprawę. Wszystko się tam u niego na pewno wyczerpuje.

— A bo co, czy jest w niebezpieczeństwie? — nie wytrzymał Fiedia, wtrącając się do rozmowy.

— W jakim niebezpieczeństwie? Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, usłyszałeś, że dzwonią i od razu ci niebezpiecznie. — Siadaj lepiej, bracie, na swój rower i jazda...

Ale Fiedia nie wsiadł na rower, tylko wdrapał się na wielki słup do cumowania okrętów i długo na nim siedział, oglądając zatokę, w której stały torpedowce, statki wartownicze, kutry myśliwskie... wszystkie były na miejscu, tylko Falkowskiego nie było i pustką świeciło miejsce, gdzie zazwyczaj stała jego łódź. Chłodna zielonkawa woda pluskała tam obco między palami, jak gdyby łkała. Obmierzłymi głosami miauczały mewy, lecąc bokiem na fali wiatru. Fiedia ześliznął się z pala i z opuszczoną głową, patrząc na nieprzytulne morze, powlókł się z bazy, prowadząc jedną ręką rower, którego pedały poruszały się na próżno i bez sensu... Tegoż wieczora Fiedia nie chciał jeść pączków, które przyniosła mu Dusia z salonu kajuty kapitańskiej. Długo nie mógł zasnąć, wciąż myślał o Falkowskim... To musi być straszne, kiedy nad głową jest woda, i dokoła tylko woda i woda. A tuż — tuż wybuchają straszne bomby głębinowe, podrzucając łódź z całych sił, tylko patrzeć, jak która trafi, zgniecie łódź, rozpłaszczy... Wreszcie, zmordowany, zasnął. Rankiem zrobiło mu się chłodno i wskutek tego wydało mu się we śnie, że leży w zimnej wodzie, na samym dnie, a uszy ma niby skrzele, oddycha nimi, jednym uchem nabiera wodę a drugim ją wypuszcza. A z góry nagle poczęła nań spadać bulgocząc bomba głębinowa — i jak nie wybuchnie!... Obudził Fiedię potężny huk za oknem. Po nim nastąpił drugi. I zerwawszy się z łóżka, zobaczył jeszcze lekki obłoczek dymu, unoszący się z armaty na łodzi podwodnej, która w tej chwili właśnie z podniesionymi znakami sygnałowymi szybko wchodziła do przystani. I Fiedia poznał od razu łódź Falkowskiego — nikt prócz niego w takim pędzie nie wpływał w wąską gardziel zatoki. Dwie salwy zaś, jakie dał Falkowski, wchodząc do przystani, oznaczały, że powrót jest zwycięski: dwa okręty faszystowskie poszły na dno.

Fiedia skoczył na wybrzeże. Marynarze biegli w stronę

„pirsu". Wyprzedzając ich, zawadzając o łokcie, nie zwracając uwagi na przyjacielskie poklepywanie, z całych sił pracował pedałami, pędząc na przystań na swym rowerze. O mało nie zwalił z nóg olbrzyma Milechina, starszego kucharza ze stołówki podfloty. Kucharz biegł z białą czapką zsuniętą na tył głowy, w śnieżnym fartuchu i dysząc ciężko mruczał:

— Skaranie boskie!

A marynarze, wyprzedzając go, wołali:

— Żegnaj się ze swoimi prosiakami, słyszysz, Milechin? Falkowski dał dwie salwy, znaczy się — wal do pieca dwa prosiaki! Pewniak! Nic nie poradzisz, taki już jest obyczaj, prawo! Porządek musi być!

Fiedia nadjechał akurat w chwili, kiedy z łodzi rzucono sznury i Falkowski, mrużąc obrzękłe, czerwone ze zmęczenia oczy, zeskoczył na pomost przystani. Nie, Fiedia nie podbiegł do swego przyjaciela. Znał morskie obyczaje. Stał cierpliwie na uboczu, wytrzeszczając oczy z radości i nie spuszczając ich z kapitana, który z ręką przy czapce meldował kontradmirałowi, dowódcy ugrupowania łodzi podwodnych, że operacja została przeprowadzona...

— Zatopiliśmy dwa transportowce nieprzyjacielskie — jeden klasy ośmiu tysięcy ton, drugi chyba ze sześć — meldował Falkowski. — Następnie zaatakowały mnie dwa torpedowce. Wyrzuciły ogółem dwieście osiemdziesiąt dwie bomby głębinowe. Wydostałem się. Zadanie zostało wykonane. Strat w ludziach nie ma. Uszkodzenia są nieznaczne.

I teraz dopiero zobaczył Fiedia na łodzi straszliwe ślady bliskich wybuchów bomb głębinowych. Na żelaznym pokładzie wszystko było pogniecione, poskręcane, pomięte. A tymczasem zadowolony kontradmirał zapalał już papierosa, nie zapomniawszy poczęstować przybyłego z wyprawy bohatera; i pytania, jakie zadawał teraz dowódca, przechodziły już w zwykłą przyjacielską rozmowę. Oficjalna część powitania była skończona. Zwiezdin i Sucharkow po kolei obejmowali Falkowskiego i z zadowoleniem klepali go po plecach.

— Ile w ogóle puściliście torped? — spytał kontradmirał.

— Ogółem trzy, towarzyszu kontradmirale. Z tego dwie trafiły.

— Czy moje? — spytał spod czyjegoś łokcia Fiedia, który przysunął się bliżej.

— Właśnie, że twoje! — roześmiał się Falkowski. — Obie „ot Fedi".

— Poszły na zimno, czy na gorąco? — dopytywał się rzeczowo Fiedia, żądny wszelkich szczegółów; słyszał nieraz, że przy wypuszczaniu torpedy działać powinien specjalny mechanizm, ogrzewający sprężone powietrze; torpeda idzie wówczas „na gorąco", ma wielką szybkość.

— Sądząc z tego, jak szybko fryce starali się skakać do zimnej wody, musiało im tam być bardzo gorąco — odpowiedział Falkowski.

W dwa dni później dokonały nalotu na bazę dwa bombowce niemieckie. Na masztach okrętowych ukazały się flagi. Był to sygnał alarmu. W porcie zawyła krótko syrena. Wszyscy pobiegli na swoje miejsca. Zagrały działa przeciwlotnicze z torpedowców i statków wartowniczych. Waliły armaty łodzi podwodnych. Kutry i holowniki, w pośpiechu — zgodnie z regułami alarmu — odbijając od pomostu na środek zatoki, również w pełnym biegu ostrzeliwały samoloty z wielkokalibrowych kaemów i dział automatycznych. Strzelono z torpedowca. Echo wystrzału rozległo się po całej zatoce, odzywając się wśród skał. Potem torpedowiec wystrzelił po raz drugi i bombowiec niemiecki, lecący na przedzie, wlokąc za sobą smugę dymu, skręcił w bok, wyrzucił długi język płomienia, zakołysał się i wirując niezgrabnie, począł opadać za najbliższym pagórkiem. Tuż — tuż obok niego ukazał się nagle i rozwinął biały kwiatek spadochronu; opadł powoli na ziemię i znikł za skałami.

— Opuścił się koło Tojwy — określił Zwiezdin, który wraz z nami obserwował bitwę powietrzną. — Żeby nam tylko fryc nie uszedł, potem się go między pagórkami nie znajdzie. A stąd do linii frontu tylko ręką sięgnąć, zwieje i tyleś go widział!

— Chwileczkę, — odezwał się nagle Falkowski, — a gdzie się podział nasz Fiedia? Gdzie jest Fiedia, pytam?...

— Przecież on właśnie tam przy Tojwie zbiera jagody, żeby go!...

Istotnie Fiedia przepadał teraz na długo wśród pagórków, gdzie w tym roku było wyjątkowo dużo jagód, poziomek, jeżyn i borówek. Wracał z fioletowymi wargami, z sinymi zębami i pokazywał nam język taki, jak gdyby nim dopiero co zlizywał atrament.

— Fiedia tam jest, rozumiecie czy nie?! — krzyczał na nas Falkowski.

A my poczęliśmy wdrapywać się na wzgórze, by jak najszybciej dostać się na Tojwę, schwytać niemieckiego spadochroniarza i przyjść z pomocą naszemu Fiedi. Marynarze oto-

czyli odcinek, na który wiatr zniósł Niemca. Szliśmy, skacząc ze skały na skałę, przepatrując rozpadliny, wymijając niewielkie jeziora, zaglądając pod każdy zrąb skalny — ale spadochroniarza nie było nigdzie, a wraz z nim znikł nasz Fiedia. Najbardziej ze wszystkich denerwował się Falkowski. Uważał, że Fiedia już zginął i miotał przekleństwa na głowy faszystów. Spokojny, rozsądny Zwiezdin na próżno starał się go uspokoić.

Lotnik Swistniow wystartował z lotniska na poszukiwanie spadochroniarza. Kołował nad pagórkami i kilka razy nad nimi przeleciał, przepatrując okolicę. Nagle samolot wziął ostry wiraż, zawrócił i począł opisywać koła nad niewielkim wąwozem między dwoma wysokimi urwiskami skalnymi. Lotnik, wychyliwszy się z kabiny, machał nam ręką, wskazując gdzieś w dół. Zbiegając ze złomów kamienia, przeskakując przez strumyki, pobiegliśmy w tym kierunku. Po chwili byliśmy już na brzegu skały. A tam, w dole, na szarym ciemnym mchu ujrzeliśmy ułożony z białych kamieni i odcinający się wyraźnie ogromny napis „Fedia". Biedaczek bardzo się widać denerwował i śpieszył, układając z kamieni swoje imię, bo nawet literę „ja", którą zazwyczaj pisał prawidłowo, tu odwrócił w przeciwną stronę, na podobieństwo łacińskiego „k". I w tejże chwili ujrzeliśmy samego Fiedię. Siedział przyczajony pod urwiskiem skalnym i dostrzegłszy nas, począł dawać nam jakieś znaki, przykładał palec do warg, zatykał dłonią usta — domagał się milczenia i wskazywał tajemniczo gdzieś w bok. Zeskoczyliśmy doń na dół.

— Jest tam, tam, — szepnął Fiedia fioletowymi od jagód i drżącymi ze zdenerwowania wargami. — Tam, za tym kamieniem. Nogę sobie zwichnął. Widziałem jak go strącili, pobiegłem za nim, a on jak nie wypali do mnie ze swojego „szmajsera"! Myślicie, że się nie bałem? Schowałem się tutaj. Potem chciałem nawet wyleźć, dobiec do podfloty. Czego tu miałem siedzieć i pilnować do wieczora! A ten znowu jak do mnie trachnie! Może kłamię? Kula tak świsnęła, że aż kamień odprysnął... Widzę, że leci samolot, szuka, a mnie fryc nie pozwala wstać... no więc ułożyłem swój podpis. Czołgałem się, czołgałem, cały brzuch sobie starłem, na kolanach dziury. Może nie boli? Ale nazbierałem kamieni i ułożyłem. Lotnik od razu z góry poznał moje pismo... A fryc ot tam się zagrzebał.

Marynarze skoczyli ku skale i z rozpadliny wyciągnęli ukrytego Niemca. Widząc, że otaczają go ze wszystkich stron, od razu rzucił swego „szmajsera".

Zdarzenie to wsławiło Fiedię na bazie. Kiedy Amerykanie z transportowca, który przybył niedawno, przechadzali się po wybrzeżu i dostrzegli Fiedię, zbliżali się doń, klepali go po ramieniu, macali jego wszystkie naszywki i mówili, że Fiedia — to „O'key boy" — to znaczy, że to zuch jak się patrzy...

Ale skończyło się krótkie polarne lato, nadciągnęły mgły, słońce stygło, szykując się już do wędrówki na sen zimowy, i pewnego razu wieczorem w podflocie, w kajucie kapitańskiej zawiązała się rozmowa o dalszych losach Fiedi.

— Pętak ma już przeszło osiem lat, czasby mu już literki nie tylko na torpedach pisać — powiedział surowo Zwiezdin. — Trzeba go wysłać do szkoły. Wojna wojną, a jemu czas się uczyć, dorastać!

— Dziwne pytanie, czy ja się sprzeciwiam? — gorączkował się Falkowski. — Jak trzeba to trzeba. Chłopak musi się uczyć, to jasne. Szkoda go naturalnie, to jest powiadam, że mnie go szkoda, nie wiem jak innym...

— Nikt nie mówi, że nie szkoda — powiedział z westchnieniem Zwiezdin, — ja już moich nie widziałem czternaście miesięcy. Też szkoda. — Umilkł na chwilę. — Ale dzieci powinny się uczyć w miejscu spokojnym, przynajmniej ja jestem tego zdania. Nie wiem jak inni...

Po naradzie z opiekunką Fiedi, Dusią, postanowiono wysłać go na tyły do jednego z miast białomorskich, gdzie istniał internat dla dzieci marynarzy. Fiedia początkowo ani słyszeć nie chciał o wyjeździe. Nie wiem, o czym mówił z Fiedią Falkowski. Widziałem ich tego dnia w podflocie. Falkowski był jeszcze bardziej zgryziony, niż sam Fiedia. Widocznie jednak szacunek dla bohatera wziął górę i Fiedia się zgodził.

26 sierpnia żegnaliśmy Fiedię... Jesień polarna obdarzyła go jednym z najpiękniejszych dni. Powietrze było tak przejrzyste, że wszystko widać było wyraźnie nawet na znaczną odległość, jakby było wyciosane z kamienia. Woda w zatoce była przezroczysta i nieruchoma. I wysokie skały, rzuciwszy w nią swe odbicie, mierzyły jakby głębokość zatoki. Białe mewy krążyły nad nami, słabiutki wiaterek ledwie potrącał pyszne, biało-niebiesko-czerwone flagi marynarki wojennej i różnokolorowe sygnały na okrętach.

Ileż wszelkiego jadła naznosili marynarze na drogę dla Fiedi! Ile puszek skondensowanego mleka, konserw, tabliczek czekolady!... A miczman Milechin przyniósł płat wędzonki. Dowódca kutra, na którym Fiedia miał jechać do szkoły, oświadczył już, że jeśli towarzysze dowódcy będą w dalszym ciągu

znosili żywność, niech sobie zamówią specjalną barkę, bo na kutrze nie ma zamiaru urządzać rynku...

Potem wszyscy żegnali się z Fiedią. Chłopiec był chmurny i wydawał się chudszy w nowej obszernej kurtce, na którą przeniesiono ze starej wszystkie oznaki.

— No, Fiedor, trzymaj się tam — pouczał go na drogę Zwiezdin. — Jak się uczyć, to się uczyć, inaczej zaczynać nie warto. A chociaż idziesz teraz na stajnię, jak mówią u nas nad morzem, swego plemienia się trzymaj, pamiętaj, że jesteś Fiedor Tolbein z podfloty.

— Ech, słowo daję, co za gadanie — burknął Falkowski, ujmując Fiedię za oba policzki. — Jedź, Fiedia, jedź. Nie znoszę tych pożegnań, tylko humor sobie człowiek psuje. No, ruszaj Fiedia, jazda. Masz jeszcze tabliczkę czekolady.

I Falkowski gniewnie wsunął mu w rękę wielki blok czekoladowy.

Na kutrze puszczono w ruch motor, spod rufy ukazały się kręgi i piana na wodzie. Na maszcie zawisły trzy flagi sygnałowe. U wylotu portu, przy posterunku wartowniczym wzniesiono na wysokim maszcie złocistą flagę — znak zgody, pozwolenie na opuszczenie portu. I kuter, na którym, jak prawdziwy marynarz, nie trzymając się poręczy stał wyciągnięty jak struna Fiedia Tolbein, wychowanek podfloty, jedyny i ostatni chłopiec na całym wybrzeżu — wypłynął na otwarte morze.

W milczeniu stali na pirsie znakomici marynarze, bohaterowie Związku Radzieckiego Zwiezdin, Sucharkow, Falkowski. Długo stałem wraz z nimi, patrząc na kuter, który zabierał nam naszego Fiedię.

— Nie ma rady, Fiedia musi się uczyć — powiedział Zwiezdin.

— Co tu gadać! — odezwał się Falkowski, budząc się z zamyślenia, lecz nie spuszczając oczu z morza. — Sprawa jest jasna, Fiedia musi się uczyć, a my — wojować... A jednak, jak sobie chcecie, ja jutro na jednej mojej torpedzie napiszę... Tylko jakby to z sensem ująć? Za przyszłość Fiedi, czy co? Rozumiecie — czy w imię może? Ech! I tak zrozumieją. Napiszę poprostu: „żeby Fiedi było dobrze" — i niech mu będzie dobrze!

Kuter dawno już znikł za skałami przylądka. Z masztu przy wartowni spuszczono już złocistą flagę. A na brzegu wciąż stali i patrzyli w morze marynarze, mężczyźni, ojcowie, którzy dawno już nie widzieli swych dzieci.

HELENA KONONIENKO

TIN TINYCZ

Nie uważał się nigdy za człowieka odważnego. Ludzie również nie uważali go za śmiałka. Był to człowiek cichy i wstydliwy. Jego wielkie, niebieskie oczy krótkowidza wydawały się zawsze pełne zdziwienia. Miał też w spojrzeniu coś z dziecka. Dzieci, które świetnie uczył czytać, ceniły jego wyjątkową dobroć i przepadały za nim, gdyż znał mnóstwo bajek. Po lekcjach dzieci chodziły za nim gęsiego i prosiły:

— Tin Tinycz! Opowiedzcie bajkę, Tin Tinycz!

I nauczyciel nie mógł odmówić. Ubóstwiał dzieci i ubóstwiał bajki.

Miał jeszcze jedną słabość — kwiaty ogrodowe. Nauczyciel z dziećmi razem hodowali kwiaty na klombach szkolnych i na skwerku w osiedlu. Przed wojną często można było spotkać Walentyna Walentynowicza i dzieci koło tych grządek i klombów, z konewkami lub nożycami w rękach. Skromna, dobra twarz nauczyciela jaśniała radością, kiedy otoczony dziećmi krzątał się koło ziemi i kwiatów. Były to pospolite kwiaty — zwykły groszek pachnący, biały tytoń, fiołki, astry, żółty ogrodowy rumianek.

Miał Tin Tinycz jedno marzenie, o którym mówił z uśmiechem winowajcy: chciał wyhodować jakiś cudowny kwiat o zagadkowej nazwie „kaprys słoneczny", ale nie mógł znaleźć nasion, choć poszukiwał ich całe życie.

— Tin Tinycz, a jak ten kwiat wygląda? — pytały chciwie dzieci.

Nauczyciel uśmiechał się swym dobrym uśmiechem i kiwał głową. Nie wiedział, jak wygląda ten kwiat, jakie ma barwy i zapach. Wyczytał o nim jeszcze w latach młodości w jakiejś książce. Kwiat ten może nie istniał wcale. Może był tylko wymysłem pisarza. Ale nauczycielowi wydawało się, że ten kwiatek, barwny i delikatny jak żywy ptak kolibri, gdzieś żyje i rośnie. I marzył o nim, jak się marzy o czymś bezgranicznie upragnionym i pięknym.

...Kiedy powołano go na front, wszyscy sąsiedzi, znajomi i nauczycielki z osiedla żegnali go szczególnie ciepło. Dwu ich wyjeżdżało ze szkoły: Walentyn Walentynowicz i nauczyciel fizyki Ilia Wtorow. Ten drugi był krępy, barczysty, zgrabny i rozmowny. Tchnął po prostu energją i siłą. Umiał znakomicie strzelać i uważano go za najlepszego sportowca w osiedlu.

„No, ten już Niemcom pokaże", — mówiono o nim z zadowoleniem.

Tin Tinycz i wojna — to były dwa bieguny, dwa niewspółmierne pojęcia. Niełatwo było wyobrazić sobie Walentyna Walentynowicza w żołnierskim płaszczu, z karabinem lub granatem w ręku, tam gdzie szaleje nieokiełznany płomień wojny.

Nawet samemu Walentynowi wydawało się to niepojęte. W duszy jednak dumny był z tego, że go powołano. Z niezwykłym wzruszeniem pakował plecak. Dzieci przyniosły nauczycielowi na pamiątkę kupę wierszy i rysunków, zasuszonych kwiatów i liści, i Tin Tinycz wypchał wszystkimi tymi kosztownościami swój wyszarzały plecak. Plecak ten — był to jego stary przyjaciel: Walentyn Walentynowicz wędrował z nim w czasie wakacyj letnich po malowniczych okolicach swego rejonu. W kieszeniach plecaka dotychczas jeszcze leżały ocalałe z lata ziarenka nasion rozmaitych kwiatów i haczyki do wędek.

— Żartujecie chyba, czy co? — krzyknęła na Walentyna Walentynowicza jedna z jego szkolnych koleżanek, niezwykle energiczna nauczycielka literatury, Wiera Iwanowna. — Ciekawe, dokąd się wybieracie z takim workiem: na wycieczkę z dziećmi, czy też na front?

I Wiera Iwanowna bez litości wyrzucała z plecaka zasuszone liście i zbiory bajek. Potem poczęła w nim układać rzeczy, przygotowane troskliwie dla Tin Tinycza przez kolegów ze szkoły: ciepłe onuce, watowane kurtki, chustki do nosa...

Walentyn Walentynowicz milczał. Żal mu było rozstawać się z podarunkami dzieci.

— Bandaże, jodyna, smalec gęsi i tak dalej, — wszystko jest w lewej kieszeni. Szycie, nici, igły — w prawej. Będziecie pamiętali? — dyrygowała Wiera Iwanowna.

— Dobrze, — potakiwał krótko Tin Tynicz.

— Ależ przyjrzyj się, popatrz dobrze, gdzie co leży! — troszczyła się stara Sergiejewna, gospodyni jego mieszkania. — Na wojnę przecie jedziesz. Boże miłosierny, królowo niebios, cała ziemia w ogniu stoi. A ile krwi, ile krwi się leje, przez tych przeklętych Niemców. Nie szczędź ich tam, bij ich antychrystów, żeby śladu ich na rosyjskiej ziemi nie zostało. Ech, ale czego się po tobie spodziewać, bohater z ciebie nieszczególny, synu... Sam przynajmniej, sam nie wpadnij im w ręce!... Nie daj się bestiom, Tinie Tinyczu, bij ich!

— Będę się starał, Siergiejewno — powiedział nauczyciel. Chciał się uśmiechnąć, ale uśmiech mu się jakoś nie udał i tylko spojrzał z zakłopotaniem. Natura ulepiła go nie na stratega, lecz na ogrodnika. Nawet w dzieciństwie nie marzyły mu się, jak Wtorowowi, bohaterskie bitwy.

Walentyn Walentynowicz szedł na front ze szczerą ochotą i całkowitą świadomością żołnierskiego obowiązku. Nie obawiał się nawet utraty życia. Ale był to człowiek łagodny, spokojny, stworzony do pielęgnowania kwiatów i wychowywania dzieci. Bał się, że płomienna paszcza wojny połknie go i zmiażdży, zanim zdąży podnieść karabin i wycelować.

* * *

Szeregowiec Daniłow ujął sobie od razu Walentyna Walentynowicza. Tchnęło od niego takim samym tupetem, jak od Wtorowa i był tak samo jak Wtorow wesoły, spokojny i pełen tężyzny. Leżąc w ziemiance obok Daniłowa, Walentyn Walentynowicz słuchał z zadowoleniem jego niskiego głosu, tchnącego radością życia.

— Nie szkodzi, przyzwyczaisz się, otrzaskasz — mówił Daniłow, spoglądając przyjaźnie na workowatą postać nauczyciela. — A co ty myślisz, że dla mnie wojna nie była straszna? Jakem przyszedł, myślę sobie: to dopiero historia!... Do licha! Ogień, hałas, wietrzysko... Zmiata człowieka po prostu.

— Ciebie tam nie zmiecie!... Robaczek się znalazł! — śmieli się żołnierze i rześki ten śmiech sprawiał przyjemność nauczycielowi.

— Daniłow ma rację, — podtrzymał rozmowę młodszy lejtnant. — Wojna — to niełatwa rzecz dla nikogo. Nie ma człowieka, dla którego iść na wojnę — to jakby wypić szklankę wody.

— Jak zobaczysz, jak w twoich oczach przeklęta kula położy towarzysza, zapomnisz o strachu, — mówił Daniłow. — Walisz naprzód i basta. Taka złość wtedy w człowieku wzbiera, taka siła, że biegnie naprzód nie widząc ognia, nie słysząc huku, z jedną tylko myślą: ech ty, łotrze przeklęty, to ty naszych radzieckich chłopców strzelasz, masz za to, ścierwo, bydlę parszywe!... Przekonasz się sam... Pójdziemy razem... za wspólną sprawę...

Długo nie milkły głosy w ziemiance.

Tej nocy, w wigilię swego chrztu bojowego, Tin Tinycz był jakby w gorączce. Ani na chwilę nie dawał zasnąć Daniłowowi i — tak zazwyczaj milczący — teraz z pośpiechem i wzruszeniem opowiadał mu o sobie, o szkole, o dzieciach, o

kwiatach, opowiedział nawet o „kaprysie słonecznym". I Daniłow słuchał uważnie, jakby się domyślał, co się dzieje w duszy leżącego obok nowicjusza.

„Pójdziemy razem... za wspólną sprawę..." — powtarzał sobie Tin Tinycz słowa Daniłowa, po raz pierwszy czując w całej pełni, nie tylko mózgiem i zmysłami, lecz całym ciałem, co to znaczy pójść razem za wspólną sprawę.

* * *

Zdobyli wieś, która nazywała się śmiesznie Gusinka. Niemcy cofnęli się. Ludzie biegli na spotkanie czerwonoarmistom. Dzieci, kobiety, starcy... Siwa kołchoźnica schwytała Tina Tinycza za rękę, zatrzymała go i uścisnęła w milczeniu. Łzy spływały po jej twarzy. Walentyn Walentynowicz słyszał, jak gdyby przez sen, jak stara kobieta mu dziękuje. Był zawstydzony i wzruszony. Dzieci wiejskie biegły za żołnierzami, zaglądały im w oczy i wołały:

— Czekaliśmy na was — czekaliśmy...

Chłopczyk w butach filcowych odzianych na bose nogi (tak zeskoczył z pieca) dreptał za Tin Tinyczem i mówił z radością:

— Wiedzieliśmy, że nasi przyjdą. Myśleliśmy sobie, że muszą Niemców przepędzić. Wszyscy czekali, czekali...

Walentyn Waletynowicz przycisnął główkę chłopca do piersi. Był zdumiony: więc to na niego, na Walentyna Walentynowicza czekano, więc to o nim właśnie myślano, że przyjdzie i przepędzi Niemców.

I przyszedł. Nieznana wieś Gusinka stała mu się od razu bliska. Patrzył miłośnie na roztrzęsione wiatrem dachy, na opłotki pomiętoszone przez Niemców, na umęczone twarze ludzkie. I pojął jeszcze głębiej, jeszcze wyraźniej, jeszcze bardziej dotykalnie: Gusinka — to ojczyzna właśnie. Mógł zginąć w bitwie o tę Gusinkę, o której nigdy dotąd nie słyszał, i znaczyłoby to, że zginął za ojczyznę. Ale wyszedł cało, by walczyć o inne Gusinki, o wsie i miasta, o każdą garść ziemi ojczystej. Czekają nań.

— Tin Tinycz, idziemy! — zawołał żołnierz Daniłow. Walentyn Walentynowicz ruszył szparko naprzód, jakby go wołano do ataku.

— Dokąd to? — roześmiał się Daniłow. — Idziemy się pogrzać.

Siedzieli w ciepłej izbie. Otoczyli ich ludzie.

Niemcy zeżarli wszystko we wsi: mleko, śmietanę, kury, prosiaki. Walentyn Walentynowicz i Daniłow pili gorącą wodę i zagryzali żytnimi sucharami. Ale czyż to jest najważniejsze? Walentyn Walentynowicz czuł się szczęśliwy.

— Tak to jest, — mówił z zadowoleniem Daniłow. — Poczekaj, Tin Tinycz, będą jeszcze lepsze rzeczy... Poczekaj, Tin Tinycz, my z tobą jeszcze i twój kwiatek słoneczny wyhodujemy... Jak się z faszystami załatwimy, nasadzimy tych kwiatów po całym świecie.

— Gdzie tu teraz czas na kwiaty!... Głupstwa gadasz! — uśmiechał się wstydliwie Walentyn Walentynowicz, czując, że znalazł coś nierównie piękniejszego i ważniejszego niż kwiaty.

— Nie, dlaczego — protestował ze śmiechem Daniłow. — Kwiaty koniecznie zasadzić musimy wszędzie, i to same najpiękniejsze; jeśli twojego „kaprysu" nie znajdziemy, wymyślimy jeszcze piękniejsze, wyhodujemy nowy gatunek. Cały nasz kraj będzie jak ogród. Gosposiu, dajcie jeszcze skorupkę wrzątku!

I Daniłow pił gorącą wodę ze spodeczka z takim smakiem, jakby nie było lepszego napoju na świecie.

* * *

Zwiadowcy donieśli, że nieprzyjaciel gotuje się do kontrataku. Oddział okopał się za opłotkami, w pobliżu lasu. Walentyn Walentynowicz leżał obok Daniłowa, ramię przy ramieniu.

Byli w nastroju podniosłym, zwłaszcza nauczyciel. Poczta przywiozła podarki noworoczne: ciepłą odzież, papierosy, książki, torebki ze słodyczami i najrozmaitszymi miłymi drobiazgami. Podarki zostały rozdane. Mrużąc oczy z radości, a niekiedy ocierając nieproszoną łzę, żołnierze rozsupływali ogorzałymi rękoma sznurki na kolorowych woreczkach, podobnych do tych, jakie się daje dzieciom na choinkę. Dowódca głośno czytał listy. Listy były takie ciepłe, serdeczne, jakby pisały je rodzone matki, żony, rodzone dzieci. Były to listy od robotników z uralskiej stalowni, od kołchoźników kirowskich, od nauczycieli z Saratowa, od uczonych z Taszkientu, od gruzińskich dzieci... Walentyn Walentynowicz był jeszcze bardziej wzruszony, niż w owej Gusince, kiedy fizycznie niemal poczuł, co to jest ziemia radziecka. Do niego, do zwykłego, pospolitego człowieka prowadziły niezliczone nici ze wszystkich krańców ojczyzny. Nazywano go „obrońcą", „orłem", „naszą nadzieją", „ostoją", oczekiwano od niego czynów, błagano, by jak najprędzej, jak najprędzej zmiażdżył krwiożercze faszystowskie ścierwo.

Walentyn Walentynowicz otworzył swój węzełek, wesoły, różowy i pachnący, jak kwiatki groszku. Wydostał zeń naj-

4—807

pierw tytoń, potem cukierki w jaskrawych papierkach, puchowe rękawiczki, flakon wody kolońskiej z naiwną lila wstążeczką. Szukał listu... Jest! Chciwie podniósł go do swych niebieskich oczu krótkowidza.

„Drogi nasz żołnierzu Czerwonej Armii, piszą do ciebie rybaczki astrachańskie. Drogi nasz bohaterze..."

Krew napłynęła do skroni nauczyciela.

— Tin Tinycz, popatrz, co mi przysłały saratowskie dziewczęta! — usłyszał nagle soczysty i tym razem rozrzewniony głos Daniłowa.. — Popatrz! No, czy można w takie cuda nos wycierać? Zawieszę w ziemiance... Dla ozdoby.

Końcami wielkich, silnych palców trzymał Daniłow ostrożnie, niczym kruchy klejnot, mikroskopijną batystową chusteczkę z wyszytymi niezapominajkami.

Walentyn Walentynowicz spojrzał z roztargnieniem na Daniłowa. Nie dosłyszał, co mówi jego przyjaciel, cały był bowiem we władzy uczuć i pragnień, jakie wezbrały w nim nagle. Pragnienie było jedno: bić Niemców. W tym to podniosłym nastroju ruszył Walentyn Walentynowicz w drogę i okopał się za opłotkami, w pobliżu lasu.

Świtało już, ale księżyc nie zaszedł jeszcze i śnieg wydawał się zielonkawy.

Nagle dał się słyszeć jakiś dziwny trzask.

— Niemcy...

— Idą.

To żołnierze szeptali.

Tin Tinycz spojrzał i osłupiał. Przerażenie zastygło mimo woli w jego oczach. Las rozstąpił się. Fizylierzy faszystowscy, w czarnych płaszczach, szli murem wyprostowani. Automaty mieli przewieszone na pasach na szyi, i złowieszczo klaskali w ręce. Szli miarowym krokiem i klaskali. Niekiedy strzelali na oślep, nie zdejmując automatów. I znów klaskali. Czarna ściana sunęła w milczeniu naprzód. Było to dziwne i ponure widowisko.

— Co to jest? — Tin Tinycz schwytał Daniłowa za rękaw.

Daniłow uśmiechając się z grymasem, patrzył na czarne potwory.

— Psychologiczny — szepnął kącikiem ust.

Był to atak psychologiczny. Niemcy chcieli ich oszołomić, by potem naskoczyć i uderzyć. Ale żołnierze znali już te kawały hitlerowskich zuchów. Rozkaz dowódcy z szybkością błyskawicy obiegł formację. Żołnierze zamarli, nie ruszając się naprzód ani w tył, jakby zastygli.

Walentyn Walentynowicz wciąż jeszcze nie mógł się otrząsnąć z odrętwienia. Ciemna ściana szła prosto na niego. Dźwięk złowieszczych oklasków wśród milczącej, księżycowej drogi rozlegał się w uszach, jak uderzenia pioruna.

I nagle Daniłow upadł. Jęknął, i jak zrąbany dębczak zwalił się w śnieg. Śnieg natychmiast zabarwiać się począł czerwienią. Walentyn Walentynowicz krzyknął, pochylił się nad Daniłowem, ale potężne ciało przyjaciela było nieruchome. Zbłąkana kula faszystowska położyła go trupem na miejscu.

— Bydło! — zawołał nieswoim głosem Tin Tinycz. Twarz jego wykrzywił grymas, w oczach mu pociemniało, nienawiść zgasiła strach w źrenicach. Przez drobny ułamek sekundy stał nad zwłokami towarzysza. Sanitariusz odepchnął go. W tejże chwili padła komenda. Dopuściwszy nieprzyjaciela zupełnie blisko, żołnierze rzucili się do ataku. Walentyn Walentynowicz skoczył pierwszy.

— By-y-y-dło! — ryczał z wściekłością nauczyciel, nie czując nic prócz gniewu. I dźgał. Ze straszliwą siłą dźgał tę czarną ścianę. Za wszystko. Za szeregowca Daniłowa, za dzieci, za kwiaty, za rybaczki astrachańskie, za robotników z Uralu, za saratowskich nauczycieli, za górników z Donieckiego Zagłębia, za wszystkich ludzi radzieckich, za życie na ojczystej ziemi, do której wpełzło to obrzydłe faszystowskie bydło!

ALEKSANDER ILJICZENKO

OPARZENIE TRZECIEGO STOPNIA

Stefan Hramadżora prowadził pociąg śród nieprzenikniorych ciemności. Świateł nie zapalano, by się nie zdradzić.

Most na Berezance mógł być zbombardowany każdej chwili. By go przebyć przed świtem, trzeba było się spieszyć. Poklepując niecierpliwie po ramieniu zdyszanego od pracy palacza, Stefan domagał się jeszcze węgla, i jeszcze i jeszcze... Kiedy zmordowany chłopak spóźniał się o chwilę, zostawiając otwarte palenisko, i zdradzieckie odblaski ognia poczynały tańczyć po torze, Stefan wymyślał palaczowi, ale słów nie było słychać — przeładowany pociąg turkotał tak, że zagłuszał nawet niedalekie pohukiwania dział przeciwlotniczych.

Trzeba było się spieszyć! Młody wąsaty Uzbek z ręką na temblaku, komendant pociągu, wiozącego na front pociski, na ostatnim mimowolnym przystanku przybiegł znów do lokomotywy. Nie prosił już maszynisty, by jechał szybciej, tylko nie

wiadomo poco, pokazał staremu gęsto spleciony bicz z jakiejś suchej trawy, podsunął mu go pod nos, schował znowu za pazuchę i niezgrabnie potrącając ranioną ręką o rygle, pobiegł zpowrotem do swego wagonu, do żołnierzy.

Trawę nazwał góral po swojemu, po uzbecku — „jałpys", ale pachnące zielsko wydało się maszyniście dobrze znane. Takie same zupełnie rosło w jego stronach, w górach Bukowiny, na urwistych brzegach Wyżanki; nazywało się tylko inaczej — macierzanka... Stary zdążył oderwać kilka łodyg i wąchał je, rozgniótłszy w palcach wolnej prawej ręki, i sam tego nie dostrzegając, poprowadził pociąg szybciej i ostrożniej.

W ostatnich czasach Hramadżora jeździł razem z milczącym i skupionym lejtnantem Husanowem, jeszcze niedawno uczniem pierwszego kursu instytutu medycznego. Obaj byli góralami i rzadkie chwile wytchnienia starali się spędzać razem. Uzbeka wciąż jeszcze trapiły przedwojenne marzenia — by po instytucie medycznym wrócić do rodzinnego kiszłaku Arykbaszi. Cienkim dyszkantem śpiewał piosenkę o białym szczycie Czatkalu, a czasami przypominał mu się jego „koń długoszyi i rączy" jak w pieśni — mały, dobry konik, którego zostawił w tymże kiszłaku... Maszynista słuchał i tylko wzdychał. Rodzinne jego Karpaty były daleko, nie bliżej chyba niż surowe łańcuchy Tjań-Szań, z których przywędrował tu na wojnę lejtnant Izzat Husanow, by walczyć o shańbioną Ukrainę... Po górach Stefana chodził wróg, na jego koniu jeździł zapewne jakiś Rumun lub Niemiec. Stary utracił wszystko, prócz tego parowozu, — tylko ten parowóz zdążył wyprowadzić spod nieprzyjacielskiego ognia. Uzbek i Ukrainiec przypominali sobie nazwy ojczystych szczytów, ich kształty, barwy i wonie — obaj górale służyli teraz jednej sprawie, walczyli ze wspólnym wrogiem, choć nazywali odmiennie jedną i tę samą trawę.

Sztywne łodygi „jałpysu" przypomniały znów Stefanowi wiele rzeczy, o których pragnął zapomnieć... Ale oto lewym torem przemknął biegnący z przeciwnej strony pociąg — i obaj, maszynista i lejtnant, pomyśleli chyba jednocześnie o jednej i tej samej dziewczynie. Była to Mirosława, córka Hramadżory, która spodobała się czarnowąsemu lejtnantowi. Czy to nie ona przejechała na lokomotywie biegnącego naprzeciw pociągu?

Córka Stefana pracowała jako pomocnik maszynisty na tym samym odcinku, tuż za frontem. Izzat Husanow rozmawiał z nią zaledwie może dwa razy, ale myślał o niej nawet w najcięższych chwilach. Kiedy pluton znalazł się w okrążeniu, Husanow, ostrzeliwując się zaciekle, nie przestawał myśleć o niej. Kiedy odłamkiem oderwało mu palec u lewej ręki, Izzat, by nie jęczeć, póki chirurdzy coś mu tam zaszywali, także myślał o niej. Wiedział co prawda, że w jego brygadzie konduktorskiej jeździ młody mąż Mirosławy, niezgrabny i ogromny chłop Pietro Perejma. Stary Hramadżora opowiadał Izzatowi, że pobrali się całkiem niedawno, już po rozpoczęciu wojny, ale nic nie mówił lejtnantowi o ziszczeniu się jego marzeń — o tym, że Mirosława spodziewa się od Piotra — i od trzech miesięcy już nosi — syna, czy też, jak Bóg da, córki.

Na wojnie było to dla Stefana wielkim pocieszeniem. Pietro Perejma, ojciec jego przyszłego wnuczka stał się od razu dla Hramadżory człowiekiem bliskim, Pietro miał spryt, choć z pozoru był to chłopak beztroski, lubił dobrze sobie podjeść i popić. Prawdę mówiąc, niezbyt się podobało Hramadżorze, że jego zięciunio, kiedy przebrał miarę, robił sobie wyrzuty, że opuścił rodzinne strony, ale stary unikał myśli o jego narzekaniach, i kiedy noc była chłodna, kaszląc zdejmował z ramion futrzany półkożuszek wyszywany kolorową wełną i szedł do Piotra na hamulec, by okryć zięciunia cieplej. Jeśli udało się Stefanowi zdobyć w bufecie puszkę konserw mięsnych, uważnie przygrzewał ją przy kotle parowozu i biegiem niemal — póki jeszcze gorąca — zanosił ją Perejmie...

Stary marzył o wnuku: to widział go już w domu, tam w dalekiej Wyżance, wśród ciemnych świerków, pod zwiewnym, lekkim słońcem wiosennym, to wpatrywał się w jego oczęta, podobne do oczu Mirosławy, złocisto zielone, niewielkie, leciutko skośne, z głęboko ukrytymi ognikami...

Suche źdźbło jałpysu, roztarte w oziębłych palcach, starło się już na pył i rozproszyło na wietrze, ale cierpki zapach jego stał się jeszcze silniejszy. Stefan dmuchał na palce i upajał się wonią, która doleciała tu z dalekiego Tiań—Szaniu, czy może z Karpat.

Jak zawsze, prawe ramię i bok zastygły mu od chłodu, a lewy spływał potem z gorąca. Stary kasłał gęsto i z trudem, za każdym razem przypominając sobie Izzata...

— Żeby nie wojna — mówił Hramadżorze Uzbek, — żeby nie wojna, zapisałbym wam, Stefanie, proszki uzdrawiające na ten kaszel... — i zamyśliwszy się, dorzucał w rozmarzeniu uczone: — Pulvis Doveri, tak, pulvis Doveri!

Od kaszlu łzami zachodziły obrzękłe oczy, ale trzeba było patrzeć uważnie: przed pociągiem, całkiem już niedaleko, dudnił na wietrze ażurowy most Berezański, łączący zaplecze z

prawym brzegiem. Tam, w oddali wrzała bitwa. Mogło już nie starczać pocisków, i trzeba było się spieszyć.

Palacz z obawą spoglądał na manometr, ale łopaty jednak z rąk nie wypuszczał. Reflektory wyraźnymi smugami krajały niebo na kanciaste odcinki. W którymś promieniu błysnął podwójny spadochron, ale strącony najwidoczniej, rychło utonął w ciemności. Gdzieś niedaleko od pociągu upadła bomba, Hramadżorze zerwało z głowy czapkę i cisnęło ją do otwartego paleniska. Płomień zakołysał się i zahuczał jeszcze donośniej, jakby na palenisko starej lokomotywy dmuchnęło falą powietrza.

Pociąg szedł jeszcze szybciej. Nieokryta głowa poczęła marznąć, bieg pociągu zapierał oddech, — stary maszynista nigdy jeszcze nie wiózł tak ciężkich ładunków... Szybciej, szybciej!... Ale Hramadżora, ogłuszony nieco przez wybuch, chwycił nagle lewą ręką regulator i korbę... Sprężone powietrze zasyczało. Wydało się staremu, że w poprzek toru leży coś wielkiego i czarnego, przypominającego zwalony słup telegraficzny.

Do zatrzymania pociągu wszakże nie doszło. Maszynista zorientował się natychmiast, że jest to tylko ostry cień drzewa spod budki dróżnika, na które przez sekundę padło światło reflektora... Stefan zwolnił hamulce, znów oparł się o parapet okna, i patrzył w przód i w górę, na czarne niebo, starając się stopniowo nabrać poprzedniej szybkości.

Chciało się staremu zapomnieć o wszystkim, nie myśleć o tych straszliwych sprawach, jakie się działy dokoła. Spoglądając na białe promienie, pomyślał, że przypomina to bodaj grube kresy kredą na tablicy szkolnej. Przypomniało się Stefanowi, jak jego młodszy synek, Tarasko, brat Mirosławy, zeszłej zimy po raz pierwszy poszedł do szkoły. Nauczycielka, która malca zapisywała, spytała go o imię ojca. Nagle onieśmielenie zdjęło Taraskę, czy co — dość że zapomniał. „No więc, jakże mu na imię?“ — po raz któryś już z rzędu pytała nauczycielka. „Nie wiem“, — odpowiedział gniewnie malec, zły że go czepiają. „No, a jak mama woła cię na śniadanie?“ — nie ustępowała Hanna Iwanowna. „Mama mówi: Tarasko, chodź jeść“, — odpowiedział Taras. „Dobrze, — podchwyciła nauczycielka. — A teraz powiedz, jak mama woła do stołu ojca? — Ale ona go nie woła wcale, tylko krzyczy zawsze... — „No więc, jak krzyczy?“ — „Stefan, chodź, bo ostygnie...“

„Więc wiesz jednak, jak ojcu na imię?“ Ale Taras, nic nie rozumiejąc, wciąż w kółko powtarzał: „Nie wiem“.

Wspominając to, Stefan uśmiechał się pod siwym, nastroszonym na wietrze wąsem i myślał o Tarasie, jak o kimś żywym, choć chłopca dawno już nie było na świecie, zaraz pierwszego dnia wojny zginął razem z matką od niemieckiego pocisku... A teraz, skoro tylko wojna się skończy, Stefan będzie miał wnuka!

I stary myślał znowu: kiedyż Mirosława będzie musiała wziąć urlop? Ale ona jest taka, że bodaj nieprędko go weźmie. Pomyślał zarazem o pewnej oschłości jej męża, i o pociskach w dudniącym za plecami pociągu, i o lejtnancie Husanowie, który wiezie te pociski na zwycięstwo, na koniec wojny, dla syna Mirosławy... Prędzej, prędzej przebyć most, wyładować pociski — i zpowrotem, po nowy transport! A jeszcze trzeba będzie na przystanku dać coś do jedzenia wybrednemu Piotrowi, żeby Mirosława podziękowała ojcu, żeby zepsuty chłopak nie wyrzekał, jakby mu rzeczywiście źle było. Wciąż tylko narzeka, że chce do domu — wszystko jedno, choćby do Niemców, do samego diabła — byle tylko wyspać się za wszystkie czasy i nie podciągać pasa na brzuchu bez gorącego jadła.

Maszyna pracowała normalnie, ale poprzedniej szybkości nabrać nie mogła. Mechanik wsłuchiwał się w oddech parowozu i nagle z niepokojem wyjrzał przez okno na biegnący za nim pociąg. Tak, tak, parowóz idzie nawet wolniej, jakby ciężej. Stefan natychmiast przekręcił korbę. Ale nawet westinghouse nie pomógł. Wypuściwszy sprężone powietrze ze zbiornika do przewodu, Hramadżora przekonał się, że widocznie w którymś wagonie pociągu przykręcono ręczny hamulec, mocno przyciskając ciężkie klepki do kół.

Pociąg szedł jeszcze wolniej. Maszynista dawać począł podwójne gwizdki — sygnały: „zwolnić hamulce!“ — ale i to nie pomagało.

Most był już blisko, miejsce było najniebezpieczniejsze, zatrzymać się tu było rzeczą bardzo ryzykowną. Hramadżora, zły i zakłopotany, wychylił się z okna i wypatrzył, który wagon jest nie w porządku. Widać było wyraźnie: klepki hamulca, przywarte mocno do kół wagonu, wskutek potężnego tarcia sypały w ciemności iskry. Hramadżora pomyślał początkowo, że się myli. Potem, przeliczywszy wagony, przekonał się, że to wagon Piotra Perejmy. Stary przeląkł się nie na żarty: każdemu tu coś się mogło przytrafić. Wyobraził już sobie, że jakiś wróg skoczył Piotrowi na hamulec, mógł go zabić, i czego Boże broń teraz właśnie, w najniebezpieczniejszym miejscu zatrzymać pociąg i zniszczyć pociski!

Wszystko to przemknęło szybko staremu przez głowę, ale Stefan zwalczył w sobie chęć zatrzymania pociągu, by się dowiedzieć, co się zdarzyło Piotrowi, i usiłował jednak pchać pociąg naprzód, by świt zastał ich już na drugim brzegu.

Strach ogarniał go na myśl, że oto on, stary maszynista, musi dokonać teraz czegoś takiego, od czego, być może, będzie nawet zależało zwycięstwo tam, nad brzegiem Berezanki, i losy doskonałego mostu, i życie wielu żołnierzy, a nawet los całego miasta... Strach ogarniał na myśl, że Piotr leży na swej platformie hamulcowej z rozbitą głową, okrwawiony, w wyszywanym w jaskrawe kwiaty futrzanym półkożuszku, i że wnuczek Stefana, nienarodzony jeszcze, zostanie sierotą... A Mirosława?

A jednak pociąg trzeba było zatrzymać. Gdzieś nad nim, jakby wymacując go w ciemności, krążył samolot niemiecki. Pozostawiając pomocnika i palacza na lokomotywie, potykając się o podkłady, bez czapki, z rozwianymi na wietrze siwymi, długimi włosami, biegł Stefan w kierunku swej platformy hamulcowej. Naprzeciw, krzycząc coś po uzbecku żołnierzom, gaszącym wagon, który się zapalił, biegł Izzat Husanow. Hramadżora przywołał lejtnanta i pokusztykał dalej szukać Perejmy.

Ale Piotr był na miejscu cały i zdrowy. Stefan, rozeznawszy w ciemności jego ogromny cień, zawołał z daleka:

— Co tam u ciebie się dzieje?

— Nic, a bo co?

— Pocoś hamował? — spytał Stefan zanosząc się kaszlem.

— Ani mi w głowie, — z dziwnym spokojem odpowiedział Perejma. — To chyba gdzieś w innym wagonie.

— Sam widziałem: w twoim, w twoim, w twoim! — zawołał nagle maszynista, z trudem łykając powietrze. — A skąd iskry? Z moich oczu, czy co?

— Niceście, ojcze, nie widzieli, — odpowiedział z uśmiechem Piotr, zeskakując na ziemię. — Popatrzcie sami.

Hramadżora, nic nie rozumiejąc, dreptał przy kole. Widział, że wszystko jest w porządku, że klepki hamulca nie przylegają do koła, ale nawet własnym oczom nie wierzył: wiedział, że omylić się nie mógł. Nie wyobrażając sobie, co robić dalej, wpatrywał się pytająco w nieprzeniknioną twarz Uzbeka. Chciał już wracać na parowóz, by jak najprędzej przebyć niebezpieczne miejsce i pędzić dalej, lecz nagle zapytał ot tak sobie, przy okazji, na wszelki wypadek:

— A nie zwolniłeś ty, synku, hamulca po zatrzymaniu pociągu?

Piotr chciał coś odpowiedzieć, ale od strony mostu znów zadudniło i Izzat Husanow szybkim ruchem zwrócił się do Hramadżory.

— Kończ sprawę, — powiedział. — To on.

— Nie może być! — zaprotestował przestraszony Hramadżora i podszedłszy do Perejmy, spytał go z jawną nadzieją w głosie: — Prawda przecież, Piotruś. Tyś przecie, chwała Bogu, był chłopak jak się patrzy... — Ale spojrzenie jego padło znowu na klepkę i by przekonać się raz jeszcze, gniewnie wziął Piotra za rękę i z niespodziewaną siłą szarpnął ją w dół, przyginając draba do ziemi. Ostatni raz cię pytam — rzekł Hramadżora nie zdając sobie jeszcze w pełni sprawy z tego, co robi.

— Nie hamowałem, — powoli wycedził Piotr, nie wyrywając zresztą ręki. Nagle jednak wydał dziki okrzyk i zawył z bólu. — Tato! — jęczał. — Tato, tato!

Izzat również nie od razu pojął, co zaszło: Hramadżora, przygiąwszy zięciunia do ziemi, silnym szarpnięciem przycisnął jego prawą dłoń do klepki hamulcowej.

Rozpalona od tarcia klepka nie ostygła jeszcze, i skóra na dłoni Piotra zwęgliła się w mgnieniu oka. Wyrywał się z wściekłością, ale ojciec, straciwszy panowanie nad sobą, trzymał go ze straszliwą siłą; a ręka zaczynała już dymić. Stefan nie myślał ani o Mirosławie, ani o wnuku, ani o niczym, tylko o moście na Berezance i o pociskach, które leżały w tych wagonach.

Kiedy Pietro wyrwał się wreszcie z ojcowskich rąk i począł uciekać od pociągu w ciemność, czy to sam Izzat, czy ktoryś z żołnierzy wystrzelił mu w szerokie plecy, odcinające się kolorowymi ściegami na stebnowanej skórze półkożuszka.

— Oparzenie trzeciego stopnia — burknął Izzat, przypominając sobie ni stąd ni zowąd swą medycynę.

A po kilku minutach pociąg biegł już znów naprzód, zbliżając się do upragnionego mostu. Stary był tak zajęty swoją pracą, że nie pomyślał nawet o nieostygłym jeszcze trupie człowieka, który przed chwilą spadł z nasypu.

Most na Berezance był cały. Pociski, które przywiózł Stefan, zdążyły akurat na czas. Rankiem nieprzyjaciel drgnął i nasi ruszyli naprzód, wdarli się o jakieś trzydzieści kilometrów na zachód — zaczynała się wielka ofensywa. I stary poczuł, że znów zbliża się do swej Wyżanki, do zboczy górskich Bukowiny, i znów myśleć zaczął o Mirosławie, o wnuku; i

znów na przystankach, by odpędzić od siebie smutne myśli, gawędził po cichu z Izzatem, przypominał sobie nie wiedzieć czemu, jak to raz wespół z Taraskiem udał się daleko w góry... Nie potrafiłby tego opowiedzieć szczegółowo, ale pamiętał dokładnie, jakby to był widział przed chwilą, jak wówczas kłaniały się znajomym skałom i burzliwej rzece kwiaty i jaskrawe pióro na zielonym kapeluszu chłopca. Niżej, w dolinie słała się mgła, a na górze, zupełnie, zupełnie blisko płonęło lekkie słońce jesienne i było wtedy jasno i dobrze na duszy; chciało się wdrapać jeszcze wyżej, tam gdzie kołował nad skałami ogromny berkut, gdzie biały obłoczek, uczepiony czarnej kity na szczycie ciemnego, suchego świerczku, topniał nad urwiskiem, nad skłębioną mgłą. Ale gdzie się podziała mgła? Wszystko nagle zmieniło się dokoła. Urwiska stały się jeszcze bardziej strome, świerki sczerniały zupełnie i skłębiły się, a w dole ukazali się jacyś ludzie w mundurach straży granicznej, i Hramadżora, uradowany ze spotkania, podszedł do nich bliżej. Nie myślał wtedy zupełnie, że Taraska już wkrótce nie będzie na świecie, i że on sam będzie tu, z dala od domu, prowadził takie ważne pociągi, stanie się okrutny, tak straszliwie i nieubłaganie będzie mścić za swego syna...

Tegoż dnia na dworcu w Berezance Izzat odszukał znajomego felczera i długo o coś wypytywał, po czym przyniósł do parowozu jakieś białe zawiniątko.

— Co to jest? — spytał Stefan.

— Ależ to dla ciebie, od kaszlu, — odpowiedział Izzat i z zadowoleniem dodał po łacinie: Pulvis Doveri!

Po dwu dniach Izzat i Hramadżora spotkali się w parowozowni z Mirosławą i opowiedzieli jej o wszystkim, co zaszło. Stary wciąż jeszcze nie mógł się ocknąć po tej straszliwej nocy — bał się bardzo tego spotkania. Stali wszyscy troje przy pompie rozbitej przez bombę, i córka nie rozpłakała się nawet pod wpływem gniewu, jaki ją nagle ogarnął, zdarła tylko z głowy chustkę i pocałowała ojca, i to do reszty stropiło starego. Mirosława odwróciła się od mężczyzn, a potem nagle położyła się na ziemi, na ciepłym szlaku, i długo tak leżała z twarzą zwróconą ku ziemi.

Stefan z Izzatem stanęli przy kupce żwiru; stary miał w ręku źdźbło jałpysu, który wyprosił od lejtnanta rano z jego utajonych zasobów.

Gdy ojciec uniósł głowę, Mirosławy już przy pompie nie było. Twardym, szerokim krokiem szła szybko gdzieś w pole, a potem, odwróciwszy się nagle, zamachała ręką i skręciła raptownie w bok, w kierunku swego parowozu.

MAŁŻEŃSTWO CZYSTIAKOW

Mała stacyjka wysokogórska latem służyła jako schronisko dla nielicznych alpinistów, którzy zabrnęli aż tutaj, zimą zaś — jako siedziba samotnych uczonych, badających wahania temperatury i ruchy mas powietrza. W tym roku zamierzali tu zostać na trzecią zimę Eugeniusz i Lidia Czystiakowowie, młodzi meteorolodzy leningradzcy, zakochani w sobie nawzajem i w nauce.

Dobiegała już końca późna jesień i ostatnie ścieżki zasypał ciężki śnieg. Zima zamykała na lodowaty zamek przełęcze i drogi na szczyty. Mała stacja radiowa łączyła zimujących ze światem zewnętrznym. W posrebrzonych lampach huczały miarowo przestrzenie. Poprzez łańcuchy gór, poprzez lodowate, zimne morze, przez stepy i lasy dobiegał ich głos z Moskwy. Ze wzruszeniem i drżąc słuchali komunikatów wojennych o posuwaniu się wojsk niemieckich na Kaukazie.

Pewnego razu o świcie, kiedy Czystiakowowie spali jeszcze w swych workach jelenich, za oknem ich domku rozległ się ciężki warkot silników. Warkot to zbliżał się, to zamierał, jakby gdzieś w pobliżu krążył samolot w poszukiwaniu zdobyczy. Kiedy Czystiakow skoczył do okna, w niskich śnieżnych chmurach nikł cień oddalającego się samolotu. Eugeniusz i Lidia długo nie mogli zasnąć, zatrwożeni tą czarną zjawą. Po upływie pół godziny, zastukano silnie do dzwi domku. Potem dzwi, zerwane z haczyka, rozwarły się szeroko i do domu wpadło trzech spadochroniarzy z automatami w rękach. Mieli na sobie wełniane ubrania alpejskie, które nadawały im wygląd sportowców i tylko automaty w rękach i hełmy na trykotowych czapkach zdradzały żołnierzy. Dwaj z nich, z poczerwieniałymi od górskiego słońca twarzami, mieli wygląd bandytów, trzeci zaś, w złotych okularach, z delikatnymi rysami twarzy cały był jakby pełen poczucia swej wyższości nad tymi dwoma żołnierzami i nad całym pozostałym światem.

Mężczyzna w złotych okularach, ledwie wszedł, strzelił w aparat radiowy. Kryształowy świat lamp rozsypał się z brzękiem. Czystiakowowi wydało się, że kula trafiła go w serce. — Oberlejtnant Hugo von Bischof — przedstawił się gość w okularach. — Od tej chwili terytorium to zajęte jest przez wojska niemieckie. Obowiązani jesteście państwo spełniać moje rozkazy. Przede wszystkim dacie spokój waszym zajęciom, — wskazał na stosy książek i tablice synoptyczne, roz-

wieszone po ścianach, — i będziecie pomagali nam przy oczyszczaniu terenu na lądowanie samolotu.

Czystiakow spojrzał na Lidię. Czarne, jakby w węglu kamiennym wyrąbane włosy czyniły jej twarz jeszcze bledszą.

— Nie będziemy oczyszczali terenu dla waszego samolotu, — powiedział spokojnie Eugeniusz Czystiakow ze stanowczością, jaka cechuje niekiedy ludzi dobrych i roztargnionych.

— Czemuż to? — zapytał ironicznie oficer. — Czyżby praca fizyczna ubliżała uczonemu?

— Nie, — odpowiedział Czystiakow. — Ale uczonemu ubliża zdrada.

— A jakiego pani jest zdania w tej sprawie, madame? — zwrócił się oficer do Lidii.

— Nie zwykłam sprzeczać się z mężem.

— Pal was diabli — zaklął oberlejtnat. — Oczywiście, wartoby was powiesić za wasz upór. Wasze szczęście, że jesteście nam potrzebni do ważniejszej sprawy.

Trzy doby pracowali Niemcy, po kolei pilnując Czystiakowów, oczyszczając łopatami i kilofami teren do lądowania samolotów na naturalnym górskim plateau w pobliżu stacyjki. Czwartego wieczora rozpalili ognisko i na placyku wylądował „Junkers". Dwudziestu robotników lotniskowych wysiadło z ciężkiego samolotu transportowego i zabrało się do budowy lotniska. Następnego dnia na gotowe lądowisko przybywać zaczęły maszyny z wojskiem i ekwipunkiem. W krótkim czasie zagospodarował się tu, w pobliżu szczytu, cały oddział wysokogórski, dobrze wyekwipowany i uzbrojony. Byli to doborowi strzelcy alpejscy z dywizji niemieckiej „Górska róża", którą dowodził generał Lanz. Dowódcą oddziału był Hugo von Bischof.

Kiedy oddział wypoczywał jeszcze i szykował się do akcji, Hugo von Bischof wdział podkute hakami buty i wdrapał się na szczyt góry, na której znajdowało się obserwatorium. Zgodnie z międzynarodową tradycją alpinistyczną, ten kto ostatni wdrapał się na szczyt, pozostawia tam w metalowej szkatułce ćwiartkę papieru ze swym imieniem i nazwiskiem. Hugo von Bischof wyjął ze stalowego pudełka papierek, na którym widniało nazwisko: Mikołaj Wierbicki (był to znany mistrz alpinizmu, który przed dwoma laty zdobył ten szczyt) — i włożył zamiast niego swój bilet wizytowy z gotyckimi inicjałami.

Po powrocie oberlejtnant wezwał Czystiakowów i oświadczył im:

— Moi państwo. Oddział nasz jutro schodzi do doliny. Jeżeli nie chcecie, by wasze dusze uleciały do nieba, — stąd do raju jest przecież bardzo blisko, — wskażcie nam drogę przez przełęcz. Wiemy doskonale, że ścieżkę zimową znacie.

Eugeniusz Czystiakow spojrzał na żonę i widząc, jak spokojnie opuszcza powieki, odpowiedział:

— Nie znam żadnej drogi przez przełęcz.

Oberlejtnant zmrużył gniewnie oczy za cienką złotą oprawą okularów.

— Powtarzam: posiadamy pewne informacje, że znacie zimową ścieżkę. Mieszkacie tu już trzecią zimę, — i von Bischof zrobił krok w kierunku Czystiakowa.

Ten nie spuścił wzroku. Patrzyli tak na siebie minutę.

— Twierdzi pan stanowczo, — ciągnął lejtnant — że nie znacie ścieżki.

— Nie, nie znamy.

Hugo von Bischof odpiął futerał i rękojeścią swego parabellum uderzył w okulary Czystiakowa, wbijając mu odłamki rozbitego szkła w prawe oko.

Czystiakow krzyknął z piekielnego bólu, a Lidia w przerażeniu skoczyła do von Bischofa. Ale silne dłonie żołnierzy schwytały ją z tyłu.

Czystiakow stał przed swymi oprawcami, a oko spływało mu na but. Ale wściekłość, wywołana nieludzkim bólem, dodała mu sił, by utrzymać się na nogach.

— Znam ścieżkę dobrze, — powiedział, — ale nie pokażę jej wam nigdy. Słyszycie, mordercy?

— A pani, madame? — zwrócił się Bischof do Czystiakowej.

— A ja... ot co! — i Lidia plunęła mu w twarz.

Spokojnie otarł chustką plwocinę i wycedził dobitnie:

— Cóż, madame, mój oddział nie jest tak wielki: wszystkiego osiemdziesięciu żołnierzy...

I zawołał przez okno:

— Chłopcy, bierzcie ją!

Kiedy wszelkie tortury i męczarnie zostały wyczerpane, ledwie żywych jeńców strącono w przepaść, na której dnie huczała niewidoczna z góry rzeka. Potok górski pochwycił ciała obu ofiar i z łoskotem zaniósł je w dolinę.

Po kilku dniach w pobliżu pozycji oddziału strzelców górskich kapitana Gulnowa woda wyrzuciła na brzeg dwa trupy. Zniekształcone i okaleczone zwłoki przybyły do doliny jak gońcy. Dowództwo oddziału domyśliło się, co zaszło na szczycie. Kapitan Gulnow postanowił ruszyć na szczyt, by zdecydo-

wanym natarciem strącić Niemców z łańcucha, póki się jeszcze na nim nie umocnili.

Ale zima zagrodziła już wszystkie przejścia pancernymi zaporami lodowymi. Jak dostać się na szczyt?

Oddział kapitana Gulnowa stał we wsi swańskiej. Na tej ogromnej wysokości, wśród majestatycznej przyrody mieszkali ludzie rośli i zręczni. Jedynym w całej wsi człowiekiem, znającym drogę zimową przez przełęcz na szczyt, był osiemdziesięcioletni Tariel Solani, który od dwu lat już nie wychodził z domu. Choroba zwolna wyczerpywała jego siły. Spokojnie oczekiwał śmierci w swym domku z drewnianymi gołębiami na dachu.

Wieczorem kapitan Gulnow włożył odświętny mundur, obciągnął pasy i poszedł do Tariela. Chory starzec leżał na słomie kukurydzianej w malutkiej wojłokowej czapeczce, przy rozpalonym w samej izbie, na klepisku, ogniu i palił fajkę w milczeniu.

U Tariela przesiedział kapitan Gulnow cały wieczór.

O świcie oddział strzelców górskich ustawił się w szyku przed chatą Tariela. Strzelcy ubrali się jak na defiladę w ubrania górskie i grube buty z hakami. Na szyjach, opalonych wysokogórskim słońcem, przewieszone mieli automaty, w dłoniach ich połyskiwały ciupagi, niebieskie okulary nad daszkami czapek, jak u robotników ze stalowni. Na plecach worki z materiałem wybuchowym, galety, konserwy, u pasa wiązki granatów.

Tariel był w lekkich sandałach ze skóry baraniej, w jakich Swanowie udają się na najdalsze wyprawy. Na plecy zarzucił torbę ze skóry kozicy i skłonił się przed żołnierzami. Jego żona Radimchan wyniosła „czuri" z winem — wielki dzban gliniany, który zakopuje się w ziemię, by wino fermentowało w nim i dojrzewało, oraz „czuwał" — pleciony koszyk z twardymi jabłkami górskimi. Stara każdemu żołnierzowi nalała po szklaneczce wina do drewnianego kubka, wydrążonego w pniu grabowym. I każdy z żołnierzy wychylił kubek, kłaniając się gospodyni.

Starzec doświadczonymi oczyma popatrzył na twarze żołnierzy, zwrócone ku niemu z ufnością i nadzieją, i uniósłszy drewniany kubek, powiedział:

— Chory jestem i stary, moje dzieci, i spodziewam się śmierci. Ale cóż znaczy śmierć Tariela w porównaniu ze śmiercią gór? Jeśli wejdą tu Niemcy — góry umrą. Pójdę z wami, moje dzieci.

I stanął na czele kolumny. Wkrótce sznur żołnierzy znikł za załomem lodowca.

Następnego ranka oddział kapitana Gulnowa niespodziewanym natarciem z tyłu rozbił strzelców Hugo von Bischofa z dywizji „Róża górska" i strącił ich ze szczytu. Hugo von Bischof został martwy na śniegu. A kiedy strzelcy Gulnowa umocnili się na wzgórzu, kapitan wdrapał się na szczyt, wyjął ze stalowej szkatułki kartę wizytową von Bischofa i rzuciwszy na wiatr jej strzępy, napisał na kawałku papieru:

„Szczyt ten obronili przed Niemcami Eugeniusz i Lidia Czystiakowowie".

PAWEŁ ŁUKNICKI

SIŁA ZWYCIĘSTWA

Kompania strzelców doborowych w ciągu czterech miesięcy położyła trupem siedmiuset osiemdziesięciu Niemców, nie tracąc przy tym ani jednego zabitego. Z trzech rannych dwaj powrócili już do szeregu. Dowódca kompanii starszy lejtnant Jerzy Pankow, w cywilu inżynier-mechanik marynarki handlowej, wsławił się w armii jako człowiek zdumiewającej odwagi i żelaznej dyscypliny, jako oficer doświadczony i bezlitosny mściciel krwi rosyjskiej, przelanej przez Niemców w zburzonych przez pociski domach leningradzkich. Sam własnoręcznie zabił przeszło stu dwudziestu faszystów. Pankowa znano pozatem jako wynalazcę nowego typu ręcznej broni, wyrabianego obecnie w niektórych fabrykach leningradzkich. Dwa medale „Za odwagę" i order Czerwonego Sztandaru były zewnętrznym świadectwem męstwa dwudziestoczteroletniego dowódcy. W sztabie mówiono o nim, że kule się go nie imają, i że przed wojną był to dobroduszny, wesoły chłopak, obecnie zaś śmieje się wtedy tylko, kiedy zabije faszystę, i że jest to śmiech — niedobry.

Postanowiłem zapoznać się z Pankowem. Chciałem wytworzyć sobie wyobrażenie, w jaki sposób ten spokojny i dobroduszny człowiek stał się wytrawnym żołnierzem, bezlitośnie bijącym wroga.

Śród lasów i bagnisk nad Ładogą, przedostałem się na linię czołową, na ten odcinek, którego broniła kompania Pankowa. W bagnistym zagajniku brzozowym, zrytym przez miny i pociski, postrzępionym przez odłamki metalu, znalazłem schron z bierwion, zamaskowany gałęźmi. Było tu czysto

i schludnie, na ścianach przybite były półki, na stole, wyciosanym z młodych brzózek, leżało zamiast obrusa żółte prześcieradło; przed pryczą — kotara z brezentu, dzieląca schron na połowy; przy drzwiach, na arkuszu blachy — piecyk żelazny, dający akurat tyle dymu, by odpędzać komary, lecz nie demaskować stanowiska dowództwa kompanii. Nic zbytecznego — ani papierka, ani śmiecia. We wszystkim czuło się dłoń systematycznego marynarza bałtyckiego.

Wysoki, krzepki w dłoniach, o ruchach, rzekłbym, płynnych, dowódca z trzema kwadracikami na wyłogach ochronnej barwy przedstawił się surowo: „Jerzy Pankow". I spojrzawszy w jego płomienne, bystre oczy, schwytałem się na myśli, że słowa te dźwięczały dla mnie jak „Jerzy Zwycięzca".

Jego energiczną, opaloną twarz z wysokim czołem przecinał potrójny ślad szramy, ciągnącej się wzdłuż całego lewego policzka. Śmiały zarys profilu Pankowa zachowywał wyraz klasycznej surowości tylko z jednej strony; tym bardziej przykry był widok drugiej, z fioletowymi zrostami na skórze, pociętej odłamkami metalu od ust do ucha.

Zasiedliśmy do stołu. Rozmowa nie kleiła się. Czułem, że ten człowiek niełatwo odsłoni przede mną swą duszę.

Przebyłem u Pankowa trzy dni... Przez cały pierwszy dzień taszczył mnie po pozycjach zajętych przez jego strzelców. Ostrzegając mnie przed ukrytymi drucikami i zamaskowanymi pod szarą poduszeczką mchu okrągłymi zielonymi puszkami, w których taiły się miny przeciwczołgowe, Pankow prowadził mnie „leśnymi farwaterami", znanymi tylko jemu i jego żołnierzom, kazał mi pełzać po korytarzach wewnętrznych, przełazić przez głębokie leje pełne rdzawej wody, przebiegać przez polanki pod obstrzałem, przywierać do ziemi w stanowiskach strzeleckich obok jego żołnierzy... Dał spokój wówczas dopiero, kiedy zapoznał mnie ze wszystkimi szczegółami swego bojowego „gospodarstwa".

Drugi dzień spędziłem na ożywionych rozmowach z kierownikiem politycznym i żołnierzami, z których każdy niemało już położył faszystów. Dopiero trzeciego dnia, po obstrzale z miotaczy min, w którym z lasu leciały drzazgi, poczułem, żeśmy się zaprzyjaźnili (na froncie do zaprzyjaźnienia się starcza niekiedy jednego dnia). Pankow począł ze mną rozmawiać szczerze, jak się to mówi — „z duszy".

Położyliśmy się spać obok siebie na twardych pryczach, przykrywając się płaszczami i nie zdejmując butów, by każdej chwili być w pogotowiu bojowym. Zbudziły nas bliskie wstrząsy wybuchów. Był to kolejny atak nieprzyjacielskich

moździerzy... Zapaliliśmy z Pankowem papierosy i tak długo oczekiwana rozmowa zrodziła się jakoś sama przez się. Nie było nawet potrzeby zadawania pytań...

— Przed wojną, wiecie, — zaczął Pankow, obserwując dym z papierosa, kłębiący się pod nieociosanymi z kory bierwionami niskiego pułapu, — wydawało mi się, myślałem w ogóle, że nie kocham żony. Kaprysiła niekiedy z powodu rozmaitych głupstw, i nie bardzo chyba lubiła pracować. Nie chodziło o zarobki — moich zarobków wystarczało aż nadto — tylko w ogóle... Wszyscy ludzie muszą pracować! A ona przesiadywała po dziesięć godzin na fotelu z książką w ręku! Ileż ona książek przeczytała! I jeszcze jedno: dzieci nie mieliśmy. Natasza przeszła ciężką operację i nie wolno jej było mieć dzieci. A co do mnie, nie miałbym nic przeciwko takiemu pyzatemu malcowi! Znacie przecież nasze marynarskie życie. Jeździłem do Hamburga i Londynu, do domu wracałem nie na długo. Za „dom" uważałem właściwie moją kajutę na statku, a nie przytulne mieszkanie, w którym czułem się jak gość Nataszy... Tego, co można by nazwać uczuciem pełni szczęśliwego życia rodzinnego, nie miałem zupełnie. Wymknęło mi się kiedyś, że nie zawadziłoby wziąć na wychowanie jakieś dziecko, ale Natasza oświadczyła mi wprost: „Nie lubię dzieci, zbyt wiele niepokoju wnoszą do domu".

Widziałem, że nie odpowiada jej zajmowanie się gospodarstwem. Nie raz robiłem jej wyrzuty: delikatne rączki! Kiedy wracałem z podróży, Natasza była zawsze czuła i troskliwa, snuliśmy czarujące rozmowy o życiu, o rozmaitych krajach, o obyczajach ludów, ale nigdy o czymś takim... O miłości nie mówiłem z nią prawie nigdy. Natasza jest młodsza ode mnie o dwa lata, ale zachowywała się wobec mnie, jakby była starsza, rozweselał mnie jej poważny, surowy wyraz twarzy, jak gdyby w samej rzeczy miała nade mną władzę! Lubiłem patrzeć na nią, oczy miała takie niebieskie, ale w moim stosunku do niej było coś takiego, jakbym zawsze przyglądał się jej z oddalenia...

I zauważcie jeszcze: jestem urodzonym leningradczykiem, ale nigdy nie tęskniłem za Leningradem. „Miasto rodzinne" — te słowa były dla mnie pojęciem dość abstrakcyjnym. Oczywiście lubiłem go bardziej, niż Hamburg lub Sweaborg — ale żebym nie mógł żyć bez niego, żebym — jak teraz — z tęsknotą myślał o tym, by jak najszybciej doń wrócić, przemierzać krokami asfalt znajomych ulic — o tym nie było mowy. Taką samą mniej więcej abstrakcją był dla mnie wyraz „oj-

5—807

czyzna". Oczywiście, naszego Związku Radzieckiego nie zamieniłbym na żaden kraj na świecie, ale ostrego, dojmującego bólu w sercu na dźwięk słowa „ojczyzna" nie czułem. Po prostu mało się nad tym zastanawiałem... Wybaczcie, że tak dookoła zbliżam się do tego, co was interesuje. Ale to wszystko jest ważne!

Nagle — wojna! Powiem krótko: pierwszego dnia wojny z własnej woli znalazłem się we flocie bałtyckiej, jako technik-inżynier w stopniu lejtnanta... Poszedłem na wojnę z najwyższą gotowością. Ale dziś zdaję sobie sprawę, że dążąc do spełnienia żołnierskiego obowiązku — wewnętrznie, prawem bezwładności, żyłem jeszcze w świecie pojęć czasu pokoju, podświadomie nie zmieniałem kursu. „Idę na wojnę" — to dla mnie znaczyło: gdzieś daleko od rodzinnych brzegów. „Wrócić zwycięzcą" — to znaczyło powrócić skądś z daleka, do dawnego trybu życia, gdzie wszystko stoi na dawnym miejscu, gdzie zwłaszcza w miłym, wygodnym mieszkaniu czeka na mnie, jak zawsze, Natasza... Muszę zresztą dodać, że silniej teraz niż dawniej odczuwać zacząłem to mieszkanie jako swój „dom": przecież kajuta statku, na którym podróżowałem przez pięć lat, nie należała już do mnie! Ogólnie mówiąc, nastrój był wtedy romantyczny; żołnierzem, w ścisłym znaczeniu tego słowa, jeszcze nie byłem. I mówiąc wraz z innymi: „Zwyciężymy!" — myślałem przy tym: moim obowiązkiem jest być wiernym, odważnym, spełniać rozkazy, a zwycięstwem zajmuje się ktoś inny: rząd, armia... Wiele minęło czasu, zanim doszło do mojej świadomości, że „siła zwyciężania" jest we mnie samym, że ja sam jestem tym atomem wojny, który decyduje o jej losach. A do tego czasu... Od razu pierwszej operacji desantowej bez zastanowienia rzuciłem się na nieprzyjaciela, nie ceniąc swego życia, nie ważąc swych kroków, narażając się niepotrzebnie. Jak smarkacz pchałem się bez powodu w ogień, zadowolony z siebie i dumny, że nie stchórzyłem w pierwszej bitwie... Byłem wówczas jeszcze „uzbrojonym cywilem"; nie znałem uczucia zemsty, nienawiści, zdyscyplinowanej inicjatywy. To był tylko zapał, gorączka. Kiedym wystawiał łeb pod kule, myślałem bodaj przede wszystkim o tym, by pokazać kolegom, jaki to ja jestem odważny. Aż dziw, że jakoś wtedy wyszedłem z życiem, sam rozumiem, że ocalałem chyba cudem! Zresztą, co tu gadać: wielu z nas nie umiało wtedy jeszcze się bić. Ilu dzielnych chłopców zginęło na próżno, po prostu dlatego, że lekceważyli sobie niebezpieczeństwo! O wojnie mieli wyobrażenie jak z książek: pchać się w piekło, jak koń spięty ostro-

gą — i koniec! Nikt nie chciał się okopywać, ani postępować z rozmysłem, ani maskować się.

Prawdę mówiąc, nieprzyjaciela też jeszcześmy nie znali. Wyobrażaliśmy sobie, że to uczciwa walka z uczciwym przeciwnikiem: i to jest człowiek, jak i my. Nawet litowano się nad nim: może bydlę Hitler posłał go na wojnę nawet wbrew jego woli... Kiedy do wojny wmieszali się Finnowie, zdobyliśmy raz pewną wyspę, nabraliśmy jeńców i myślimy sobie: ludzie, jak to ludzie, częstowaliśmy ich cukierkami i koniakiem, żartowaliśmy nawet, klepaliśmy ich po ramieniu, dowcipkowaliśmy... Pamiętam raz jednego jeńca... Zresztą, pal ich diabli, nie chce mi się o nich gadać!

Tak... weźcie papierosa!... Wzięliście? No więc...

No i otóż, jak się to wszystko zaczęło odmieniać. Najpierw — mowa Stalina. Pamiętam, jak mi to zadźwięczało w sercu: „Wojna na śmierć..." i że trzeba wyrzec się beztroskiego spokoju... A potem taki wypadek: służył ze mną pewien dowódca, kapitan lejtnant Ładunin. Razem pływaliśmy na kutrach, razem robiliśmy desanty na granitowe wyspy... Aż raz... Dziesiątego chyba sierpnia... Skalisty guz nad wodą — mikroskopijna wysepka. Las, skały, mech. Ładunin z trzydziestoma swoimi ludźmi poszedł przeszukiwać las, mnie zostawił na brzegu, przy kutrach, w osłonie. Nagle słyszymy, że strzały w głębi wysepki umilkły. Myślimy sobie: trzeba iść na pomoc! Wziąłem dziesięciu chłopaków i biegniemy do lasu... Finnowie przywitali nas automatami. Puszczamy rakiety. Nasza artyleria od razu zagadała z okrętów — i Finnowie w nogi... Przy omszonym, przegniłym pniu obalonego drzewa znaleźliśmy zwłoki tamtych trzydziestu. Wszystkich wybili co do jednego, a Ładunin — strach powiedzieć — pierwszy raz widziałem takie bestialstwo: szczęka zmiażdżona, zęby porozrzucane dokoła, na czole wycięta krwawa gwiazda, obcięte palce, uszy i nos, wykłute oczy. A wszystko to zrobili w ciągu jakichś piętnastu minut. Krew rzuciła mi się do głowy, zdawało mi się, żem oszalał. „Bydło — myślę — więc takie rzeczy potraficie robić!" I nie pamiętam już, co się tam dalej działo.

Wyspę zdobyliśmy wtedy. Ani jeden bandyta nie uszedł... A ja podobno jak oszalały niedźwiedź rzuciłem się naprzód i zanim mi kula fińska twarzy nie rozharatała, siedmiu położyłem z nagana, jednemu łeb strzaskałem rękojeścią, a jednego rękami — tymi oto rękami — zadusiłem...

Skończyło się! Potem leżałem w szpitalu, w Kronsztacie. Potem trafiłem do Leningradu. Żal mi było: teraz właśnie

5*

czyzna". Oczywiście, naszego Związku Radzieckiego nie zamieniłbym na żaden kraj na świecie, ale ostrego, dojmującego bólu w sercu na dźwięk słowa „ojczyzna" nie czułem. Po prostu mało się nad tym zastanawiałem... Wybaczcie, że tak dookoła zbliżam się do tego, co was interesuje. Ale to wszystko jest ważne!

Nagle — wojna! Powiem krótko: pierwszego dnia wojny z własnej woli znalazłem się we flocie bałtyckiej, jako technik-inżynier w stopniu lejtnanta... Poszedłem na wojnę z najwyższą gotowością. Ale dziś zdaję sobie sprawę, że dążąc do spełnienia żołnierskiego obowiązku — wewnętrznie, prawem bezwładności, żyłem jeszcze w świecie pojęć czasu pokoju, podświadomie nie zmieniałem kursu. „Idę na wojnę" — to dla mnie znaczyło: gdzieś daleko od rodzinnych brzegów. „Wrócić zwycięzcą" — to znaczyło powrócić skądś z daleka, do dawnego trybu życia, gdzie wszystko stoi na dawnym miejscu, gdzie zwłaszcza w miłym, wygodnym mieszkaniu czeka na mnie, jak zawsze, Natasza... Muszę zresztą dodać, że silniej teraz niż dawniej odczuwać zacząłem to mieszkanie jako swój „dom": przecież kajuta statku, na którym podróżowałem przez pięć lat, nie należała już do mnie! Ogólnie mówiąc, nastrój był wtedy romantyczny; żołnierzem, w ścisłym znaczeniu tego słowa, jeszcze nie byłem. I mówiąc wraz z innymi: „Zwyciężymy!" — myślałem przy tym: moim obowiązkiem jest być wiernym, odważnym, spełniać rozkazy, a zwycięstwem zajmuje się ktoś inny: rząd, armia... Wiele minęło czasu, zanim doszło do mojej świadomości, że „siła zwyciężania" jest we mnie samym, że ja sam jestem tym atomem wojny, który decyduje o jej losach. A do tego czasu... Od razu w pierwszej operacji desantowej bez zastanowienia rzuciłem się na nieprzyjaciela, nie ceniąc swego życia, nie ważąc swych kroków, narażając się niepotrzebnie. Jak smarkacz pchałem się bez powodu w ogień, zadowolony z siebie i dumny, że nie stchórzyłem w pierwszej bitwie... Byłem wówczas jeszcze „uzbrojonym cywilem"; nie znałem uczucia zemsty, nienawiści, zdyscyplinowanej inicjatywy. To był tylko zapał, gorączka. Kiedym wystawiał łeb pod kule, myślałem bodaj przede wszystkim o tym, by pokazać kolegom, jaki to ja jestem odważny. Aż dziw, że jakoś wtedy wyszedłem z życiem, sam rozumiem, że ocalałem chyba cudem! Zresztą, co tu gadać: wielu z nas nie umiało wtedy jeszcze się bić. Ilu dzielnych chłopców zginęło na próżno, po prostu dlatego, że lekceważyli sobie niebezpieczeństwo! O wojnie mieli wyobrażenie jak z książek: pchać się w piekło, jak koń spięty ostrogą — i koniec! Nikt nie chciał się okopywać, ani postępować z rozmysłem, ani maskować się.

Prawdę mówiąc, nieprzyjaciela też jeszcześmy nie znali. Wyobrażaliśmy sobie, że to uczciwa walka z uczciwym przeciwnikiem: i to jest człowiek, jak i my. Nawet litowano się nad nim: może bydlę Hitler posłał go na wojnę nawet wbrew jego woli... Kiedy do wojny wmieszali się Finnowie, zdobyliśmy raz pewną wyspę, nabraliśmy jeńców i myślimy sobie: ludzie, jak to ludzie, częstowaliśmy ich cukierkami i koniakiem, żartowaliśmy nawet, klepaliśmy ich po ramieniu, dowcipkowaliśmy... Pamiętam raz jednego jeńca... Zresztą, pal ich diabli, nie chce mi się o nich gadać!

Tak... weźcie papierosa!... Wzięliście? No więc...

No i otóż, jak się to wszystko zaczęło odmieniać. Najpierw — mowa Stalina. Pamiętam, jak mi to zadźwięczało w sercu: „Wojna na śmierć..." i że trzeba wyrzec się beztroskiego spokoju... A potem taki wypadek: służył ze mną pewien dowódca, kapitan lejtnant Ładunin. Razem pływaliśmy na kutrach, razem robiliśmy desanty na granitowe wyspy... Aż raz... Dziesiątego chyba sierpnia... Skalisty guz nad wodą — mikroskopijna wysepka. Las, skały, mech. Ładunin z trzydziestoma swoimi ludźmi poszedł przeszukiwać las, mnie zostawił na brzegu, przy kutrach, w osłonie. Nagle słyszymy, że strzały w głębi wysepki umilkły. Myślimy sobie: trzeba iść na pomoc! Wziąłem dziesięciu chłopaków i biegniemy do lasu... Finnowie przywitali nas automatami. Puszczamy rakiety. Nasza artyleria od razu zagadała z okrętów — i Finnowie w nogi... Przy omszonym, przegniłym pniu obalonego drzewa znaleźliśmy zwłoki tamtych trzydziestu. Wszystkich wybili co do jednego, a Ładunin — strach powiedzieć — pierwszy raz widziałem takie bestialstwo: szczęka zmiażdżona, zęby porozrzucane dokoła, na czole wycięta krwawa gwiazda, obcięte palce, uszy i nos, wykłute oczy. A wszystko to zrobili w ciągu jakichś piętnastu minut. Krew rzuciła mi się do głowy, zdawało mi się, żem oszalał. „Bydło — myślę — więc takie rzeczy potraficie robić!" I nie pamiętam już, co się tam dalej działo.

Wyspę zdobyliśmy wtedy. Ani jeden bandyta nie uszedł... A ja podobno jak oszalały niedźwiedź rzuciłem się naprzód i zanim mi kula fińska twarzy nie rozharatała, siedmiu położyłem z nagana, jednemu łeb strzaskałem rękojeścią, a jednego rękami — tymi oto rękami — zadusiłem...

Skończyło się! Potem leżałem w szpitalu, w Kronsztacie. Potem trafiłem do Leningradu. Żal mi było: teraz właśnie

dobrze było powojować, kiedy zjawiła się złość, a tu właśnie wysyłają człowieka na tyły... Zresztą żonie też nie chciałem się pokazywać w takim stanie: bałem się, że przestanie mnie kochać! Nauczyłem się już wówczas tęsknić za żoną, wiecie, walcząc poczułem, jak ją kocham.

Przyjeżdżam do Leningradu. Tydzień miałem chodzić na opatrunki... Natasza mnie przywitała... Co tu dużo gadać, zrozumiałem od razu: dureń byłem, kiedym wątpił!

Nie zdążyłem się obejrzeć — ledwie usiedliśmy do obiadu — nagle: bombardowanie (był już wrzesień). I to jakie jeszcze! Mieszkałem w nadbudówce, na szóstym piętrze. Bomby padają niedaleko, dom się trzęsie... Przestraszyłem się, po raz pierwszy od czasu wojny. — Ładne mi tyły — myślę sobie... Przynaglam Nataszę: „Biegnij do schronu!...“ A ta się tylko uśmiecha. „Czegoś ty, Jurku, zbladł? Och, ty się, zdaje się, boisz?... Któż mi to opowiadał, że na froncie taki z ciebie bohater?...“ A mnie serce rzeczywiście łomoce. „Jak to? — odpowiadam. — Ale przecież kobiety! Dzieci, starcy! Przecież oni giną w tej chwili! I przecież to nie front!“

Natasza potrząsnęła głową: „Ej, Jurku, Jurku, nic widocznie nie rozumiesz. Patrz, ja też jestem kobieta, a przecież się nie boję. Ja, mój drogi, gotowa jestem wewnętrznie na wszystko. Czegoż można wymagać od tych hycli? — Przecież to nie ludzie!... Jedzmy lepiej zupę, bo ostygnie“.

Jem zupę machinalnie, a dokoła hałas, szyby lecą, łoskot, świst, potem jakby trzęsienie ziemi. Natasza powiada: „A tobie się zdaje, że ja tu nie jestem na wojnie?... Ja, mój drogi, kopałam okopy przez cały czas, póki mnie pleuryt nie złapał. Popatrz na moje ręce!“

I wtedy dopiero zauważyłem, jakie ma ręce. Ta sama Natasza moja, która dawniej zajmowała się tylko robieniem sobie manicure!... No, myślę sobie, ładna historia!...

Zrzucili dranie bomby, odlecieli... Z piątego domu od nas zostały tylko gruzy i kupa śmiecia zmieszanego z krwią... Nie poszedłem nawet tego oglądać, nerwy rozkręciły mi się zupełnie... A Natasza spokojnie zabiera się do wyjścia: „Siedź sobie, wrócę za osiem godzin, pracuję w szpitalu...“ — wyjaśnia. Przed zmierzchem znowu zaczęli bombardować, strach mnie zdjął o Nataszę... Diabli wiedzą, co się ze mną dzieje!

Nazajutrz rano idę na opatrunek, znów bombardowanie, tym razem bombami zapalającymi. Wracam do domu. Na podwórzu zbiegowisko. Podbiegł do mnie administrator: „Towarzyszu Pankow! Ależ macie żonę, niech was!...“ — „Co się stało?“ — „Ten drań rzucił dwadzieścia sześć bomb zapalających na nasze podwórko... Patrzcie, jeszcze opalone głownie. A dwie na strych... Zaczęło się tam palić... Wszyscy pobiegli na dwór, a tylko wasza żona skoczyła na górę. Mężczyźni potracili głowy, a ona sama jedna, rozumiecie, drzwi plecami wysadziła i zagasiła ogień!...“ — „Nic jej się nie stało?“ — pytam. „Nic! Ona ma wprawę... Przez szczypce!...“

Biegnę pędem do domu. „Natasza!“ — „Co się stało? Czego tak krzyczysz?“

I zrobiło mi się wstyd: moja Natasza jest taka spokojna, opanowana, jak gdyby nic nie zaszło.

Po trzech dniach dostaję skierowanie do piechoty morskiej. Powiadam: „Natasza, niepokoję się o ciebie... Jak Niemców odpędzą od Leningradu, zaczną bombardować jeszcze wściekle j“.

— A niech sobie bombardują! Żeby ich tylko odpędzili! — a minę ma pełną surowości.

A na froncie począłem rozmyślać. Walczę teraz oględnie, z namiętnością... Nie, myślę sobie, darmo kłaść głowy nie warto. Nie w tym rzecz, żeby zabłysnąć odwagą, ale żeby tych drani wybić jak najwięcej!... A dokoła mnie coraz więcej jest ludzi, co tak samo rozumują jak ja. Cieszę się, że wówczas uratowałem życie — przecież nie doszliśmy jeszcze do tego, co najważniejsze, nie nauczyliśmy się naprawdę nienawidzieć.

Kiedyś chłopcy zbierali grupę zwiadowczą. Chodziliśmy na tyły do tych kretów. Dzieliliśmy się doświadczeniem, poznawaliśmy wszystkie chwyty i sposoby nieprzyjaciela, macaliśmy każdy pagórek i każdy krzaczek — jednym słowem, „wzięliśmy wojnę w obroty“... Już nie ona nami rzuca jak żywioł, a my ją prowadzimy — oględnie, umiejętnie, z zastanowieniem — tak, żeby najdrobniejszą potyczkę przekształcać w dobrą sprawę...

Wtedy to właśnie zrobiłem jeden wynalazek, żeby karabin działał skutecznie... W związku z tym musiałem znowu jechać do Leningradu. Był już listopad, mrozy. Bombardowania, obstrzały okropne... Tramwaje kursują, szukając ulic, gdzie nie ma uszkodzeń, ani bomb o zwolnionym działaniu. Na ulicach słychać rozmowy tylko o jednym: „Tramwaj tamtędy nie idzie“. — „Bo co, pocisk?“ — „Bomba“. — „Ach, bomba!... Dobrze, znaczy się, pójdzie inną linią. Nie wiecie, którędy?“

Z biciem serca zbliżam się do domu: czy aby jeszcze stoi? Stoi. Wchodzę do mieszkania. Nataszy nie ma. Czekam. Nagle zaczyna się obstrzał artyleryjski. Przez okno widzę, jak pociski padają dokoła... Przyglądam się: maszeruje moja Natasza, z torebką w ręku... Oszalała!...

Wybiegam do niej na ulicę: „Czyś ty rozum straciła, że pod kulami spacerujesz?" — A ona uśmiecha się chytrze: „Niosę chleb, a ty na froncie nie spacerujesz?" — „A właśnie że nie chodzę, słowo daję, że nigdy teraz bez potrzeby pod kulami nie chodzę. Po co, jeśli można przeczekać?" — „Jak to bez potrzeby? Przecież musiałam iść po chleb!..."

I co miałem odpowiedzieć?

A ręce bez rękawiczek miała czerwone z zimna, popękane... „Gdzie masz rękawice?" — Natasza się śmieje: — „Posłałam na front!" — „A sama co nosisz? Przecież są mrozy!..." — „Niech sobie będą! Żeby tak ze czterdzieści stopni! Niemcy marzną... Dziś ich na pewno dosyć pomarzło... A my już sobie jakoś poradzimy..."

I zapomnieliśmy oboje, że stoimy pod kulami... Nagle jak nie trzaśnie! Pocisk upadł za murem. Gzymsy się posypały... Natasza strąciła tylko gips z fokowego futerka i powiedziała cicho: „To dranie!... No, rzeczywiście, chodźmy do domu..."

Zostałem w mieście przez tydzień. A czwartego dnia zdarzyła się taka historia. Wyszliśmy razem z Nataszą — ona szła do szpitala, ja do fabryki. Razem doszliśmy do przystanku, czekamy na tramwaj. Obok stoi jakaś kobieta, za rękę trzyma pięcioletniego chłopca... Mróz, zamieć... „Zejdźmy pod mur, na chodnik, nie będzie tak szczypało w twarz..." — powiada Natasza. Odeszliśmy o jakieś piętnaście kroków, stoimy. Kobieta z dzieckiem została sama na przystanku. Tramwaju wciąż nie ma. Nagle — słuchajcie. Pocisk. Niespodziewany, pierwszy. Skłębił się śnieg z asfaltem, błysnął ogień... Odrzuciło nas oboje. Przychodzimy do siebie, patrzymy: tuż pod naszymi nogami leży głowa kobiety i ramię... I to wszystko... Krew na śniegu.

Zatrzęsło mną, a Natasza zbladła jak śnieg. Oboje jakbyśmy osłupieli. Patrzę na krwawy strzęp mięsa, na jasne boty Nataszy, obryzgane krwią... a oczy ma rozwarte szeroko, szeroko...

Wziąłem żonę pod rękę. Potrząsnęła głową, jakby chciała otrząsnąć ze siebie coś niepotrzebnego, westchnęła, przymknęła oczy i przycisnęła się do mnie. Opanowałem się... Oprawcy przenieśli ogień gdzie indziej, wybuchy słychać gdzieś daleko... Zjawili się przechodnie. Hałas, krzyki... A z tamtej kobiety zostało tylko to ramię i głowa. „Gdzie dziecko? Gdzie jest dziecko?" — zawołała nagle nieswoim głosem Natasza i wyrwała mi się...

Znaleźliśmy dziecko w śniegu — nieprzytomne, ale żywe... Oczywiście, żadnych dokumentów ani nic... jednym słowem, można by długo opowiadać. Zanieśliśmy malca do domu, ocuciliśmy, opatrzyliśmy... Nogę tylko drasnął odłamek, a tak nic mu się nie stało. Naturalnie, cały dzień szukaliśmy krewnych — i przez milicję, i wszelkimi innymi sposobami. Malec powiedział, jak się nazywa. Wreszcie dowiedzieliśmy się, że mąż tej kobiety, oficer piechoty, był gdzieś na południowym froncie, wiadomości nie było od niego już dawno. Krewnych ani bliższych znajomych zabitej w Leningradzie nie znaleźliśmy. Mieszkała w Peterhofie, tu ugrzęzła tylko, kiedy zaczęła się blokada.

Milicja zaproponowała nam, by oddać Kolę do internatu. Ale Natasza powiedziała mi: „Chcesz, Jurku? Niech chłopiec zostanie u nas". Popatrzyłem w jej jasne, dobre oczy. — „A jak z jedzeniem? — spytałem tylko. — Z tym przecież kiepsko!" — „Nic nie szkodzi, jakoś go nakarmię!" — powiedziała krótko Natasza i pocałowała chłopca... Oto wszystko. Tak zdobyliśmy syna.

— Gdzie on jest teraz? — nie wytrzymałem, by nie spytać.

— Poczekajcie! Nie wybiegajmy naprzód. Tego dnia — pamiętam, to było 11 listopada — Natasza czytała gazetę. Zdaje się, że artykuł Erenburga „Bestia w klatce" — o zniszczeniach w Moskwie. Nagle widzę, że Natasza płacze. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby płakała. „Co ci jest?"

„Moja biedna, kochana Moskwa" — powiedziała Natasza, szybkim ruchem wstała i wyszła z pokoju... „To nie tylko moja żona, — pomyślałem sobie wówczas, — to także Rosjanka. Rosjanka naszej epoki!..."

Tak oto powiększała się moja rodzina — cały naród stawał mi się rodziną!... Przed wojną tego nie rozumiałem...

A potem znowu wyjechałem, już na inny odcinek — tutaj, do formacji strzeleckiej i długo nie wracałem do Leningradu. Zacząłem organizować tę właśnie kompanję strzelców-myśliwców... Listów od Nataszy nie dostawałem, byłem niespokojny. Wreszcie przyszedł list: „Wszystko w porządku — pisała. — Żyję i synek nasz żyje. Nie niepokój się o mnie. Wiem, żeś zabił 48 Niemców. Zabij drugie tyle!... Ale pilnuj siebie i żołnierzy".

Widzicie, że ona rozumiała nie gorzej, niż my — frontowcy — co trzeba robić... Bić nieprzyjaciela, a swoich ludzi nie tracić!... Do tego właśnie i myśmy dążyli. Przedtem mściliśmy się żywiołowo — jak komu się uda! Braliśmy samym tylko zapałem i płaciliśmy za to krwią... A w tym czasie poczęliśmy już naszą zemstę opierać na ścisłym wyrachowaniu... Dam wam przykład do czego doszło! Najpierw rozbiliśmy ca-

ły odcinek obstrzału na sektory, obierając dla każdego punkty orientacyjne. Potem wykopaliśmy stanowiska strzeleckie, po trzy na każdą parę żołnierzy. Jedno stanowisko było główne, drugie zapasowe, na wypadek, jeśli pierwsze znajdzie się pod obstrzałem artylerii albo miotaczy min; a trzecie pozorowane, z którego, kiedy było trzeba, wysuwało się na kiju kukłę, czapkę lub jakiś inny interesujący przedmiot. Strzelec pociągał za sznurek, przeciągnięty na odległość stu metrów, a Niemcy, złowieni na przynętę, niekiedy wiele metalu psuli na te stanowiska. Obstrzał zaczynaliśmy od kul trasujących, a kiedy wszystkie potrzebne odległości były już obliczone, zabieraliśmy się do obserwacji i strzelania. W stanowisku nigdy nie sadzaliśmy razem dwóch nowicjuszy: z młodzikiem siedział zawsze jakiś wyga, który uczył go praktycznie przystosowania do terenu, maskowania, obserwacji, doboru stanowisk ogniowych, saperki, umiejętności odwracania uwagi nieprzyjaciela... I przeklęty pająk faszystowski począł tracić jedną za drugą swoje śmierdzące macki, a myśmy wychodzili cało. To była praktyczna szkoła wojny. A zdać w niej egzamin — to znaczyło: zachować życie wszystkich naszych żołnierzy, i skazać na śmierć wszystkich faszystów...

Tak... Byłem tak pochłonięty tą robotą, że nie pisałem do Nataszy przez dwa miesiące. W lutym wezwano mnie do Leningradu — grupa robotników wprowadziła jakieś ulepszenie do mojego wynalazku. Jadę... W mieszkaniu mróz — dziesięć stopni. Ciemności. Wodociągi i kanalizacja nieczynne... Jak w piwnicy. Przeszukując mieszkanie z latarką elektryczną, znalazłem Nataszę w łóżku otuloną w trzy futra; dziecko, owinięte stosem kołder, leżało obok niej. Poświeciłem jej w twarz latarką i przeraziłem się: w wychudzonej twarzy widać było tylko oczy, — jasne, mądre i smutne... zrozumiałem: umierała z głodu. Ale dlaczego? Dlaczego?

Dowiedziałem się od sąsiadów. Moja Natasza zgłosiła się jako dawca krwi. Oddawała swoją krew żołnierzom, a specjalną rację żywnościową, rekompensującą utratę krwi, zjadało oczywiście dziecko. No i to był rezultat!

Cierpiałem za nią i począłem robić jej wyrzuty. Co tu ukrywać, po prostu ją zwymyślałem... A ona jak się na mnie nie rzuci: „Jerzy, nie krzycz na mnie! Przecież cię nie proszę, żebyś się troszczył o mnie. Odpowiadam sama za siebie! Co innego, kiedy człowiek dorosły jest głodny — to nikogo nie powinno obchodzić! Ale kiedy dziecko nie ma co jeść... ja... ja...“ i Natasza po raz drugi w życiu rozpłakała się przy mnie: „Nie mogłam na to patrzeć!“

Tego samego dnia umieściłem Nataszę razem z dzieckiem w szpitalu... Wiozłem oboje przez miasto na dziecinnych saneczkach. Powiem szczerze: sam wtedy ledwie powłóczyłem nogami... Ciągnąłem saneczki z Piotrogrodzkiego brzegu mniej więcej aż do Newskiego. Na przebycie trzech kilometrów straciłem pięć godzin... Widzicie — teraz jestem zdrów. Ale rozumiecie sami, ile sił miałem wówczas...

Jerzy Pankow umilkł. Piecyk żelazny oświetlał nikłym ogniem jego surową twarz. Koło piecyka na skrzyni przysiadł żołnierz. Pankow leżał ze wzrokiem utkwionym w belkach pułapu, po którym słał się dym papierosowy. Kiedy wąskie pasemko zlało się z dymem z piecyka, Pankow począł opowiadać dalej:

— Całe dnie spędzałem w fabryce. Robotnicy zdzierali palce do krwi na lodowatym metalu. Oddział fabryczny był porozbijany kulami. Mróz dochodził do trzydziestu stopni. Ludzie padali ze zmęczenia. Miejsca ich w milczeniu zajmowali inni. Ten i ów, odpocząwszy, wstawał, ogrzewał się przy lampach spawaczy i z powrotem zabierał się do pracy...

Takiego frontu nie widziałem na pozycjach. Pamiętam, jak jeden robotnik, stary już, nazywał się Kuzniecow, przy wykończeniu egzemplarza mojej sztuczki upadł i leży. Podchodzi do niego chwiejnym krokiem jakiś chłopak. „Ojcze, dajcie, ja dokończę!...“ Stary usiadł, ale wstać nie może. „Nie, synku, zostało mi jeszcze ze trzy godziny życia, sam już wykończę, a ty zawołaj tego tam dowódcę!“ Nie widzi mnie, sam do niego podchodzę. Popatrzył na mnie bez uśmiechu, surowo: „Powiedzcie, towarzyszu dowódco, wypaproszysz ty z tej sztuki z dziesięciu Niemców za moją duszę?“ Zrozumiałem, sprawa jasna. Obiecałem. Stary, już nie siedząc, lecz leżąc, pracuje dalej... Przykręcił ostatnią śrubkę, oczami mnie przywołuje, a z oczu mu już śmierć patrzy... Bez słowa podał mi broń, chciał coś powiedzieć, ale jego błyszczące oczy nagle otworzyły się szeroko, zaokrągliły się i stanęły w słup... Westchnął chrapliwie i zwalił się na plecy...

Z tej sztuki, którą przed śmiercią mi wręczył, zabiłem potem dwudziestu dziewięciu Niemców, aż wreszcie roztrzaskał mi ją w ręku odłamek miny.

Po tygodniu wysłaliśmy na front pierwszą partię nowej broni. A następnego dnia samolotem ewakuowałem Nataszę i naszego syna, którzy ledwie zaczęli powracać do sił...

Smutno mi było. Nie wstąpiłem nawet do naszego opustoszałego, zimnego mieszkania. Prosto z lotniska przyjechałem tu, do formacji. To było siedemnastego lutego. Zapamiętajcie

sobie tę datę... I zapamiętajcie jeszcze jedno: tego dnia wyleciały z Leningradu tylko trzy „Douglasy" pasażerskie. Wyleciały jednocześnie.

Po miesiącu dostałem od Nataszy list z Nalczyka. Dolecieli szczęśliwie do miejsca, gdzie wsiedli do wagonu. „Patrzyłam wciąż w dół, myślałam, że zobaczę Niemców, pozycje czołowe. Ale nie widziałam nic prócz spokojnych lasów", — pisała Natasza.

A jeszcze po miesiącu wezwano mnie do Rady Wojennej, na wręczenie tego oto orderu Czerwonego Sztandaru. Przede mną przypięto order Lenina jakiemuś lotnikowi, który miał już cztery odznaczenia... Był młody, wesoły, zęby mu błyszczały i zachowywał się najswobodniej z nas wszystkich.

— „Siedemnastego lutego, towarzysząc na swoim myśliwcu trzem pasażerskim „Douglasom" — czytał głośno list pochwalny członek Rady Wojennej — i przelatując nad jeziorem Ładoga, kapitan Kolutow dostrzegł szóstkę „Heinckel 113", które nagle zaatakowały eskortowane przezeń „Douglasy". Mimo zdecydowanej przewagi liczebnej nieprzyjaciela, kapitan Kolutow błyskawicznie wbił się klinem między „Heinckle", odwracając ich uwagę od „Douglasów" i ściągając ją na siebie. Jednego „Heinckla" strącił od razu ogniem wielkokalibrowych kaemów i rzucił się do ataku czołowego na pozostałe. Niemcy nie wytrzymali i poszli w rozsypkę, po czym wzięli Kolutowa w pierścień, starając się zabiec mu od ogona. Kolutow podpalił i zniszczył drugi samolot nieprzyjacielski..."

Nie pamiętam dokładnie tekstu... Dość na tym, że przedziurawili Kolutowowi chłodnicę, motor odmówił posłuszeństwa, szybkość spadała, a czterech pozostałych szwabów przypierało go do ziemi. Ale Kolutow nie zaniechał walki, by dać „Douglasom" możność oddalenia się. Skrzydłem już krajał śnieg, ale walczył jeszcze... Wreszcie opadł kadłubem, a Niemcy nurkując, poczęli ostrzeliwać go z bliska. Kolutow siedział przytomnie w kabinie, starając się jak najdłużej przyciągać uwagę. Był ranny, ale ostrzeliwał się ciągle... Dopiero wtedy uniósł daszek kabiny haczykiem bezpieczeństwa i wylazł z maszyny, kiedy samolot począł się palić. Zamaskował się w śniegu. „Heinckle" odleciały, ale straciły już beznadziejnie z oczu uratowane przez Kolutowa „Douglasy". W szpitalu wyjęto chłopakowi kulę z ręki, a z pleców cztery odłamki pocisków... Wiecie, że teraz obserwuję w naszej gazecie dywizyjnej Kolutowa, jak rodzonego brata... Od tego czasu strącił jeszcze jedenaście samolotów. Ma już ich osiemnaście na rachunku!

A wtedy... Rozumiecie, co czułem, stojąc obok człowieka, który uratował moją Nataszę i dziecko, który niedostrzegalnymi nićmi swego bohaterstwa związał się na zawsze ze mną i moją rodziną, któremu zawdzięczałem więcej, niż własne życie! W tej chwili po raz pierwszy naprawdę, fizycznie niemal poczułem, jak nasi lotnicy strzegą spokoju i bezpieczeństwa ludności cywilnej naszego kraju. Ileż tysięcy leningradczyków nie wyobraża sobie nawet, przed jakimi niebezpieczeństwami uchronili ich nasi lotnicy! A przecież to przypadek, przecież mogłem się z Kolutowem nie spotkać i nie wiedzieć o niczym... i moja Natasza myślałaby, że jej w czasie tego lotu nic nie groziło.

Otóż macie, towarzyszu pisarzu, wytłumaczenie, jak się to zdarzyło, że w mojej rodzinie, w rodzinie mojego narodu, wszyscy nasi lotnicy stali mi się szczególnie drodzy. I dopiero teraz poczułem całą głębię odpowiedzialności również za własny posterunek. Opowiedziałem to wszystko moim strzelcom. Oni to także zrozumieli... Staraliśmy się bić jeszcze lepiej, a przede wszystkim — staliśmy się skromniejsi. Uda nam się coś i milczymy, nie stawiamy się!

Ostatni raz byłem w Leningradzie już wiosną... Ładogę przejechałem samochodem, po wodzie, pokrywającej lód. Tysiące aut z żywnością biegły, rozpryskując wodę jak kutry motorowe. Grzęźliśmy co chwila, trzeba było wyciągać maszynę ze szczelin w lodzie. Przemokłem do nitki i zmarzłem tak, jak nie marzłem w zimie!... Dzwoniąc zębami, marzyłem o tym, by już jak najprędzej ogrzać się w domu, w mieszkaniu! Napalę w piecu, napiję się gorącej herbaty i położę się spać na miękkiej kanapie!

Do miasta dobrnęliśmy jeszcze za dnia. Wszedłem po schodach na górę, z kawałkiem świecy w ręku na wszelki wypadek. Westchnąłem z ulgą: drzwi od mieszkania są w porządku! Ale ledwiem je otworzył, odskoczyłem przerażony: cała podłoga w przedpokoju pokryta była jakąś grubą szarą warstwą — czy to mąki, czy też... Zrobiłem dwa kroki naprzód i zrozumiałem wszystko — nad głową zobaczyłem niebo. Ogromna dziura w suficie, drzazgi z rozbitego przez pocisk strychu, deski zwisają do podłogi... Gruzy, śnieg, potłuczone szkło, szczątki mebli, strzępy książek i rzeczy... Na łóżku Nataszy czapa śniegu. Ale co najdziwniejsze — to że w przebitej na wylot szafie lustrzanej lustro ocalało! I w tym lustrze, śród chaosu zniszczenia, zobaczyłem siebie — zarośniętego, wychudzonego, w mokrych butach filcowych, w oblodzonym, zmiętoszonym półkożuszku... Długo stałem w milczeniu, przypom-

niało mi się nagle całe moje życie z Nataszą... i dawne ciepło tego mieszkania, i tajone w głębi duszy marzenie, by po wojnie mieszkać tu znowu z Nataszą, żyć spokojnie, szczęśliwie... I zrobiło mi się tak gorzko...

Pankow umilkł znowu, urwał jak gdyby w pół słowa. Spojrzałem nań ze zdziwieniem: zasłonił ręką czoło i oczy, potem raptownym ruchem opuścił rękę.

— Niech będzie... Opowiem wam i o tym. Skoro już zacząłem... Nie ma w tym nic hańbiącego, zrozumiecie mnie przecież. Zrobiło mi się tak nieswojo, tak przykro, że nagle się rozpłakałem... Niby dlaczego? Wielkie rzeczy — zniszczone mieszkanie, graty, meble! Do diabła; nigdym przecież nawet nie myślał o nich! Nie chodziło o nie oczywiście... Trwało to może zaledwie minutę, ale takiego smutku, żalu, takiego bólu w sercu nie czułem chyba nigdy... Stałem na gruzach własnego mieszkania, niby na gruzach własnego życia, sam jeden, opuszczony i bezradny. Setki tysięcy ludzi w tym mieście doznały przecież takiego samego, czy gorszego jeszcze losu... Widziałem przed sobą Nataszę — wspaniałą, wypieszczoną Nataszę, taką jaka była w czasach pokoju; widziałem tę drugą — zgaszoną, wychudłą, umierającą z głodu. I stanęły przede mną miliony takich samych ludzi... I nagle wybuchła we mnie tak straszliwa fala nienawiści, jakiej nie znałem dotąd, i począłem krzyczeć głośno: „Bydło, ścierwo, Niemcy!“ Zakląłem ordynarnie i wtedy zrozumiałem: oto prawdziwa nienawiść, oto prawdziwa żądza zemsty! Teraz jestem w jej mocy! Zemsta! Zemsta! Zemsta! — wołało coś we mnie jak przysięga.

Od razu oschły łzy. Poczułem się mocny, silny, spokojny... Nałamałem drew z potrzaskanego sufitu, włożyłem je do wiadra ustawionego na cegłach, rozpaliłem ogień, napełniłem śniegiem imbryk i zawiesiłem go na srebrnej łyżce wazowej, opartej o brzegi wiadra. Przykucnąłem przed tym niezwykłym ogniskiem. Rozmyślałem długo, ryłem się we wspomnieniach, przypominałem sobie ciepło mego mieszkania, rozwiane nadzieje... Ale wreszcie otrząsnąłem się: trzeba żyć tak, żeby każda myśl, każda sekunda, każda kropla energii poświęcona była świętej sprawie wojny! Zmuszę i innych, by żyli tak samo... I nie błaźnić się, nie załamywać! A jeśli już trzeba będzie oddać życie, to sprzedać je drogo, położyć przedtem jak najwięcej wrogów!

Po powrocie na front obmyśliłem jeszcze jeden sposób tępienia Niemców i nauczyłem go moich strzelców. A oprócz tego wszyscy poprzysięgliśmy sobie wzajemnie, że nie dopuścimy ani jednego czołgu. Wiemy, jak się do tego zabrać. Jeśli chcecie, opowiem wam to innym razem...

Ostatni list od Nataszy miałem w sierpniu. Pisała mi: „Jeśli zginiesz — zrozumiem wszystko, dam sobie radę z sobą. Dawniej bałam się o ciebie: pchałeś się bezmyślnie w ogień, brawurowałeś, mogłeś zginąć z głupoty... Teraz wiem: działasz spokojnie, z rozmysłem, robisz wszystko co trzeba... Radosna jest świadomość, że jesteś żołnierzem, obrońcą ojczyzny. Osobistych spraw już się nie odczuwa. A jeśli oboje wyjdziemy cało, będziemy po zwycięstwie najszczęśliwszymi ludźmi. I nawet jeżeli wrócisz jako inwalida — ślepy, bez nogi — wiedz, że to nie ma znaczenia, że będziemy najszczęśliwsi!“

Wierzę Nataszy. I powiedziała słusznie: „najszczęśliwsi“... kochamy się...

Gdzie ona jest teraz? Nie wiem, gdzie jest moja Natasza. Ale wiem jedno: darmo swego życia nie odda. I wiem także, że nasi żołnierze nie pozwolą jej skrzywdzić. Ani jej, ani syna. Kto wie, może właśnie tam, za Piatigorskiem walczy za niego jego prawdziwy ojciec, oficer piechoty! Sądzę po sobie. Są tu przecież takie same Rosjanki, zupełnie takie same, jak moja żona. Czyż ja Niemcowi pozwolę je skrzywdzić?... Niedawno odbiliśmy pewną wieś, znaleźliśmy w niej ciała pomordowanych kobiet... Przypomniał mi się okaleczony przez Finnów trup Ładunina, tam, na wyspie... Rzuciłem się wtedy na oślep, by mścić się za niego, ale to nie było to: nie pomyślałem wówczas jeszcze, że to bestialstwo wymierzone jest przeciw mnie samemu... Rozumiecie mnie? Wstrząsnęła mnie sama możliwość istnienia podobnego zjawiska w naszych czasach, do owej chwili nie wierzyłem, że takie barbarzyństwo w ogóle jest dziś możliwe. Ładunin nie był mi krewnym ani przyjacielem. Mściłem się za zdeptaną sprawiedliwość, za barbarzyńskie chwyty w uczciwej walce. Jakiż smarkacz był ze mnie!... Teraz to wszystko godzi bezpośrednio we mnie, każdy człowiek zamordowany przez faszystów jest mi bliski, jakbym z nim razem był jedną istotą, jak gdyby to mnie samego, moją duszę i serce rwano na strzępy...

I myślę, że na głębokich tyłach, w miastach, które bezpośrednio nie odczuły wojny — nie wszyscy jeszcze ludzie to rozumieją. Nie wszystkim jeszcze ta świadomość weszła w trzewia.

Ja już na tyłach nie będę. Nawet ranny. Jeśli mnie zranią — będę się bił aż do śmierci. Ale wy, jako pisarz, może pojedziecie na tyły... Wytłumaczcie to wszystkim. Może ktoś tam wątpi, może myśli, że nie wszystko robimy dla zwycięstwa.

W czasie tej wojny sam rozstrzelałem już pięciu tchórzów — tylu właśnie, na ilu trafiłem. A wiecie, ilu ludzi przewinęło się koło mnie w ciągu tych walk? Wiele tysięcy! I wszyscy bili się, jak należy. Bo każdy mówił sobie: ja sam jestem Czerwoną Armją, ja sam jestem ojczyzną, ode mnie zależy wszystko, siła naszego zwycięstwa jest we mnie!... A jeśli tego sobie nie mówił, podświadomie to czuł!...

Powiedziałem chyba wszystko... Patrzajcie: już świta! Zapomnieliśmy zasnąć, towarzyszu pisarzu. Czas wstawać. Nie szkodzi, wyśpimy się kiedyś!

I Pankow, usiadłszy na pryczy, zawołał na cały głos:

— Łącznikowy! Korotygin! Pobudka! I powiedz pierwszemu plutonowi, że o szóstej minut zero luzuje na stanowiskach trzeci pluton!

KONSTANTY TRENIEW

URODZINY

W instytucji, w której pracował Iwan Dmitriewicz, panował wieczny gwar. Przez cały dzień tłoczyli się interesanci, często urządzali awantury. Iwan Dmitriewicz miał niekiedy kłopoty ze swym chorym sercem. Biurko jego stało przy oknie, za którym otwierała się rozległa panorama zimowa: plac zasypany śniegiem opadał stromo ku szerokiej rzece. Rzeka spała pod śnieżnym całunem wśród żółtego sitowia, za którym rysowała się ciemna smuga lasu.

Dziś zakończyć trzeba pilną, odpowiedzialną pracę w związku z mobilizacją. Wczoraj odbyło się posiedzenie komisji aprowizacyjnej. Jutro sprawozdanie z kampanii opałowej. Onegdaj zaś Iwan Dmitriewicz otrzymał zawiadomienie, że jego jedyny syn Mitia został zabity.

Oto przebieg owego fatalnego dnia: Iwan Dmitriewicz otworzył machinalnie ten list przy czytaniu całej codziennej poczty urzędowej. Kiedy jednak zaczął czytać wyjęty z koperty papier, litery listu nagle zrobiły się czerwone. W pokoju panował w tej chwili gwar, jakiś interesant w pstrokatej czapeczce awanturował się z urzędniczką, nagle jednak zrobiło się zupełnie cicho i pstrokata czapeczka gdzieś odpłynęła.

Iwan Dmitriewicz przemógł się i wszystko powróciło na dawne miejsce. Gwar w pokoju odżył stopniowo.

Nikt nie zwrócił na Iwana Dmitriewicza uwagi, wszyscy zajęci byli własnymi sprawami. Potem zwrócił się ktoś do niego

po informację. Zajrzał do ksiąg, udzielił informacji, i wszystko to wydało mu się dziwne: nie zaszła żadna zmiana w ludziach, ani w otoczeniu. Ta sama wieloletnia, ciemnozielona poplamiona ściana przed oczyma, to samo zamarznięte okno z prawej strony.

Nagle ogarnęła go żałość niewypowiedziana. Iwan Dmitriewicz jęknął cicho z bólu, powoli uniósł głowę znad biurka i utkwił wzrok w suficie. Podszedł do niego Jeżow, kierownik wydziału kadrów, i coś doń powiedział. Iwan Dmitriewicz nie słyszał. Jeżow, człowiek nieznośnie wesoły, zmrużył chytrze małe czarne oczko i powiedział głośno:

— Marzysz, Jasiu? O kim? Na pewno o Szmarinej! Czekaj, opowiem Marii Nikołajewnie!

Jeżow roześmiał się i trącił Iwana Dmitriewicza w bok.

Iwan Dmitriewicz zwrócił ku niemu oczy. Maria Nikołajewna... Ach, jakże jej to powiedzieć!

Maria Nikołajewna chorowała właśnie przez kilka dni. Zaniemogła akurat w przeddzień Nowego Roku i wczoraj dopiero wstała i poszła do pracy. Aż do tej chwili oboje ukrywali wzajemnie przed sobą swe obawy: od Miti dawno już nie było listu. I teraz też go nie ma. A właśnie zbliża się uroczysty dzień, za tydzień Mitia kończy dwadzieścia lat.

Dwadzieścia lat — dzień urodzin Miti — najbardziej upragniony i najradośniejszy dzień w roku. Wszyscy troje długo zawsze szykowali się do niego. Rodzice piekli tort, gotowali przyjęcie, podarek imieninowy. Mitia ze swej strony dla obojga przygotowywał jakieś drobne upominki. A teraz drugi już rok świętować trzeba ten dzień bez Miti. Jednakże Iwan Dmitriewicz urządzał tak, że kiedy wraz z zaproszonymi przyjaciółmi zasiadali do stołu, obok imieninowego tortu leżał otrzymany akurat w przeddzień list od Miti. List, rzecz prosta, odczytywano głośno, i to po kilkakroć w ciągu wieczora: to trzeba było coś zacytować, to zjawiał się jakiś nowy gość.

Stary, serdeczny przyjaciel Iwana Dmitriewicza, Cyryl Iliicz, słuchał zawsze listu w milczeniu, strosząc gęste, ledwie przyprószone siwizną wąsy, i palcem ocierał łzę z wybałuszonych gniewnie czarnych oczu. Potem roztargnionym spojrzeniem obrzucał stół, by potłuc coś na szczęście. Od dnia pierwszych imienin Miti zwykł był w ten sposób demonstrować swą szczerą radość. Tym razem jednak pohamował się: o talerze dziś niełatwo.

I teraz także Maria Nikołajewna szykuje się do dnia imienin Miti. I trwożnie oczekuje listu...

Iwan Dmitriewicz spojrzał na okrągły zegar ścienny: była

druga. Za trzy godziny wróci do domu. Maria Nikołajewna będzie już nań czekała z obiadem. A on wejdzie i przeszyje ją nożem...

Iwan Dmitriewicz otrząsnął się i zabrał się do pracy. Potem podniósł wzrok na zegar — czwarta. Czas biegnie z katastrofalną szybkością...

Praca w biurze dobiega końca. Gdyby tak czymś ich zatrzymać... Czy nie wyznaczono na dziś żadnego zebrania, żadnego posiedzenia?... Ale praca się skończyła, zebrania, ani posiedzenia nie ma. Koledzy rozchodzą się i zostawiają go samego w tej strasznej chwili. Iwan Dmitriewicz zwlekał z wyjściem, jak tylko mógł.

Został sam. Wstał od biurka, i jakby podcięty padł głową na stół i długo szlochał. Potem wstał i rozejrzał się — pokój był pusty. To dobrze, żem się trochę wypłakał — pomyślał. — Łatwiej mi będzie ją uspokoić.

Wyszedł po wszystkich i skierował się do domu. Droga prowadziła koło parku miejskiego z ławkami zawalonymi śniegiem.

Iwan Dmitriewicz skręcił do parku, doszedł do placyku, na którym niedawno oczyszczono ławki, ledwie teraz przyprószone śniegiem. Usiadł na którejś z nich, obejrzał się dokoła. Miły Boże, jakie to wszystko znajome i drogie! Na tej przecież pochylonej, sczerniałej ławeczce wyznał kiedyś swą miłość Marii Nikołajewnie. W alei kasztany kwitły wtedy wielkimi białymi kiśćmi, niby świeczniki zapalone na ich cześć. W powietrzu unosiła się słodka woń trawy i orzeźwiający zapach rzeki. A potem na tej samej ławeczce pod lipą siedział z nią razem, a obok stał wózek Miti. A potem mijały lata, i Mitia biegał tu, kiedy był dzieckiem, i chodził tędy, gdy był już dorosłym... wysoki, zgrabny, z roztargnieniem i odrobiną smutku w oczach.

Życie płynęło tak, jak powinno było płynąć — rok za rokiem, i drzewa co roku zmieniały liście. Zmieniały się skromne marzenia i nadzieje. I jeszcze niedawno, w lecie, przypomniał sobie Iwan Dmitriewicz, przechodząc przez park, wszystko to, co się z nim łączyło, i w rozrzewnieniu znów począł snuć marzenia: wojna się skończy, i jego Mitia, tak samo jak on niegdyś, iść będzie tą aleją z ukochaną dziewczyną. Potem pod tą samą cienistą lipą będzie stał wózek, a oni z Marią Nikołajewną znów będą siedzieli przy wózku i patrzeli radośnie na tłuściutkie rączki i nóżki. I ich życie spłynie w inne, niewypowiedzianie drogie życie, i potoczy się już nie burzliwym i lśniącym, lecz cichym, głębokim i radosnym strumieniem. Teraz

wszystko urwało się nagle. Potok spłynął, źródło wyschło i wszystko dokoła umarło.

Martwe jest serce Iwana Dmitriewicza. A za chwilę przyjdzie do domu i przyniesie śmierć sercu żony. Za co?

Iwan Dmitriewicz wie, jak żona jego przyjmuje uderzenia losu, jak głęboko kryje je w sercu, znajdując w nim pokrzepiające słowa pociechy.

Tak było zawsze, tak jest i teraz. Niedawno, kiedy niepokoili się brakiem wiadomości od Miti, Maria Nikołajewna powiedziała:

— No i cóż, ludzie latami nie dostają listów, czasami nie dostają ich nigdy. To nie w naszej mocy...

Przyznać trzeba, że ta pociecha nie przypadła wówczas Iwanowi Dmitriewiczowi do smaku, choć była zrozumiała: Maria Nikołajewna nie powróciła jeszcze całkowicie do zdrowia po noworocznej chorobie.

Dziś z rana, wychodząc do pracy, zamienili kilka słów co do przygotowań do dnia urodzin Miti, ale wbrew obyczajowi nie zgadzali się w jednej sprawie. Zazwyczaj zapraszali tego dnia gości. Teraz Maria Nikołajewna nie chciała zapraszać nikogo — nie takie są dziś czasy. Iwan Dmitriewicz był innego zdania: czasy są właśnie tak ciężkie, że trzeba przynajmniej dać wytchnienie duszy wśród bliskich ludzi, wśród winszujących serdecznie przyjaciół. Ale Maria Nikołajewna nie powróciła jeszcze do siebie po chorobie, po prostu było to ponad jej siły, i Iwan Dmitriewicz musiał ustąpić. Postanowili zaprosić tylko Cyryla Iliicza.

Iwan Dmitriewicz niedługo siedział na ławeczce, lecz kiedy przez bramę parku wyszedł na ulicę i skręcił w kierunku domu, poczuł, że między rankiem — kiedy idąc do pracy mijał tę bramę ze strzępami starych afiszów — a chwilą obecną minął długi, nieszczęściem brzemienny okres czasu, i że podczas gdy siedział na ławeczce, zestarzał się o wiele, wiele lat.

Aby dojść do domu, trzeba było przeciąć kilka ulic. Zazwyczaj droga ta mijała dla Iwana Dmitriewicza niepostrzeżenie. Teraz nagle wydała się trudna i skomplikowana. Szedł jakimś nieswoim, plączącym się krokiem, przystawał kilka razy oddychając z trudem, jak gdyby niósł jakiś ciężar ponad siły. Przechodnie oglądali się nań, a kiedy zza węgła ukazał się brunatny domek trójokienny z niskim płotem z desek, spoza którego wyzierały białe czapy jabłoni, przez niego samego kiedyś sadzonych, zdecydował, że dziś nie podobna nic jej mówić... Może jutro, a najlepiej — niech najpierw minie dzień urodzin Miti. Nie trzeba jej go zabierać. A potem — już jakoś to bę-

dzie. Niechże zostanie jej w życiu choć jeden jeszcze jaśniejszy dzień. Choćby złuda szczęśliwego dnia. Na powiedzenie jej straszliwej prawdy zawsze jeszcze będzie czas. Nie ma powodu do pośpiechu. Nawet Cyrylowi też bodaj nie należy mówić: to człowiek wrażliwy, zdradzi się. Brzemię ponad siły stało się od razu lżejsze, i Iwan Dmitriewicz wszedł do mieszkania nieco nawet pokrzepiony, i mógł spojrzeć w bladą, wychudzoną twarz Marii Nikołajewny. I dopiero w tej chwili uderzyło go i raniło boleśnie, jak żona schudła i zestarzała się. Nawet oczy, tak zawsze błyszczące, teraz przygasły. Jakże mógł nie dostrzec tego wcześniej! Zresztą, przed chorobą nie rzucało się to tak w oczy. A na dobitkę przyjęła jeszcze dodatkową pracę. Zjadła w pośpiechu obiad i wyszła.

I tak mijały ciężkie dni. A im bardziej się zbliżał dzień Miti, tym wyraźniej Iwan Dmitriewicz czuł, że będzie to dzień najcięższy w życiu. Tak ciężki, być może, że nie wiedział już, jak go przeżyje. Jakże on wzniesie kielich za zdrowie Miti?... Gdzie znajdzie siły?...

Miał przecież nadzieję, że do tego czasu ból uśmierzy się choć trochę; a tymczasem nie tylko nie mija, lecz staje się jeszcze bardziej dojmujący. Może dlatego, że cierpi go sam jeden? Straszliwie ciężko jest milczeć, kiedy chciałoby się krzyczeć z bólu na cały świat... Gdyby można było podzielić z kimś część tego brzemienia; ale z kimś takim, komu nie ciężyłaby już tak straszliwie. Wieczorem poszedł do Cyryla Iliicza. Długo i gorzko płakali w pustym mieszkaniu. Cyryl Iliicz zgodził się, że zanim minie dzień urodzin Miti, nie trzeba pogrążać matki w rozpaczy.

Nie ma pośpiechu!

W mieszkaniu Cyryla Iliicza stał na stole portret Miti.

— Wykapana Marusia! — powiedział Iwan Dmitriewicz i uśmiechnął się z goryczą. — Mówią, że jeśli syn jest podobny do matki, będzie szczęśliwy.

— Nie słyszałem o tym, — odpowiedział Cyryl Iliicz, wytrzeszczając gniewnie oczy, — nie wiem, ale jeśli syn podobny jest do takiej kobiety, jak Maria Nikołajewna, to dla rodziców wielkie szczęście. To wiem, to widziałem.

Wytarł nos z gniewem i ciągnął dalej:

— A czy do ciebie nie był podobny! Nigdy nie skłamał ani słowa.

— To już miał od dzieciństwa, — powiedział cicho Iwan Dmitriewicz.

— Bo wychowany jak należy, — rzekł Cyryl Iliicz.

— Nie wiemy już doprawdy, kto kogo wychowywał.

Czasem, bywało, nie powstrzyma się człowiek i przytuli, jak to w życiu. A on milcząc podnosi znad książki te oto surowe oczy, — i czerwieniłem się jak sztubak, słowo daję, a Mitia już cały pogrążony jest w swoich myślach. Często chciałoby się go spytać: „O czym to tak rozmyślasz, Mitia?" A jaki był czuły! Zwłaszcza dla matki. Z nią był szczerszy, ale też mało się wywnętrzał. Wiele zawsze mówił o swojej ukochanej nauce, o duszy ludu, ale mało — o swojej własnej.

Iwan Dmitriewicz długo patrzył w milczeniu na fotografię: szeroko otwarte oczy i mocno zaciśnięte usta. I nigdy się już te usta nie otworzą. I nigdy się nie dowie, o czym myślał i marzył jego syn.

A dzień urodzin zbliżał się, i trzeba było przenieść przezeń straszliwą tajemnicę. Nie miał nigdy tajemnic przed żoną... Och, jakże pragnął, by ten okropny dzień nie nadchodził tak prędko! Ale dzień ten nastał bardzo szybko.

Rano Iwan Dmitriewicz i Maria Nikołajewna powinszowali sobie serdecznie urodzin syna. W pośpiechu, szybko poszedł do pracy: pierwsza ciężka próba przeszła szczęśliwie. Wprawdzie w zapadniętych oczach Marii Nikołajewny nie czuło się zwykłej radości — list na imieniny nie nadszedł, — jednakże błyszczały one uroczystą, choć nieco smutną czułością.

A kiedy zagasł krótki dzień zimowy, i przyszło to najgorsze — wieczór, Iwan Dmitriewicz wstąpił po Cyryla Iliicza. Czuł, że na to, by samemu wejść do mieszkania i zasiąść za świątecznie zastawionym stołem — nie starczy mu sił.

Przyszli wreszcie. Iwan Dmitriewicz raz jeszcze powinszował żonie, dotykając jej bladych ust.

Cyryl Iliicz powinszował także, wręczył jej bukiecik kwiatów i szybko chwalić począł dobrą, łagodną zimę:

— Po prostu, jak to mówią, zima jak dla sierot...

Samemu nie bardzo mu się to słowo spodobało. Odchrząknął, zasępił się i zasiadł do stołu.

Wypili za zdrowie solenizanta, za ojczyznę i front. To także przeszło szczęśliwie. Wszystko jak gdyby było, jak dawniej. Nad stołem paliła się lampa, ocieniona starym niebieskim abażurem, na podłodze rozesłany był świąteczny dywanik. Przed fotografią Miti stał bukiecik kwiatów. Noc na dworze była jasna, i światło księżyca padało na podłogę poprzez muślinowe firanki.

Siedzieli przy stole, gawędzili spokojnie, i tak się jakoś składało, że o Miti prawie nie mówili.

Iwan Dmitriewicz wstał od stołu, by dopomóc w czymś żonie.

6*

Stąpnął na smugę księżycowej poświaty, przecinającej dywan, i nagle jęknął z bólu i zgiąwszy się do ziemi, jakby otrzymał cios pod serce, opadł na najbliższe krzesło. Żona i gość podbiegli do niego, a on, zasłaniając dłonią oczy i potrząsając głową, płakał jak dziecko i bełkotał żałośnie:

— Nie ma, nie ma już Miti... Nie będzie już chodził po dywaniku...

Opamiętał się, i opanowując ból w piersi, jął uspokajać Marię Nikołajewnę. Ale ona stała już przed nim z lekarstwem w kieliszku, i nie ocierając łez, które spływały po zapadłych, zwiędłych policzkach, szeptała czule:

— Dość już, dość już, Jasiu...

Cyryl Iliicz stał przy oknie, gniewnie patrzył na srebrne zaspy śnieżne i ocierał wąsy, a wąsy były zupełnie mokre.

Iwan Dmitriewicz powiedział cicho:

— Dostałem już przed tygodniem... Nie mogłem...

A Maria Nikołajewna milczała. Potem z głębi komody wyciągnęła otwartą kopertę.

— To list od Miti, — powiedziała. — Ostatni... Dostałam przed samym Nowym Rokiem. Kazał ci go pokazać po wszystkim... Tu wszystko jest napisane

Iwan Dmitriewicz wziął list i chciał go przeczytać. Ale kartka papieru tak drżała mu w ręce, że oddał ją Cyrylowi Iliiczowi i ten, włożywszy okulary, począł czytać głośno. Czytał bardzo nierówno: czasem twardo i dobitnie, to znów słowa dusiło szlochanie. Wówczas potrząsał srebrną głową, przecierał okulary i znów czytał twardo, dobitnie, nawet gniewnie:

„Droga moja mamo!

Najpierw sama przeczytaj ten list. Dlaczego — dowiesz się z dalszego ciągu.

Piszę do ciebie w radosne dni naszych zwycięstw.

Do sali, na której leżę, wesoło w tej chwili zagląda słońce. Wszystko dokoła jest białe — ściany, sufit, łóżka, fartuchy. Za oknami to samo: nad białym dachem wije się i odpływa w niebo biały dym. I nie wiedzieć czemu od rana myślę o białych kwitnących jabłoniach w naszym ogródku. Każda ich żyłka tryskała życiem i każdy zalążek niósł w sobie nowe życie. A drzewa stały, uginając do ziemi ciężkie gałęzie, jakby trapił je smutek.

A dym lekkimi, wesołymi kłębami wzlatuje w tej chwili w niebo... Ale do czego właściwie zmierzam? Chcę mówić — o życiu i śmierci.

Drugi rok już pracuję na polu śmierci. Wiele razy wychodziłem jej na spotkanie. I oto spotkaliśmy się — i już się nie rozstaniemy. Będę chyba pisał krótko: śmierć nagli. I chaotycznie: przeszkadza. Ale potem o śmierci. Pomówmy, mateczko, o tym co żyje. O życiu. O radosnych marzeniach.

Wiele miałem upragnionych marzeń. Wiem: gdybym nawet przebył najdłuższą drogę, jaką dane jest przebyć człowiekowi, nie ziściłaby się nawet drobna ich cząstka. Czekały mnie w mojej wędrówce niepowodzenia i gorzkie rozczarowania — do siebie i do innych. Ty i ojciec, wiecie przecież, jaki byłem nieprzejednanie wymagający wobec siebie i wobec innych ludzi.

Wątpię jednak, czyście wiedzieli, jakie miałem jedno tajemne marzenie: koniecznie dokonać czegoś takiego, żeby moje imię cały kraj wspominał z wdzięcznością. Żeby radosna duma opromieniała życie, jakie wam pozostało. Uważałem, że to jest najwyższe szczęście, którego nie podobna odebrać, dla którego warto żyć.

Ale mam już dwadzieścia lat i widziałem, że marzenie to jest nieosiągalne. Jestem człowiekiem przeciętnym, jakich są miliony. Dziedzina, jaką sobie obrałem, bo nie mogłem obrać innej, bo tę kochałem nade wszystko, — historia, filozofia — nie dawała pola do wielkich czynów ani sławy, — przynajmniej niedalekiej. Było to tym smutniejsze, że nie dawało się odmienić. Szczęście mojego życia okazało się niedostępne.

Ale oto szczęście samo do mnie przyszło. Dokonałem czynu, za który ojczyzna będzie mnie kochała i błogosławiła po mojej śmierci, z którego wy, drodzy moi, będziecie dumni do swojej śmierci.

Wśród czynów dostępnych dla człowieka nie ma wznioślejszego, niż oddać życie za ojczyznę. Drodzy moi, piszę to nie po to, by was pocieszać. Ten list — to spowiedź kochającego serca. Serce to napełnia dziś ta radość, za jaką tęskniłem zawsze w najtajniejszym marzeniu. Wkrótce już bić przestanie. Ale nawet ostatnie jego drgnienia pełne będą szczęścia wielkiego jak słońce — waszego szczęścia, szczęścia ojczyzny, i radość tą przeżyje bicie mojego serca. Niechże i wasze serce bije tą radością, niech je wypełni na całe życie...

Wiem, drodzy moi, że najpierw przeszyje je ostry ból i nie dopuści do niego radości. Boję się o serce ojca i dlatego do ciebie, silniejszej, piszę najpierw: ty go przygotuj. Będziecie długo i gorzko płakali i wspominali mnie ze smutkiem. Nie trzeba, moi słabi, moi bez miary ukochani. Smutek wasz opromieniony będzie moją sławą.

Opiszę wam szczegółowo, co zrobiłem, wskażę dokładnie moją mogiłę. Przyjedziecie na nią wkrótce. Płakać nad grobem syna — to gorzkie prawo wszystkich rodziców. A szczycić się nią i być z niej dumnym — to wzniosłe prawo wybranych.

Kochałem gorąco swoją ziemię ojczystą i wspaniałe wody naszej wielkiej rzeki, i każde najmniejsze źdźbło na ziemi. Przypieczętowałem tę miłość krwią, którą wyście mi dali. Ileż jeszcze chciałoby się powiedzieć! Ale trudno mi już. Odpocznę.

Już odpocząłem. Siostra chciała mi zabrać kałamarz, ale stropiła się i oddała. Siły mnie opuszczają, ale radość mnie nie opuszcza.

Pogawędzę jeszcze z wami trochę. Ściemni się wkrótce. O zmroku będę myślał tylko o was. Widzę dokładnie wszystko, co was otacza. I piec kaflowy, i twoje ukochane kwiaty, i starą kanapę z wygiętym oparciem. Jakże lubiłem o zmroku siedzieć na niej z tobą, w zaraniu życia!.. Jak żywo pamięta się wszystko... Pamiętam to także, że zbliża się dzień moich urodzin. Wiem, że wyprzedzi go znacznie dzień mojej śmierci. Ale ojcu powiedz o niej, mamo, dopiero po moich imieninach. Niechaj mu pozostanie jeszcze jeden dzień dawnej radości. Niechaj spędzi go ze mną jeszcze żyjącym. A wy oboje w tym dniu dawnej radości rodzinnej pamiętajcie, że przyszły dni radości powszechnej całego narodu: śmiertelną ranę dostał podły wróg.

I jeszcze jedno chciałbym wam powiedzieć: porzucam ojczyznę skąpaną we krwi, znieważoną do głębi. Odchodzę z niezaspokojoną żądzą odwetu.

Będą jeszcze, będą bandyci zaściełać ziemię, która nie przyjęła ich i wyklęła, setkami tysięcy swych nędznych jak padlina trupów. Przelejemy rzeki czarnej rozbójniczej krwi, ale to wszystko za mało. To tania zapłata. Zapłata dopiero przyjdzie... Nie sądzone mi było szczęście ujrzenia naszego walką odzyskanego życia. Ale sądzone mi było szczęście większe — oddania za nie własnego życia.

Żegnajcie, drodzy moi, całuję wasze usta, które skierowały mnie na drogę szczęścia, całuję wasze oczy, które poiły mnie miłością i napełniały nią moje serce. Oddajcie pozdrowienia pożegnalne naszym przyjaciołom, a przede wszystkim naszemu wiernemu...

Dalej Cyryl Iliicz nie mógł już czytać.

Maria Nikołajewna dokończyła za niego.

— Otóż i przyszedł do nas nasz Mitia — powiedziała chowając list. — Teraz już na zawsze... Nie rozstaniemy się.

Wzeszedł księżyc. Skończyło się święto Miti. A noc zimowa była jeszcze długa i długo siedzieli we troje, rozmawiając cichutko, jak gdyby obawiali się, że kogoś zbudzą, i tak siedzących zastał ich poranek.

FEDOR KNORRE

SPOTKANIE W CIEMNOŚCI

Teraz wracali na powrót do życia. Ostatnią rzeczą, jaka pozostała im w pamięci, był ogień na płonącym czołgu, przejmujący gwizd bomby i błysk bliskiej eksplozji przed oczyma.

Potem rozpoczynał się mrok niepamięci, poprzez który przebijał się nieustannie narastający ból, to zlekka tylko przycichający, to znów po chwili dojmujący nie do zniesienia, i mętne, a niekiedy z dręczącą wyrazistością wynurzające się z mroku szczegóły: roztrzęsiona ścianka ciężarówki, czy biały sklepiony sufit wagonu przed oczyma. I wciąż było tak samo: z mroku zapomnienia dochodził ból i jednostajny stukot kół pociągu, albo ból i ściana w promieniach słońca, ból i twarz siostry, nachylonej z bandażem w ręku.

Potem to wszystko także minęło, i pozostał spokój jasnych sal szpitalnych, tak zdumiewający po zamęcie wiatru, krzyku, ognia i łoskotu. Miarowe życie z ceremonialnie spełnianymi procedurami.

Wszyscy trzej mieszkańcy małej salki narożnej: tankista Dymokurow; niemłody już, ciężkawy rybak, którego z racji jego solidności przezywano ojcem Piotrem, i drobny, pulchny artylerzysta Watulin — wiedzieli już od dawna, że nigdy nie powrócą na front, pogodzili się już z tym, że jest to nieuniknione, i niedawna realność życia frontowego poczynała już blednąć w ich świadomości, a inna, czekająca ich realność poczęła rysować się przed nimi coraz wyraźniej: powrót do domu, do owego dziwnego, napoły zapomnianego życia, w którym ludzie rano idą do pracy, dzwonią tramwaje, a dookoła jest mnóstwo cywilów i kobiet. I jeszcze jedna realność: ciążące, niepokojące poczucie obcości, nieposłuszeństwa własnego okaleczonego ciała.

Strony rodzinne wszystkich trzech były bardzo daleko od miasta, gdzie leżeli w szpitalu, toteż bardzo długo nikt ich nie odwiedzał.

Raz jednak ojciec Piotr, który przechadzał się już swobodnie po wszystkich korytarzach i klatkach schodowych, wbiegł zdyszany na salę, otwierając koszturem drzwi i w milczeniu, ruchem pełnym znaczenia podał leżącemu Dymokurowowi złożoną ćwiartkę papieru.

Dymokurow zdrowszą ręką wyciągniętą spod kołdry wziął podaną mu kartkę i począł rozkładać ją niezgrabnie, przytrzymując ją na piersi obandażowanymi grubo palcami.

Ojciec Piotr i Watulin zbliżyli się o kulach do jego łóżka i obserwowali go z wyciągniętymi szyjami, nie odrywając oczu od kartki papieru.

— Otworzyć ci? — zaproponował ojciec Piotr.

Leżący nie odpowiedział i krzywiąc się z bólu, podciągnął się całym ciałem w górę, wsparł się zlekka na łokciu, zwrócił kartkę do światła i począł czytać; i koledzy spostrzegli natychmiast, że białe plamy ukazały mu się na kościach policzkowych.

Czytał bardzo długo, choć list zawierał tylko kilka słów.

Koledzy stojący przy łóżku spojrzeli po sobie.

— Widocznie narzeczona, — zauważył, nie zwracając się bezpośrednio do nikogo i jakby mimochodem Watulin, wygładzając uważnie palcem rysę na lakierowanej powierzchni swej kuli.

— Nie mam żadnej narzeczonej, — odezwał się niechętnie Dymokurow, i opadłszy na poduszki, złożył najpierw na pół, a potem zmiął kartkę w dłoni.

— Wszystko jedno, czy narzeczona czy nie; ważne jest to, że ktoś przyszedł. To dobrze. Ta kobieta czeka na dole. Pogawędziliśmy z nią trochę, — Watulin uśmiechnął się nie podnosząc głowy i w dalszym ciągu wygładzał rysę. — Bardzo się niecierpliwi.

Leżący poruszył się niespokojnie, marszcząc w naprężeniu brwi i patrząc w sufit.

— Co robić teraz, towarzysze?... Idźcie, wytłumaczcie jej jakoś, że teraz nie można. Powiedzcie, że później kiedyś już pogadamy.

— Później? Ależ ona w nocy ma jechać. Wyjeżdża stąd zupełnie. Kupiła już bilet na stacji. Więc kiedy później macie gadać?

— Niech sobie jedzie. Proszę was, towarzysze, urządźcie to jakoś. Poradźcie co. Choćby ty, ojcze Piotrze, co? Ty przecie rozumiesz... Nie chcę, żeby mnie w takim stanie... Bardzo was proszę, chłopcy, idźcie, załatwcie to jakoś...

Watulin wzruszył ramionami.

— Co tu ma stan do rzeczy. Wiadomo, jesteś ranny. Bardzo ciężko ranny. Wyleczysz się jeszcze, zamieniłbym się z tobą, słowo daję. Doktór mówi, że ręce goją ci się bardzo dobrze...

— Co tam ręce, — przerwał niecierpliwie Dymokurow, — czy ja o rękach mówię?

— Wszystko jedno o czym, — z zapałem, lecz już bez poprzedniej pewności siebie zawołał Watulin, mimo woli spoglądając przelotnie na nieruchomą twarz leżącego, jak zawsze do połowy okrytą narzuconą z góry gazą.

— Po co gadasz. Nie zamieniłbyś się... Daliby mi choć lusterko, — rzekł ze smutkiem Dymokurow.

Ojciec Piotr wtrącił z ożywieniem, nie patrząc na leżącego:

— Doktór mówił, że nie trzeba ci teraz dawać lusterka. Za jakieś dwa, trzy tygodnie szwy zbledną, wyrównają się, wtedy ci dadzą lustro. A tak, słowo honoru, nic szczególnego. No, szramy i szramy. Zagoi się.

— Nie, to zostanie. Po co gadać na próżno.

Ojciec Piotr poruszył się z ponurą miną, poprawiając się na kulach.

— Wiadomo, że się zagoi. Trochę się zagoi. Trochę zostanie, — ostrożnie łagodził Watulin.

— Ale my tu gadamy, a tamta stoi na dole i czeka, — westchnął rozstrojony ojciec Piotr.

Leżący znów poruszył się niecierpliwie i odwrócił się do ściany.

Ojciec Piotr i Watulin spojrzeli po sobie.

— Słuchaj, wiesz co? Zgasimy tu światło. Chcesz?

Leżący, kombinując z trudem o co chodzi, odwrócił się powoli.

— No, zgasimy elektryczność. Pogadasz z nią trochę po ciemku, i to wszystko, a jutro ona i tak wyjedzie.

— A światło z korytarza?

— Światło z korytarza nie sięga do twojego łóżka. Zaraz można spróbować.

Watulin pochylił się naprzód, nacisnął ramionami kule i długim skokiem w mgnieniu oka znalazł się przy drzwiach. Rozległ się trzask kontaktu i lampka zgasła.

Wszyscy chwilę czekali w milczeniu, aż oczy przyzwyczają się do ciemności.

— No, patrz, — powiedział po chwili Dymokurow.

— Przecież patrzę. Nic nie widać.

— Słowo honoru? Dobrze się przypatrz. Oczy jeszcze się nie oswoiły.

— Nic nie widać zupełnie. Zawołam ją.

Leżący opadł z westchnieniem na poduszki.

— Bo ja wiem... No, wołajcie.

* * *

Szura szła po szerokich schodach szpitalnego przedsionka w dawnej szkole. Na górze stało kilku rannych o kulach. Jeden z nich — był to ten, z którym rozmawiała niedawno na dole. Uśmiechnął się, odprowadzając ją niespokojnym spojrzeniem.

Szła długim korytarzem za siostrą, nie mając nawet czasu przyjrzeć się czemukolwiek po drodze. Przez otwarte drzwi pokojów wychodzących na korytarz widać było rzędy łóżek. Siedzieli na nich lub leżeli ranni. W którymś miejscu, kiedy przechodziły, jęknął cicho, z głębokim westchnieniem, niski męski głos. Kilku ludzi w płaszczach szpitalnych rozmawiało z ożywieniem pod oknem.

Gdzieś na końcu korytarza dźwięczały jak w domu statki kuchenne.

Siostra podprowadziła ją do otwartych drzwi i powiedziała:

— Tutaj, — i nie odwracając się odeszła.

Szura weszła do na pół pogrążonego w ciemności pokoju; światło padało doń jedynie przez drzwi z oświetlonego korytarza.

Stanęła przy drzwiach i wpatrywała się nic nie widząc. Gdzieś w ciemności zakasłał znajomy głos i odezwał się:

— Jestem tutaj. Siadajcie. Krzesło jest z prawej strony. Dzień dobry, Szuro.

Serce poczęło jej walić. Wydało jej się, że ciemność ta kryje coś strasznego i nie namyślając się spytała z przerażeniem:

— Jesteście ranni, prawda? — Usłyszała, że się uśmiechnął i poprawiła się szybko: — Chciałam zapytać: czy rana jest ciężka?

— No przecież wiadomo, żem ranny. Co tam o tym gadać. Pomówmy lepiej o czymś innym.

Namacała w ciemności poręcz krzesła i odsunąwszy je na bok, weszła między dwa łóżka.

— Nic nie widzę. Dlaczego u was nie zapalają światła?

— Siadajcie. Dzień dobry, Szuro.

Dostrzegła jakąś niewyraźną białą plamę i domyśliła się, że podaje jej rękę.

Szybko i ostrożnie ujęła obiema dłońmi wyciągniętą rękę. Palce jej, ledwie dotykając szorstkiej gazy, obiegły opatrunek dokoła i wyszukały miejsce nieobandażowane. Ostrożnie ześliznęły się na nie i trwożliwie, gorąco, ledwie dostrzegalnie ścisnęły.

— Boli? — spytała szeptem, jak gdyby sama w tej chwili walczyła z dręczącym bólem.

— Ale skąd... Nie stójcie, siadajcie. Tam jest krzesło.

— Jak tu ciemno u was. Zapalę światło, można?

— Nie. Nie wolno zapalać. Tu u nas, wiecie, nie pozwalają. Można i tak porozmawiać.

Chcąc nie chcąc przysiadła na brzeżku krzesła.

— Tak się cieszę, że was znalazłam. O mało przecież nie

wyjechałam. Tak mi się przykro zrobiło, że mogłam wyjechać, nie dowiedziawszy się, że tu jesteście.

— Prawda, jak to się dziwnie złożyło? A jednak, spotkaliśmy się znowu. Ile to lat minęło!

— Ileż według was?

— Bardzo dużo, doprawdy już nie pamiętam. Zresztą, nie warto teraz liczyć.

— Liczenia niewiele. Wszystkiego cztery lata. A ja pamiętam nawet jaką suknię miałam wtedy na sobie.

Usłyszała jak uśmiechnął się w ciemności, i przeciągając leniwie słowa, zapytał:

— Cóż to była za suknia?

— Teraz to już nieważne i nie interesuje nikogo... Taka, jakie noszą wszystkie dziewczęta. Taka zielona, zdaje się, z jakimiś klapami... Przypomniało mi się to po prostu dlatego, że ostatni raz ją wtedy miałam na sobie. Nie nosiłam jej potem już nigdy.

— Dlaczego?

— Przecież była letnia. Wkrótce potem zrobiło się chłodno, nadeszła zima. A następnego lata już z niej wyrosłam... No więc macie cały referacik pod tytułem: zielona suknia i granatowe klapy, — zakończyła ze złością.

— Klapy były żółte — powiedział cicho.

— Co — zwróciła się doń szybko Szura. — Ach tak, naturalnie, żółte...

Roześmiała się nagle i ośmielona wstała z krzesła.

— Można bliżej do was podejść? — Szura wyciągnęła rękę i choć on zrobił ruch, jakby chciał się odsunąć, dotknęła palcami jego głowy, a potem poczuł, jak jej ciepła dłoń spoczęła na niej niepewnie, przylgnęła i leciutko, płynnym ruchem pogładziła go po głowie, dotarła ostrożnie do czoła i tu się zatrzymała, natknąwszy się na jego obandażowaną rękę, leciutko choć natrętnie usiłowała ją usunąć, a gdy jej się to nie udało, ześliznęła się powoli na skraj poduszki, jakby bezsilna.

Nagle powiedziała szybko:

— Może zapalę na chwilę światło? Spojrzę tylko i zaraz zgaszę. Dobrze? Gdzie tu jest kontakt? Nic nie widać.

— Nie ma tu kontaktu, — ze zbytnim chyba pośpiechem powstrzymał ją Dymokurow i zająknąwszy się, dodał już spokojnie: — Nie ma po co zapalać.

— Dlaczego nie ma po co? — spytała Szura, wpatrując się trwożliwie w ciemność. — Dlaczego? Będzie wam źle, jeśli zapalę?

— Tak, niedobrze, i wam także.

— Och, jak możecie tak myśleć? Mnie? Mnie przecież wszystko jedno. Chcę was widzieć, bez względu na to, jak wyglądacie. Przysięgam wam, że to mi zupełnie obojętne.

— Nie, to nie będzie dla was obojętne, — powiedział z tak beznadziejną, zmęczoną pewnością, że stropiła się i umilkła przestraszona. Z takim napięciem wpatrywała się w jasną plamę poduszki z ciemniejącym po środku niewyraźnym zarysem jego głowy, że po krótkiej chwili poczęły przepływać jej przed oczyma coraz szybciej kolorowe kręgi, i musiała na jakiś czas przymknąć oczy, by to przeszło.

Odetchnął w ciemności i rzekł cicho:

— Czy nie byłoby wam trudno podejść do drzwi, tam gdzie jest światło, i zostać tam przez chwilę, żebym was widział?

Usłyszał cichutkie znajome «hm», niby urwany śmiech zawstydzony a zarazem ironiczny, i Szura podeszła do drzwi, poprawiając w ruchu włosy.

— Tak mam stać? — spytała z uśmiechem, weszła w smugę światła i przystanęła, oparłszy się ramieniem o framugę i głowę lekko nachyliwszy w bok.

Tak stała bez ruchu, uśmiechała się w milczeniu i wpatrywała się w mrok pokoju, w którego odległym kącie leżał Dymokurow.

Przeczekawszy chwilę, zapytała: „Wystarczy?" Ale on nie odpowiedział, i Szura stała jeszcze chwilę, a potem powiedziała głośno sama do siebie: „Wystarczy", wróciła na miejsce, ujęła go ostrożnie za rękę i spytała: „No i co?"

— Zupełnie się nie zmieniłaś, — powiedział tonem tak zmieszanym, jak gdyby pytał: „I cóż mam teraz począć?" I nagle zmieniając ton, zapytał grzecznie:

— Ojciec Piotr mówił, że wyjeżdżacie. Podobno macie już nawet bilet.

— Tak, bilet mam już kupiony.

— Trudno teraz o bilety?

— A bo co? — spytała wrogo Szura. — Wybieracie się dokądś?

— Nie, o was się pytam.

— Ach, dziękuję. Trudno, ale dostałam jednak. Jutro właśnie o 5.30 odchodzi pociąg.

Oparła się o poręcz krzesła i rozejrzała się, choć nic nie było widać.

— Co to, pachnie tu jakby kwiatami?

— Tak przynoszą nam czasem.

— Znajomi?

— Nie skądżeby się tu wzięli. Tak, po prostu, nieznajomi przysyłają niekiedy.

Nagle Szura powiedziała pośpiesznie, jakby zadawała zagadkę, na którą trzeba natychmiast dać odpowiedź:

— Kwiatek pamiętacie?

Mimo woli, bez namysłu odpowiedział „tak", i Szura kiwnęła głową z zadowoleniem i milczała przez chwilę.

Niespodziewanie dla samego siebie zacisnął zęby i ze złym uśmiechem powiedział:

— Wiecie, nie trudno jest zapamiętać jeden jedyny kwiatek, ale wybyście mogli na pewno spleść niezgorszy bukiecik z tych kwiatów, które rozdaliście przez te cztery lata. Prawda? — i z grymasem dręczącego bólu poruszył się gniewnie na łóżku, poczym, odwróciwszy się z wysiłkiem, począł patrzeć w bok.

Szura właściwym sobie od dawna gestem ze złością uniosła ramię i w zadumie otarła o nie policzek, przechylając głowę na bok.

— Bardzo mizerny byłby bukiecik, — powiedziała wreszcie cicho i z trudem, — wątpię nawet, czy można by go tak nazwać... Dwa kwiatki zaledwie. Ten, który wam dałam, i jeszcze jeden dość marny, właściwie żaden. Co to, boli was? Czemu marszczycie czoło?

— Rzeczywiście?

— Poznaję przecież po oddechu. Boli was co? Ręka?

— Owszem, ręka także.

— Bardzo boli? Jeszcze? Co wam się stało z rękami?

— Z rękami nic strasznego. Pracować będę mógł, chociaż nie wiem jeszcze, kim będę. To śmieszne, prawda? Człowiek już po trzydziestce, a powiada, że nie wie kim będzie. Trzeba zaczynać życie na nowo, jakby się miało siedemnaście lat. Ale kim już nie będę nigdy, to wam mogę powiedzieć z całą dokładnością. Nie będę rekordowym szybkobiegaczem. Nie będę pianistą. Ani futbolistą także nie będę. I żaden malarz nie będzie chciał robić moich portretów na pudełku do papierosów... Wiele jest jeszcze rzeczy, których na pewno nie będę robił, ale ostatecznie czymś przecież będę i to wystarczy.

Mówił to wszystko cichym, miarowym, leciutko zachrypniętym głosem. Wszystko to nie przyszło mu do głowy w tej chwili, przemyślał to już od dawna i przywykł już do tych myśli...

Szura słuchała go z pochyloną głową i delikatnie, by tego nie spostrzegł, gładziła uspokajająco rożek zwisającego w ciemności włochatego wełnianego koca.

Z korytarza słychać było stłumiony gwar głosów, odgłos kroków w miękkich pantoflach i podskakujący stukot kosturów.

Ranni schodzili się na kolację. Dwaj z nich stali, spoglądając zdaleka na ciemne drzwi swojej sali.

— Rozmawiają jeszcze? — spytał tajemniczym szeptem zafrasowany Watulin.

Ojciec Piotr westchnął, zagryzł wargi i zasępił się.

— Kto rozmawia? — spytał zatrzymując się z uśmiechem trzeci ranny, z nienaturalnie grubą, obandażowaną ręką, którą niósł przed sobą, jak dziecko w powijakach.

— Ciszej, — zmarszczył brwi ojciec Piotr, spoglądając z ukosa na drzwi. — Ktoś przyszedł do Dymokurowa. Dziewczyna.

— Znajoma? — Ranny z zaciekawieniem przysunął się bliżej odsuwając rękę, by go ktoś nie potrącił. — To szczęściarz, a który to Dymokurow, bo nie pamiętam?

— Tak, szczęściarz, — powiedział ponuro ojciec Piotr. — Co to, Dymokurowa nie pamiętasz?

Ranny zamyślił się na chwilę, starał się sobie przypomnieć, i nagle otworzył szeroko oczy i jęknął zcicha, jakby z bólu, i tak zastygł, patrząc Piotrowi w oczy z przerażeniem.

— Och, to przecież ani chybi ten... z twarzą...

Szybkim krokiem przeszła przez korytarz siostra, stąpając miękko filcowymi pantoflami. Kiedy się już zbliżała do ciemnych drzwi, Watulin zaniepokoił się, zakasłał i począł dawać ręką znaki siostrze. Siostra odwróciła się nie przystając, skinęła mu ręką na znak, że wie wszystko i zajrzała do pokoju, w którym nie paliło się światło. Nie weszła do środka, od progu tylko swym równym, jakby zawsze kogoś uspokajającym głosem powiedziała, że czas na kolację, i odwiedzający muszą opuścić salę.

— No, dziękuję za odwiedziny, — powiedział Dymokurow po wyjściu siostry. — Czas na was, wyjeżdżacie przecież z samego rana.

— Tak, — potwierdziła Szura, — niedługo trzeba jechać... A może mogłabym jeszcze trochę posiedzieć? Czy też przeszkadzam? No dobrze, zaraz pójdę... No i spotkaliśmy się jednak, to dziwne. Wszystkiego dobrego.

— Szczęśliwej drogi, Szurko. Pociąg odchodzi zdaje się o 5.30, mówicie? Czemu się uśmiechacie?

— O 5.30... Uśmiecham się, żeście mnie nazwali Szurką... A chcecie, to pójdę zaraz na stację i sprzedam swój bilet.

— Po co? — chciał powiedzieć głosem raźnym i nawet nieco ironicznym, ale nagle usłyszał, że wymówił to głosem ochrypłym i bezsilnym.

— Po co?... No, pozostałabym w takim razie tutaj.

Odkaszlnął z wściekłością, zły, że głos mu się załamał i powiedział dobitnie:

— Siostra zaraz znowu przyjdzie, będzie robiła uwagi. Idźcie lepiej od razu, Szuro.

— Tak, — powiedziała Szura. — Idę. — Wstała.

Po omacku ujęła jego rękę i teraz znalazła od razu niezabandażowane miejsce, przesunęła po nim obie dłonie, powoli i bardzo uważnie, jakby chciała utrwalić je sobie w pamięci, potem troskliwie odłożyła jego rękę z powrotem na kołdrze i najpierw dłoń, a później palce jej poczęły zsuwać się powoli, bez życia z jego ręki; i w chwili, kiedy pozostały już tylko koniuszki palców, nieruchoma jego ręka drgnęła, jakby je chciała zatrzymać.

Dłoń jej zatrzymała się, poczuła jego słaby uścisk i zastygła.

Leżał w ciemności i wiedział, że ona nie może go widzieć i uśmiechał się z przymkniętymi oczyma, do bólu ściskając w swej wielkiej, słabej dłoni jej gorącą i silną maleńką rączkę.

Myślał, że lada chwila wyrwie rękę, ale ręka ta leżała spokojnie, jakby odpoczywając w jego ręku, uwięziona między wilgotną dłonią i naciągniętą, szorstką gazą bandażu.

Wtedy całą swą siłę, skupioną, jak snop światła, skierował w tę swoją rękę. Ręka powoli rozluźniła uścisk, zgięła się w łokciu i wyswobodzona, spoczęła na kołdrze.

„Niczego na świecie, niczego na całym świecie nie trzeba, tylko tego, by ona była tu i nie odchodziła, żeby nie musiała odchodzić już nigdy", — myślał, czując jednocześnie, że właśnie ta sama straszliwa siła pragnienia, by być z nią razem, tajemnym sposobem dodaje mu siły, by cofnąć rękę i robić wszystko, aby odeszła.

— No i cóż, — powiedziała z krótkim westchnieniem Szura i wstała; a w tejże chwili Dymokurow usłyszał na korytarzu czyjeś zbliżające się kroki i pojął, że ona stoi tu, koło niego, już ostatnie chwile.

Przemknęło mu to tylko przez głowę i poczuł natychmiast, jak serce pod wpływem tej myśli poczęło uderzać tak silnie i szybko, że trudno było schwytać oddech i powiedział szybko:

— Czy to będzie bardzo śmieszne, jeśli was poproszę, żebyście mnie pocałowali na pożegnanie?

A ona, nie pozwalając mu niemal dokończyć, potrząsnęła głową i powiedziała pospiesznie „Nie" i szybko pochyliła się

nad nim, tak że poczuł falę powietrza wywołaną jej ruchem i wydało mu się, że widzi w ciemności jej szeroko otwarte oczy tuż koło swojej twarzy.

Pocałowała go, a on począł mówić natychmiast: „Idźcie już teraz, idźcie, idźcie prędzej..." — i powtarzał to wciąż tak długo, póki nie usłyszał jej kroków oddalających się w kierunku drzwi. Przeszła najpierw po dywaniku, potem po twardej podłodze, zbliżyła się powoli do oświetlonej ramy drzwi i odwróciła się, wpatrując się z powrotem w ciemność.

Leżał w milczeniu, z szeroko otwartymi oczyma i patrzył, jak jej ręka powoli odrywa się od framugi drzwi, jak potem głowę opuściła w kierunku ramienia i przesunęła policzek po uparcie uniesionym ramieniu i pochyliwszy się naprzód, nie oglądając się już, poszła powoli korytarzem. Przestał ją widzieć i wsłuchiwał się tylko z całych sił, a kiedy był już pewny, że w żaden sposób już nie może go usłyszeć, kiedy poczuł, że się zadusi, jeśli natychmiast nic nie powie, zmiął ranioną ręką skraj prześcieradła i nie otwierając zaciśniętych ust powiedział bardzo cicho słowo nie wymawiane od dawna, zapomniane od dzieciństwa, wiejskie słowo „najmilejsza moja..." I kroki jej zatrzymały się natychmiast na korytarzu, a ona spytała: „Co?"

Milczał, walcząc ze sobą, potem głosem bezdźwięcznym powiedział:

— Wołałem siostrę... Prosiłem, żeby zawołać siostrę.

Szura potrząsnęła surowo głową.

— Mówicie nieprawdę. — I znów usłyszał jej kroki, i zanim zrozumiał co zaszło, Szura znów stała we drzwiach i wyciągnąwszy rękę w tym kierunku, gdzie zazwyczaj znajduje się wyłącznik, namacała go ręką i przekręciła.

Łagodne mleczne światło zalało salę, w której tak długo przesiedziała w ciemności. Sama zmrużyła na chwilę oczy wskutek niespodziewanego światła i wymówiła szybko:

— Nie bój się, nie gniewaj się, nie myśl, dla mnie to obojętne, dla mnie to będzie zupełnie obojętne...

Ujrzała różowawą kołdrę i dwa sąsiednie puste łóżka z odrzuconymi białymi prześcieradłami, i jego rozpaczliwie zaciśnięte usta, i głowę wciśniętą głęboko w poduszkę i niespodziewane, dawne sfalowane zlekka gęste włosy, i niezgrabnie podniesioną w pośpiechu rękę, którą przyciskał kurczowo, daremnie starając się zasłonić skupioną, okaleczoną przecinającymi się na krzyż szramami twarz.

Nie czując własnych łez, opuściła się, opadła prawie na kolana przy łóżku, objęła i uścisnęła jego nogi, nie odrywając

wylęknionych, męczeńsko zdumionych oczu od tak znajomej, dawno nie widzianej twarzy.

— Boże, co oni z tobą zrobili! I tyś to wszystko przecierpiał zupełnie sam! Spuść rękę, mówię ci. Wszystko mi jedno, czy ty mi naprawdę nie wierzysz, że mi wszystko jedno?

Umilkła na chwilę; żal, ból i pragnienie uczynienia czegoś, by mu pomóc zaraz, natychmiast, odebrało jej oddech. I wówczas usłyszała jak ledwie dosłyszalnie spod ręki przyciśniętej do ust powtarzał swe namiętne błaganie:

— Teraz już idźcie. Teraz już idźcie sobie zupełnie. Niczego mi nie trzeba, tylko idźcie.

W tej chwili weszła do pokoju siostra i łagodnie lecz z niezadowoleniem powtórzyła, że wszyscy odwiedzający wychodzą, lub już wyszli. Szura zauważyła teraz dopiero, że klęczy w nogach łóżka i płacze; wstała zawstydzona i na pół przytomna poszła przed siostrą w kierunku drzwi, i potem w żaden sposób już nie mogła sobie przypomnieć, czy przed odejściem powiedziała mu: „Żegnaj", czy nie — i zdawało jej się, że nie powiedziała.

Szła znowu, nie oglądając się ze wstydu, nieskończenie długim korytarzem.

Za sobą słyszała pośpieszny stukot kul, i na zakręcie dogonił ją jakiś ranny.

Nie poznała go zrazu, ale natychmiast prawie przypomniała sobie, że to ten sam, z którym rozmawiała na dole, gdy tylko weszła w drzwi szpitala.

Ojciec Piotr, zaczerwieniony z wysiłku, jakiego musiał dokonać, by ją dogonić, zrównawszy się z nią sunął obok niej, z nabytą już płynnością przerzucając silnymi szarpnięciami ciało na wysoko wpijających się pod ramiona kulach.

— Odchodzicie? — spytał zatrzymując oddech z uśmiechem pełnym obawy i chciwie badawczymi oczyma z boku zaglądał jej w twarz.

— Tak — powiedziała Szura i szła dalej, patrząc prosto przed siebie, by mu nie pokazać swych zapłakanych oczu, — trzeba już wyjść.

— Czy rzeczywiście nie przyjdziecie już więcej?

— Dlaczego? — spytała w roztargnieniu, nie bardzo zdając sobie sprawę, do czego tamten zmierza.

— Więc może przyjdziecie jeszcze? — dopytywał się natrętnie ojciec Piotr, podążając za nią o kulach. — Przyjdziecie jutro, co? Słowo honoru?

Szura zła, że w tak nieodpowiedniej chwili rozmawiać musi

z kimś obcym, nie zwracając się do niego spojrzała nań zukosa.

— To dziwne, czemu się tak dopytujecie. Jesteście chyba kolegami. Jeśli tak — oddajcie mu pozdrowienia. Do widzenia.

Ojciec Piotr niepewnym głosem odpowiedział także: „Do widzenia", przystanął na platformie schodów i patrzył, jak Szura bardzo wolno zstępować poczęła szerokimi schodami westybulu.

Akurat na wprost schodów wisiał wielki obraz „Winobranie" i Szura ujrzała w szybie swoje odbicie, i całe schody, i rannego, z którym pożegnała się na górze. Stał tam, i zgarbiony na swych kulach patrzył za nią w dół. Potem podszedł do niego drugi ranny, także o kulach, bardzo niski, i natychmiast, zafrasowany, zapytał go o coś. I ten także, zwróciwszy w tę samą stronę swą pełną, okrągłą twarz, począł patrzeć za nią.

Szura zeszła jeszcze o kilka stopni, i odbicie w szybie znikło. Doszła do końca schodów, i kiedy sądziła, że jej już nikt nie widzi, otarła niepostrzeżenie oczy i obejrzała się.

Na górze, na platformie, obok tamtych dwu stało teraz zbitą gromadką jeszcze kilku rannych, i wszyscy patrzyli na dół. Jedni stali, jak ojciec Piotr, wsparci na kulach, inni opierali się o szerokie poręcze i przechyleni patrzyli w dół, a jeden z nich, bardzo wysoki, stał na samym brzegu platformy, z ręką na ramieniu niskiego, rumianolicego rannego, który zszedł o stopień niżej. I oczy wszystkich skierowane były prosto na Szurę.

Kiedy się odwróciła, nie od razu ogarnęła wzrokiem wszystkie postacie, ale nie wiedzieć czemu ujrzała wszystkie te utkwione w niej oczy, uśmiechnięte i zmęczone, pełne zadumy i głębokie, łagodne i pytające, surowe i udręczone tajemnym bólem, oczy proste i dobre.

Wtedy zaczęła sobie przypominać, że — zdaje się — zapomniała coś ważnego powiedzieć przed odejściem.

Stojąc już na dole, podniosła ku nim głowę i nie kryjąc już zapłakanej twarzy, z uśmiechem usprawiedliwienia i ufności, otwarcie otarła rzęsy palcami, które od razu stały się wilgotne i powiedziała:

— Żebyście sobie nie myśleli... Ja jutro znowu przyjdę. Słowo honoru...

I uroczysty ojciec Piotr w odpowiedzi pokiwał jej głową z przekonaniem i serdecznie:

— My wiemy.

ALEKSANDER KONONOW

GORZKI DYM

Była to stara, potężna nienawiść: owa nienawiść sąsiedzka, niezagojona, żywiąca się każdym przez płot przebiegającym złym słowem.

Najbardziej ze wszystkich dokuczał Maksymowi Kozłowowi syn sąsiada Waśka. Kiedy pies wierny przyszedł do domu z odrąbanym ogonem, z załzawionymi żałośnie pstrokatymi oczyma, Kozłow nie wątpił: to Waśki robota.

Nienawiść wciąż niezmordowanie podsycała się od nowa. A jeśli nawet nie na długo przycichała, pozostawała przecież zawsze w sercu zapiekła, zła gorycz. I tak już weszło w zwyczaj, że Kozłow po wiele razy dziennie powracał myślą do sąsiadów.

Żył samotnie, od czasu, kiedy żona w dziewiętnastym roku pojechała na Ukrainę po zboże i nie wróciła więcej. Była to kobieta swarliwa, prędka do słów, lubiła śpiewać — a śpiewała ładnie — i dlatego nie wierzył Maksym w jej śmierć: taka baba znajdzie sobie szczęście nawet za dziesiątą górą. Pił Kozłow rzadko, a kiedy się upił, myślał wciąż o jednym i tym samym; jak gorzki dym, bez śladu przeminęło jego życie.

Z biegiem lat stawał się odludkiem — jak jego ojciec. Od ojca poczęło się też nazwisko Kozłowów: dziada przezywano kozłem, bo zwykł w sprzeczce potrząsać wąską, rzadką bródką. Pisarz gminny bez pytania zapisał w paszporcie ojca wiejskie przezwisko. Może od tego zaczęły się niedole, które przerzuciły się z ojca na syna. A dziad nosił inne nazwisko, — dziś już zapomniane.

Kiedy we wsi zjawili się Niemcy, Kozłow nie od razu zrozumiał, jak ciężkie stało się życie.

Dopiero w dniach niedoli ludzie poznali właściwą wartość własnych spraw, i między rodzinami, które dotąd żyły w niezgodzie, rodziła się niewielomówna przyjaźń.

Ale Maksym nawet teraz nie zaczął czapkować sąsiadom — mijał ich nie witając się.

W jego chacie rozgościli się trzej żołnierze niemieccy. Niekiedy przygrzewali konserwy, gotowali herbatę, i Maksym palił dla nich w piecu. Może dlatego nie wypędzili go z chaty.

Maksym obserwował żołnierzy. Niemcy jedli łapczywie, śmieli się gęsto, ale jakoś nie po ludzku. Jeden zwłaszcza miał niepojęte spojrzenie: oczy miał ciemne, wystraszone i bezczelne, i kiedy się śmiał, oczy te nie zmieniały wyrazu.

7*

Tęskniąc za codzienną pracą, której już nie było, Maksym wyszedł raz na podwórze i bez potrzeby począł przerzucać widłami nawóz koło pustego chlewu. Niemiec wyszedł za nim i zatrzymał się na ganku.

Granatowe muchy z miedzianym bzykaniem krążyły nad drzwiami chlewu. Powietrze pokreślone było pajęczynami, połyskującymi jak stal. To szła jesień, w chłodnym błękicie nieba, w winnym zapachu opadłych liści, w sennym brzęczeniu ostatnich much... Jesień szła przez szerokie przestrzenie rosyjskie, — i przestrzenie te były dotąd niedostrzegalne, jak niedostrzegalne jest dla człowieka to, że oddycha.

Maksym wprawnie pracował widłami, nawóz był suchy, lekki kurz nawet unosił się nad nim: krowę dawno już zabrali z obejścia.

Niemiec długo obserwował Maksyma ze złym uśmiechem; potem wrócił do izby.

Nagle Maksymowi zrobiło się duszno. Rzucił widły i zaczął skręcać papierosa, ale ręce mu drżały.

Nie miał sił wrócić do izby. Wyszedł z obejścia i przez pustą uliczkę przeszedł do ścierniska, jaśniejącego na stoku wzgórza. Był to kraniec wsi, ogrodowe żywopłoty pochylały się nad rowem, który porósł łopianem. Maksym przystanął. Ktoś biegł przez ściernisko, toczyła się wzdęta jak pęcherz koszula, nad koszulą ciemniały zwichrzone włosy — ależ to Waśka sąsiadów leci na złamanie karku!

Maksym zirytowany zawrócił — żeby go złe nie skusiło. Ale Waśka wkrótce go dopędził.

— Ojciec, papieru na zakrętkę chcecie?

Maksym spojrzał nieufnie.

Waśka trzymał przed sobą plik gazet niemieckich. Lud przezwał je papierem, w odróżnieniu od własnych: gazetę można przeczytać, a papier zdatny jest tylko na papierosa.

— No co, jeśli nie łżesz... — powiedział Maksym.

— Macie!

Waśka podał mu gazetę i pobiegł dalej, w uliczkę.

— Poczekaj! A skądeś ją wziął? — zawołał za nim Maksym.

— Stamtąd! — nie odwracając się, machnął ręką Waśka w stronę pagórka.

Maksym postał chwilę, popatrzył za nim i ostrożnie poszedł w kierunku żywopłotu: Niemcy go nie pochwalą za skręcanie papierosa z ich gazet. — Za żywopłotem widać było spęczniałą potężnie ku jesieni nać buraczaną, granatowo-szkarłatną, jakby chwyconą niedawnym przymrozkiem. Dookoła było pusto i cicho. Teraz dopiero odczuła wieś głębię owej cmentarnej niemal ciszy, kiedy nie słychać na dworze gwaru ludzkich głosów, ani pokrzykiwań dzieci, i kiedy ciszę tę zakłócić może każdej chwili łoskot wystrzału.

Maksym przysiadł na skraju rowu i począł oglądać gazetę — z którejby tu strony najlepiej było skrawek oderwać. Litery w gazecie były z wykrętasami u dołu, a zaostrzone ku górze — obce.

Odwrócił gazetę i zastygł: ze stronicy patrzyła na niego spokojnymi, zmrużonymi lekko oczyma znajoma twarz. Nawet ciemny krawat w groszki był znajomy od dawna.

Zamyślił się Maksym: po co drukują Niemcy portret Lenina? Było to niepojęte. Może go opluwają w swojej gazecie... Maksym wyciągnął z kieszeni ułamany kozik (cały bał się nosić, żeby go nie wzięli za broń) i wyciął starannie portret z usianej szarymi literami kolumny.

W chałupie wetknął gazetę pod poduszkę, a portret schował w bezpiecznym miejscu — w szczelinie między belkami, pod warstwą wieloletniego mchu.

Nazajutrz, kiedy jego uprzykrzeni lokatorzy poszli już sobie na służbę, ktoś zastukał do okna chaty Maksyma. Wyjrzał z obawą — nauczył się już bać w ciągu tego czasu. Pod oknem stał Waśka.

Maksym wyszedł zachmurzony.

— No, czego chcesz?

— Ojciec, — szepnął gorąco Waśka, — gazety nie wypalajcie, to nasza gazeta.

— Co cię znowu naszło?

— Nasza. Tylko pisana po niemiecku.

Maksym stał, rozmyślając nad słowami Waśki.

A chłopak, kręcąc głową na wszystkie strony, szeptał dalej:

— Podsuńcie ją, tę gazetę niby, któremu z fryców, któremu tak źle z oczu nie patrzy...

— Wszystkim im źle patrzy z oczu, — powiedział z wysiłkiem Maksym. — Gorzej jak psom. — Waśka uskoczył w stronę płotu, przelazł i znikł. Ulicą szedł z czapką zsuniętą na nos jeden z lokatorów Maksyma. Maksym zszedł spiesznie z ganku. Niemiec minął go i wszedł do izby, rzuciwszy z ukosa puste, nieludzkie spojrzenie. „Ten nazabijał ludzi”, — przemknęło z niezwykłą wyrazistością przez głowę Maksyma. — „Morderca”.

Przez cały dzień ważył w pamięci słowa Waśki. I nagle przypomniał sobie, że ojciec Waśki służy przecież we flocie. Dawniej nie przychodziło mu to na myśl.

Po południu nadciągnął skądś gryzący dym, nad dalekimi,

rudawymi brzózkami ukazały się migotliwe i blade w dziennym świetle języki ognia. Maksym wyszedł przed wrota, ale iść dalej nie miał odwagi. Nikt zresztą nie pobiegł do pożaru. I tak, bez tego od razu dowiedzieli się wszyscy, co zaszło: to Niemcy podpalili nową chałupę Jaszy Czerepkowa, wesołego buchaltera z kołchozu. Jasza w lipcu jeszcze poszedł do partyzantów.

Wieczorem chałupa paliła się wciąż jeszcze; stała na uboczu, zdala od innych, i żartobliwie nazywano ją „budową".

W nocy Maksym wstał bezszelestnie, namacał w ciemnościach wiszące na przypiecku płaszcze Niemców i wsunął między nie gazetę.

Niemcy wstali wcześnie i jak zawsze hałaśliwie zabrali się do śniadania; wydostali rekwirowaną słoninę i własną puszkę blaszaną z wizerunkiem krowiego łba. Któryś z Niemców zbliżył się do płaszczy, zapewne by sięgnąć po papierosy, i na podłogę, koło jego nóg, wypadła z rękawa płaszcza gazeta. Niemiec podniósł ją i oglądał przez chwilę. Brwi jego uniosły się do góry, oderwał oczy od gazety i spojrzał ze zdziwieniem na dwu pozostałych żołnierzy. Ci w odpowiedzi poczęli coś krzyczeć, on zaś, podniósłszy ostrzegawczo palec, przeczytał kilka słów, wciąż jeszcze jakby nie wierząc w istotne znaczenie tego, co znalazł. Potem wszyscy trzej poczęli wołać jeden przez drugiego: „Ofizier, Ofizier", ten wyraz był zrozumiały nawet dla Maksyma.

Jeden z żołnierzy wybiegł z izby i stanął koło płotu. Dwaj pozostali nachylili głowy ku sobie i poczęli czytać gazetę. Od czasu do czasu przerywali czytanie i patrzyli na siebie w milczeniu.

„Zaraz zaczną się pytać", — pomyślał Maksym i nawet ręce drżeć mu poczęły z obawy. Umyślnie powolnym ruchem podciągnął pasa, wyszedł na dwór i z nawykłości wziął się do wideł. Stojący przy płocie Niemiec — to był ten z miną mordercy. „Zaraz się zapyta, skąd się wzięła gazeta". Ale nikt Maksyma nie zapytał o gazetę. Niezadługo przyszedł po żołnierzy frajter i razem dokądś poszli.

Chata Czerepkowa dopalała się, ale widać było, jak szerokie pasma dymu ścielą się jeszcze po ziemi i odpływają w pole.

Nie wytrzymał Maksym i poszedł do sąsiadki — po raz pierwszy od dziesięciu lat.

Anna Zacharowna, matka Waśki, łatała przy oknie starą koszulę.

— Od swojego nic nie miałaś? — zapytał niezręcznie i zakrztusił się: pytanie było nie w porę.

Anna uniosła zapłakaną twarz i nic nie powiedziała.

Maksym przysiadł na ławie.

Kiedy milczenie stało się trudne do zniesienia, powiedział ostrożnie:

— Rozmaicie ludzie gadają. Powiadają, że nam tu gazetę po niemiecku przysłali. Ja tak myślę: nie może to być. — Anna spojrzała na niego i z powrotem pochyliła się nad koszulą. Koszula była kiedyś najwidoczniej czerwona, teraz zżółkła, wypłowiała i starła się w praniu na strzępy.

— W zeszłym tygodniu nocą nasz samolot wysoko na niebie latał, — przemówiła wreszcie. — Nie słyszałeś to? On to, powiadają, gazety zrzucił.

— Powiadają, powiadają! — rozzłościł się Maksym. — W nocy, wysoko... Skąd w takim razie wiadomo, że to był nasz?

Umilkł i zamyślił się.

— A znowu ta gazeta przecież po niemiecku pisze. Kto się rozeznał, że to dobra gazeta? Któren tu u nas taki uczony?

— Tam jest znak, — odpowiedziała cicho Anna.

Maksym patrzył na nią milcząc.

— Znak!

Wdział w zamyśleniu czapkę i przestąpił próg. To prawda: był znak.

Wieczorem żołnierze siedzieli znowu nad gazetą. Widać przeczytali ją już do końca i wciąż teraz oglądali okienko, jakie pozostało w miejscu, skąd Maksym wyciął portret Lenina. Jasne było teraz, że o gospodarzu nie myśleli. Nikt go nie podejrzewał.

Maksym zbliżył się do stołu, by się przyjrzeć. I napotkał nienawistne spojrzenie pustych oczu. Trzeba było powrócić do swego kąta za piecem, gdzie Niemcy pozwalali mu siedzieć, za to, że rąbał dla nich drzewo, palił w piecu, zamiatał izbę, usługiwał im.

— Drzewa już nie ma — powiedział nagle głośno. — Rozumiecie?

Niemiec z pustymi oczyma utkwił wzrok w Maksymie, i ze złości oczy te stały się jakby jaśniejsze. Maksym wytrzymał to spojrzenie. Wtedy Niemiec rozkrzyczał się i począł wymachiwać ręką. I Maksym wrócił za piec mrucząc:

— Z każdym dojść można do ładu... Z psem nawet... Pies, i to zrozumie. Ale nie z tobą. To nie oczy, tylko jakieś puste dziury.

Niemcy znowu roześmieli się. Śmieli się Niemcy często, ale nikt jeszcze we wsi nie odpowiedział im uśmiechem.

Maksym położył się w swoim kącie. Niemcy uspokoili się wreszcie, czarna noc spłynęła do izby, a on wciąż jeszcze przewracał się i nie mógł zasnąć. Przypomniało mu się zdarzenie, o którym ktoś opowiadał: spotkał się raz Rosjanin z Chińczykiem. Jeden z nich powiedział: „Lenin". A ten drugi zrozumiał. I po krótkim czasie zgadali się, zaprzyjaźnili, choć mieli tylko jedno wspólne słowo. A może to był nie Chińczyk, tylko Amerykanin? Wszystko jedno, nawet z Amerykaninem można się dogadać. A z Niemcem podczas tej wojny — nie sposób. Inna z nim będzie rozmowa, na śmierć.

Potem zaczął myśleć o sprawach gospodarskich, o drzewie na opał. Trzeba jechać po drzewo do lasu, siekiera jest potrzebna. A siekierę zatrzymali Niemcy. Wzięli ją, kiedy dzielili zarżniętą krowę, i tak już u nich została, oddawali ją tylko na krótko, kiedy trzeba było narąbać drzewa.

Po dwu dniach Maksym znów zaczął Niemcom mówić o drzewie, wskazywał na piec.

Niemcy wyszczerzyli zęby, poczęli machać na niego rękoma i kazali mu iść za nimi. Dopiero koło ganku dawnej izby gromadzkiej, gdzie teraz za komendanta siedział pisarz niemiecki, Maksym zrozumiał, że przecież pojęli fryce w czym rzecz. W całej wsi nie znalazł się kandydat na wójta, i rozmaite papierki — pozwolenie na rąbanie drzew w lesie, na jazdę na jarmark — wydawał pisarz. Maksym dostał papier z pieczęcią, na której rozczapierzony orzeł wpijał pazury w kółko z haczykowatym brzeżkiem, każde piórko orlich skrzydeł sterczało oddzielnie, niby płaski nóż. Było to pozwolenie na zbieranie chrustu.

Lokatorzy znów poszli na służbę, siekiery więc nie dadzą mu, aż dopiero wieczorem.

Maksym szedł do domu i wciąż myślał o tym, że siekiery nie ma i do lasu będzie mógł iść dopiero jutro rano; w domu nie miał co robić. Mówią, że niedługo Niemcy pognają wszystkich na robotę przy naprawie szosy. Rozmaicie powiadali: jedni mówili, że chleb będą dawać, inni, że trzeba będzie pracować o własnym chlebie, — a własnego nie ma nikt, Niemcy pozabierali wszystko.

Pomyślał nagle, że jakoś nie słychać głosu Waśki. Przystanął przed chałupą sąsiadów. Wybite okno było zasłonięte kawałkiem dykty. Ślepa chata wyglądała jak niezamieszkana, zabita na głucho.

Maksym wszedł do wnętrza.

Anna leżała plackiem na ławie.

— Sąsiadko! — zawołał Maksym.

Anna leżała twarzą w dół.

— Boli was co?

Podniosła głowę.

— Wasię zabrali. W nocy.

— Na co on im? — spytał, nie pojmując jeszcze słów sąsiadki jak należy. Ale serce powoli zastygało już z przerażenia.

Anna zerwała się nagle i usiadła na ławie. Chustka zsunęła jej się z głowy, włosy — wciąż jeszcze czarne — posypały się na ramiona. Spojrzała dziko.

— Na co... Widać zdał się na coś! Ty się tylko nie zdasz na nic! Jak wilk żyjesz! A czy to o sobie myśleć się godzi? Dym gorzki nad krajem, a ty wciąż tylko o sobie...

Padła znowu na ławę i mówiła jak w malignie.

— Czerepkow ze swoją poszedł... Firs... Stary Andrzej Fiklisow poszedł... Wszyscy do partyzantów. I ja bym poszła, żeby nie syn... myślałam, że go ustrzegę. Nie ustrzegłam! Zabrali Wasię w nocy...

— Zbadają w czym rzecz — powiedział niezdecydowanie Maksym.

— Idź sobie! — zawołała nagle Anna. — Idź! Powiadają, że w piecu im palisz...

Załkała krótkimi urywanymi szlochami i umilkła, zastygła.

— Zbadają, — powtórzył Maksym i urwał nagle. Zawsze nie to mówi, co trzeba. Nigdy w życiu nie umiał znaleźć dobrych, do serca trafiających słów. I swojej żonie szczebiotce nie o tym mówił, co jej było drogie. Dlatego i życie układało mu się nie tak jak trzeba.

Postał chwilę, i nie znajdując potrzebnych słów, wyszedł z izby.

Wieczorem, bez stukania, wszedł do chaty Maksyma oficer i dwaj żołnierze z karabinami. Lokatorzy Maksyma byli już w domu, siedzieli za stołem. Zerwali się z miejsc i wyciągnęli się jak struny, kurcząc się pod spojrzeniem oficera. Oficer podszedł do jednego z nich i krzyknąwszy coś głośno, uderzył go w twarz. Potem odwrócił się szybko, jak na zawiasach, — dwaj towarzyszący mu żołnierze zastygli jak kloce, stuknąwszy kolbami karabinów. Lokatorzy Maksyma, zsiniali z przerażenia — tak bledną tylko ludzie bezbronni w obliczu śmierci — ruszyli w kierunku drzwi, potykając się i potrząsając wzajemnie. Za nimi poszła eskorta, przesadnie głośno wybijając krok podkutymi butami. Oficer wyszedł, ani razu przez cały czas nie spojrzawszy na Maksyma.

Późno w noc jeden z lokatorów powrócił. Pogwizdując otworzył nową puszkę konserw z tym samym wciąż purpuro-

wym krowim łbem i zabrał się do jedzenia. Maksym przyglądał mu się w milczeniu.

— Toś ty, znaczy się, judasz? — zapytał cicho.

Hitlerowiec przestał żuć.

— Hę? — spytał ze zdziwieniem. — Jude?

Maksym w dalszym ciągu patrzył na Niemca — gdzie to on już widział te oczy?

Niemiec zawołał coś rozkazującym i groźnym tonem. Gospodarz milczał dalej. Żołnierz chwycił imbryk, potrząsnął nim i wskazał na piec.

— Nie ma drzewa, — odpowiedział Maksym z nienawiścią w głosie i wydostał papier z orłem. — Na masz, czytaj.

Niemiec wziął papier do ręki.

— Już ci chyba więcej palić w piecu nie będę, — powiedział Maksym niespodziewanie dla samego siebie.

Niemiec spojrzał nań pogardliwie. Potem oddał mu papier i powrócił do wystygłej kolacji. Kiedy przestał jeść, począł się rozbierać, zdjął bluzę i złożył ją akuratnie... I Maksym odwrócił się — nie miał sił patrzeć na te systematyczne ruchy, jednakie każdego dnia.

Zrana Maksym wziął od lokatora swą siekierę i poszedł do lasu.

Na skraju wsi wciąż jeszcze siwym dymkiem kurzyła się czerepkowska chałupa.

Maksym szedł przed siebie, rudawe ściernisko połyskiwało chłodno w słońcu, pajęczyny lgnęły do twarzy. Maksym szedł, zbierając ciężko niewesołe myśli: były to przeważnie myśli niepotrzebne, nie w porę... Okrzyk Anny, „ty tylko nie zdasz się na nic", wdzierał się do tych myśli. Teraz już na zawsze, na całe życie zapamięta te słowa. Potem znów przypomniały mu się rzeczy niepotrzebne... Przed trzema laty był w mieście, w zwierzyńcu. Widział za grubymi prętami żelaznej kraty te oczy puste i ciemne, bezczelne, czujne i tchórzliwe, jakiś uczony napis, białymi literami na czarnej deszczułce, przytwierdzony był do klatki.

„Duszy nie masz, dość żyłeś na świecie", — myślał o Niemcu. — „Małpią masz duszę".

Wrona, kracząc, zerwała się z rowu i frunęła w pole. W rowie jaśniało niewyraźnie coś żółtego.

Maksym rzucił się naprzód, serce biło mu głucho i boleśnie, żółta plama była mu znajoma; nie dobiegł jeszcze, a już wiedział: to Wasia!

Wasia leżał z rozłożonymi szeroko rękami, z twarzą niezgrabnie zwróconą do ziemi. Miał na sobie tę samą koszulę,

którą przed dwoma dniami łatała Anna. Przy wypłowiałym kołnierzu widać było starannie przyszytą drugą łatę.

Maksym stał i patrzył na tę łatę. Potem pochylił się nad trupem chłopca i uniósł jego twarz. Chłopiec miał zmiażdżone czoło i krew zakrzepła grubą warstwą od skroni do szyi.

Na piersiach miał przywieszoną deszczułkę z napisem po rosyjsku: „Partyzant".

„Pochować go trzeba", — pomyślał Maksym. Jak zawsze, najpierw przyszły mu do głowy rzeczy zwyczajne.

Zawrócił z drogi w pole, by wykopać dół. Zrył ziemię siekierą i począł wybierać ją rękami. Nagle przerwał: za bardzo tu na widoku, Niemcy odkopią i wyrzucą trupa, chcą zawsze, by trupy leżały długo — poto robią napisy.

Podniósł Wasię, ciało było zupełnie lekkie. „Jak ptak", — pomyślał z goryczą. Zaniósł go do lasu. Trzeba tu sprowadzić matkę na pogrzeb syna. Złożył zwłoki wśród jodeł, okrył troskliwie gałęźmi i poszedł z powrotem do wsi.

We wsi wciąż było cicho ową nieżywą ciszą cmentarza. Za opłotkami sterczał nowy obmierzły słup z czarną strzałą i napisem wskazującym kierunek drogi. Napis był dla Niemców, Rosjanie i tak znają swoje drogi.

Pusta chata Maksyma była otwarta. Mieszkańcom nie wolno było zamykać drzwi na kłódkę, by Niemiec mógł bez pukania wejść do domu Rosjanina.

Maksym zostawił siekierę w sieni, przeszedł do izby i usiadł przy oknie. Koło płotu sterczał obgryziony przez niemieckie konie krzak wiejskiego bzu. Liści na nim nie było, całą ulicę widać było dokładnie.

Dwaj żołnierze przeszli ulicę, maszerując w nogę z obcą, wyuczoną energią. Dopędził ich zielony podwójny wózek kuchni polowej. Powożący żołnierz zwrócił do tamtych rudą głowę, wyszczerzył zęby i coś do nich zawołał.

Nagle rozległ się gdzieś zupełnie blisko strzał, po nim drugi.

Powożący zdzielił konie batem, wóz ruszył szybciej, a po sekundzie już spłoszone konie targały w rowie postronki, a żołnierz, wypuściwszy z rąk lejce, spełzał z kozła na ziemię.

Maksym oderwał się od okna: ktoś przebiegł wzdłuż izby w stronę ganku.

— Niedoczekanie, nie wejdziesz tu więcej, — mruknął Maksym i skoczył do sieni.

Niemiec dobiegł już jednak do płotu. Maksym widział, jak ukrywszy się za krzakiem bzu, wystawił swój automat.

Od skraju wsi pędzili jeźdźcy w kubańskich czapkach. Niemiec czekał celując. „Siekiera” — przypomniał sobie z rozpaczą Maksym. Zanim znajdzie ją w sieni, będzie za późno.

Skoczył z ganku w kierunku płotu i schwyciwszy Niemca za nogi, z całych sił pociągnął go ku sobie. Niemiec upadł. Raz jeszcze zobaczył Maksym dwoje oczu bez wyrazu, niby dwie dziury, — oczy mordercy; ścisnąwszy wroga za gardło, zwalił się wraz z nim na ziemię. Od ulicy słychać było gęste strzały, gdzieś z oddali rozległo się i poczęło narastać głośne: „hura!”. Maksym spostrzegł ze zdziwieniem, że cały mundur Niemca zbryzgany jest krwią. „To on mnie tak nożem”, — przemknęło mu przez głowę. Ból jeszcze się nie zjawił, ale czuł już własną krew, lejącą się z rany pod gardłem. „Zaraz stracę siły”. Ostatnim wysiłkiem napiął zaciśnięte palce i zwalił się na Niemca całym swym ciężarem.

Młodziutki czerwonoarmista z bronią gotową do ataku skoczył z rozpędu na ganek i maskując się za framugą, otworzył drzwi na oścież, wołając w głąb izby:

— Są tam Niemcy?

Nikt nie odpowiedział. Celując z karabinu, żołnierz wbiegł do izby. Nie było w niej nikogo. Nie tracąc ani chwili wybiegł z powrotem na dwór: nie miał czasu, musiał śpieszyć dalej.

Zatrzymał się na chwilę przy płocie. Pod obgryzionym przez konie krzakiem bzu leżały dwa trupy. Chłop rosyjski leżał na Niemcu, krew jego zalała martwą twarz wroga.

Walka miała się już ku końcowi.

Przez ulicę prowadzono dwu jeńców.

W oddali, na skraju wsi, wciąż jeszcze ścielił się gryzący dym pogorzeliska i ogrodami spływał na pola.

ANDRZEJ PŁATONOW

WIELCY DUCHEM

DEKRET

PREZYDJUM RADY NAJWYŻSZEJ ZSRR O NADANIU TYTUŁU BOHATERÓW ZWIĄZKU RADZIECKIEGO DOWÓDCOM I SZEREGOWCOM MARYNARKI WOJENNEJ

Za wzorowe wykonanie zadań bojowych zleconych przez dowództwo na froncie walki z najeźdźcami niemieckimi i wykazaną przy tym odwagę i bohaterstwo — nadać tytuł Bohatera Związku Radzieckiego z wręczeniem orderu LENINA i medalu „ZŁOTEJ GWIAZDY”:

1. Marynarzowi KRASNOSIELSKIEMU Iwanowi
2. Marynarzowi ODINCOWOWI Daniłowi
3. Marynarzowi PARSZINOWI Jerzemu
4. Kierownikowi politycznemu FILCZENCE Mikołajowi
5. Marynarzowi CYBULKO Wasylowi

Przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR
M. KALININ

Sekretarz Prezydium Rady Najwyższej ZSRR
A. GORKIN

Moskwa, Kreml, 23 października 1942 r.

W dalekiej wsi uralskiej śpiewały rosyjskie dziewczęta i jedna śpiewała wyżej i rzewniej od innych i łzy spływały po jej twarzy, a ona śpiewała wciąż, by nie pozostać w tyle za koleżankami i nie dać poznać swego bólu i żałości. Płakała z miłości, płakała wspominając człowieka, który był w tej chwili na wojnie; pragnęła ujrzeć go i uciszyć przy nim swe serce, udręczone rozłąką.

A on biegł w tej chwili naprzód przez pole bitwy, twarz jego zlana była krwią i potem; biegł bez tchu od śmiertelnego zmęczenia i krzyczał z wściekłości. Kula raniła go w policzek, i krew sączyła się z rany za kołnierz i zastygała na ciele pod koszulą. Iwan Krasnosielski czuł jedynie niewielką rankę w twarzy i nie rozumiał, czemu tak traci siły. Rozerwał kołnierz zapiętego kitla. Nie była to odpowiednia chwila na tracenie sił, potrzeba mu było jeszcze trochę czasu, ponieważ szedł do ataku, biegł przez wapniste pole, porośnięte nędznym piołunem. Dokoła niego, z prawej, z lewej i za nim, biegli naprzód towarzysze, i serca ich biły wspólnym rytmem z jego sercem, zachowując życie i nadzieję w obliczu śmierci.

Przypadł twarzą do ziemi, posłuszny błyskawicznemu nakazowi wewnętrznemu, owemu ostremu uczuciu niebezpieczeństwa, od którego mruży się oko, zanim trafi je igła. Sam nawet nie zorientował się w pierwszej chwili, czemu nagle padł na ziemię, ale kiedy śmierć poczęła podzwaniać nad nim długą serią kul, przypomniał sobie matkę, która go na świat wydała, — to ona, ukochawszy swego syna, wraz z życiem obdarzyła go tajemną zdolnością ustrzegania się od śmierci, bystrzejszą od myśli, — bo go kochała i w łonie swym nosiła ku wiecznemu życiu, — tak wielka była jej miłość.

Kule przeszły nad nim. Powstał znowu, posłuszny konieczności walki, i ruszył naprzód.

Przed nim leżał na ziemi kapral Prochorow. Nie mógł już wstać więcej: kula trafiła go w oko, światło zagasło w nim wraz z życiem. Wczoraj Iwan Krasnosielski rozmawiał z Prochorowem, razem palili papierosy i przypominali sobie służbę na zatopionym później okręcie. I zapragnął położyć się obok Prochorowa by mu powiedzieć, że nie zapomni go nigdy, że za niego zginie, ale nie czas był teraz na pożegnanie z przyjacielem, trzeba było jedynie walczyć z jego imieniem w duszy. Poczuł się lżej, dręcząca słabość ciała przeminęła teraz, jak gdyby zobowiązał się żyć za zmarłego przyjaciela i jak gdyby wstąpiła weń siła poległego. Z okrzykiem wściekłości odpędzającym precz strach i drżenie ciała, wdarł się do okopu, do schronu nieprzyjacielskiego, zobaczył tam szarą twarz nieznanego człowieka, poczuł obcą woń i zwalił wroga uderzeniem kolby w głowę, by więcej nas nie zabijał i nie dręczył naszego narodu obawą śmierci. Potem marynarz odwrócił się w ciasnocie rowu ziemnego i zamachnął się karabinem na drugiego hitlerowca, ale nie zapamiętał już, czy go zabił, bo upadł bez pamięci, tracąc oddech od fali powietrznej bliskiego wybuchu. Artyleria niemiecka rozpoczęła straszliwy obstrzał niemieckiej pozycji atakowanej przez Rosjan.

Starszy komisarz batalionu Polikarpow obserwował zdaleka pole bitwy przez lornetę polową. Widział tych, co padli na ziemię i już nie powstali, i tych, co przemogli ogień nieprzyjacielski i dotarli do rowów na wzgórzu, by przeciąć życie wroga kolbą i bagnetem.

Prawe i lewe skrzydło posuwało się jeszcze, centrum już jednak nie było. Środkowa część nacierającego oddziału została rozbita i padła na ziemię pod kulami. Czy pozostał tam kto przy życiu, czy nie — tego komisarz Polikarpow nie wiedział, postanowił więc dotrzeć tam samemu i począł czołgać się naprzód po ziemi.

Za nim leżał Sebastopol, przed nim — szosa Duwankojska. Nieco na lewo szosa skręcała na południe w kierunku Sebastopola, trochę dalej zaś znajdowało się wzgórze, zajęte w tej chwili przez Niemców. Wróg widział już ze wzgórza miasto — ostatnią twierdzę rosyjską na Krymie; i tu trzeba było teraz trwać, broniąc ostatka ojczyzny i życia.

Oba skrzydła nacierającej piechoty morskiej wdarły się na zbocze wzgórza i skryły się w fałdach terenu i w okopach nieprzyjacielskich, gdzie rozgorzała walka wręcz. Ogień nieprzyjaciela ucichł. Polikarpow wstał i pobiegł przez wzniesienie.

Czterech marynarzy z prawego skrzydła przyłączyło się doń i pobiegło naprzód za komisarzem, wyzyskując ciszę, jaka zapanowała na tej nieostygłej jeszcze od ognia śmiertelnej ziemi.

Nagle zagrało jednocześnie kilka kaemów z drugiej linii niemieckiej; linia ta biegła przez szczyt wzgórza. Ogień był gęsty i celny. Polikarpow machnął żołnierzom ręką, by przywarli do ziemi i sam położył się przed nimi.

Na domiar prócz kaemów bić poczęły moździerze i ogień stał się szparki i chaotyczny.

Polikarpow zwrócił się ostrożnie do żołnierzy. Leżeli każdy z oddzielna, dobrze, prawidłowo wciśnięci w ziemię, przywarci do niej w poszukiwaniu ratunku przed zagładą.

Od przedniej linii niemieckiej, na którą ze skrzydeł wdarli się już marynarze, dzieliło ich jeszcze ze sto metrów.

Moździerze wzmogły ogień. Drobne, pękate ciała min przelatywały z wyciem nad ciałami ludzi i rozrywały się, jakby pękając od własnej wewnętrznej wściekłości. By nie zginąć bez celu, trzeba było iść dalej.

Polikarpow poderwał się:

— Naprzód! Bić bandytów, żeby ich...

Ale mina przeleciała obok niego i rozerwała się w pobliżu, a kule tak gęsto przecinały powietrze, że zdało się, jak gdyby powietrze samo rozpadało się i kruszyło.

Komisarz znów przypadł do ziemi i obejrzał się na marynarzy: leżeli nieruchomo, stalowa śmierć przeorywała powietrze nisko nad ich głowami. Komisarz leżał na pół zwrócony do swoich ludzi, by zorientować się czy żyją. Na razie jeszcze żyli. Jeden tylko Wasyl Cybulko leżał jakoś na wznak i nie ruszał się. Polikarpow doczołgał się doń bliżej i dostrzegł, że i tamten począł się poruszać — a więc i on żyje. Cybulko unosił niekiedy twarz i natychmiast przypadał znowu do ziemi; jego opuchnięte spękane od wiatru usta były otwarte: przyciskał je do ziemi, całował ziemię żarliwie, szukając w tym spokoju i pociechy. Danił Odincow patrzył w zamyśleniu na źdźbło piołunu: było mu teraz mile. „Bardzo dobrze, — zadecydował Polikarpow, — ale czas na nas". I krzyknął znowu marynarzom: „Za mną!", i wstał zupełnie, zwracając się na jedno mgnienie do żołnierzy.

Żołnierze podnieśli się również, jednak pocisk artyleryjski, który wybuchł w pobliżu, powalił ich znowu, i samego komisarza fala powietrzna cisnęła na ziemię.

Po raz trzeci komisarz wstał bez słowa, ale upadł natychmiast, nie pojmując czemu, i zły na nienawistną siłę, która go obaliła. Ocknął się wkrótce i poczuł, jak chłód obejmuje całe wnętrze jego ciała, jak gdyby wnętrze to topniało i malało.

Umysł jego jednak pracował jak dawniej jasno i wprawnie i komisarz zdawał sobie sprawę ze znaczenia swych ruchów. Zobaczył, że odłamek miny oderwał mu lewą rękę prawie po ramię; ręka ta leżała teraz oddzielnie, w pobliżu jego ciała. Z przedramienia płynęła ciemna krew, sącząc się przez oddarty rękaw kitla. Z miejsca, gdzie ręka została oderwana, także płynęła jeszcze krew. Trzeba było się spieszyć, życia pozostało już niewiele. Polikarpow wstał i zawołał w oszalałej, zaspokojonej radości serca, ginącego za naród, który go zrodził:

— Naprzód, za Ojczyznę, za was!

Ale marynarze już go wyprzedzili i biegli przez gąszcz śmiertelnego ognia na pierwszą linię nieprzyjaciela.

Polikarpow spojrzał za nimi zadowolonymi, zbielałymi z niemocy oczyma i legł znowu na ziemi w ostatniej bezsile.

Dwaj marynarze dopadli pierwszych krótkich rowów — okopów nieprzyjacielskich — i wgryźli się w nie. W jednym okopie leżał bez przytomności, ale żywy jeszcze Iwan Krasnosielski, opodal niego dwa trupy zabitych Niemców.

Okopy były dość głębokie, i ogień drugiej linii nieprzyjacielskiej był tu nieszkodliwy.

Cybulko i Odincow dopomogli Krasnosielskiemu, który odzyskał przytomność. Prócz rany policzka otrzymał postrzał na wylot w pierś; koszulka przylepiona była do ciała w dwu miejscach — w okolicy prawej brodawki piersiowej, którędy weszła kula, i koło znamienia na plecach, gdzie wyszła. Cybulko umiejętnie i ostrożnie opatrzył Krasnosielskiego, rwąc na bandaże swoją koszulę.

— No, jak ci jest? — spytał Cybulko. — Pójdziesz po bitwie do lazaretu czy tak się obejdzie, pod kulami rozejdzie się po kościach?

— Teraz mi znacznie lepiej, — powiedział Krasnosielski. — Źle było, kiedy szedłem do ataku, wtedy słabłem cały, ale zanim dobiegłem do szwabów, wywietrzało ze mnie, rozeźliłem się i wyzdrowiałem... Dopiero tu się zmordowałem znowu, kiedym tych dwu wykończył. A teraz mi nieźle. Źle jest dostać kulę na samym początku, kiedy dopiero zaczyna się bitwa — pół siły do walki się traci. A teraz mi już lepiej, wylizałem się.

Ale Krasnosielski oddychał z trudem i pot ściekał mu po twarzy.

— Odpocznij! — zawołał Cybulko, przekrzykując ogień nieprzyjacielski. — My już tu powojujemy bez ciebie.

Cybulko znalazł odpowiednie miejsce na końcu okopu i jął stamtąd spoglądać w kierunku nieprzyjaciela. Odincow zaś w tym czasie wyrzucił trupy Niemców na zewnątrz i uprzątnął z okopu grudy ziemi, odłamki, — wszystko to, co nie było potrzebne do życia i do walki.

Poczynało już zmierzchać, strzały niemieckie przycichły; Niemcy bili teraz jedynie dla przestrogi, główne swe zabiegi odkładając najwidoczniej do następnego dnia.

— A gdzie jest komisarz naszego batalionu, towarzysz Polikarpow? — spytał Krasnosielski.

Odincow zamyślił się na chwilę.

— Wyniesiemy go w nocy z pola bitwy... Tacy ludzie niedługo trzymają się na świecie, a świat na nich trzyma się przez wieki.

— To prawda, — odezwał się Cybulko. — Naprzód, powiada, za ojczyznę, za was... Za nas, mnie i ciebie. Ojczyzną byliśmy dla niego wszyscy. I umarł...

Zmrok spowił wzgórze, ale Sebastopol jaśniał: płonęły nad nim cztery żyrandole rakiet oświetlających, z oddali biła do miasta ciężka artyleria niemiecka. Z pomroki morza, ponad miastem odpowiadały nieprzyjacielowi armaty naszych okrętów. Cybulko i Odincow zapatrzyli się na miasto, na połyskującą tęsknym, trupim blaskiem powierzchnię morza, ginącą w tajemnym, ciemnym świecie, gdzie wybuchały w tej chwili raz po raz błyski artylerii okrętowej.

Krasnosielski położył się na dnie okopu. Drzemał, i zranione jego ciało odpoczywało, ale przez świadomość jego płynął nieustannie łagodny strumień myśli i obrazów. Słuchał bitwy artyleryjskiej o Sebastopol, czuł osypujący się na niego od wstrząsów pył ziemny ze ścian okopu i uśmiechał się do swej dziewczyny w dalekiej wsi uralskiej: teraz tam cicho, ciepło i spokojnie, — niechaj śpi, a rankiem niech się budzi, niech żyje długo, do samej starości, niech będzie syta i szczęśliwa, — z nim, czy też z innym dobrym człowiekiem, jeśli on sam zginie tu przedwczesną śmiercią, ale lepiej niech będzie z nim, a inny dobry człowiek niech sobie znajdzie inną dobrą dziewczynę.

...A we wsi uralskiej umilkł już dawno śpiew samotnych dziewcząt, było tam już dobrze po północy, wkrótce już trzeba było wstawać do roboty w polu. Dziewczyna Iwana Krasnosielskiego spała także, i nie płakała teraz; twarz jej, piękna nie pięknością kobiecą, lecz jakimś wyrazem zdziwienia i niewinności, była teraz spokojna i jaśniała jedynie czułym, cichym szczęściem: śniło jej się, że skończyła się wojna, że pociągi z żołnierzami jadą z powrotem do domu, a ona by znieść czas czekania na Jasia, siedzi i szybko, szybko zeszywa z małych różnokolorowych skrawków piękną kołdrę.

...O północy przyszedł do okopu z blindaża kierownik polityczny Mikołaj Filczenko i marynarz Jerzy Parszin. Filczenko przyniósł rozkaz dowództwa: należy zająć pozycję na szosie Duwankojskiej, gdyż jest tam nasyp, stanowiący lepszą zaporę, niż to gołe zbocze wzgórza, i na tej pozycji utrzymać się trzeba, póki wróg nie sczeźnie. Prócz tego, zanim się rozwidni, trzeba sprawdzić broń, wymienić ją na inną, jeśli się nie nadaje lub źle funkcjonuje i odebrać zapasy.

Odchodząc przez piołunem porosłe pole, marynarze znaleźli ciało komisarza Polikarpowa i zabrali je, by uchronić je w ziemi przed splugawieniem przez wroga, przed zmiażdżeniem bezsilnych kości ludzkich przez pociski i czołgi. Jakże inaczej jeszcze dać można wyraz miłości dla poległego, milczącego towarzysza?

Kierownik polityczny Filczenko zlecił dowództwo oddziału Daniłowi Odincowowi i wrócił na tyły w stronę Sebastopola, na punkt zaopatrzenia, by stamtąd jak najprędzej dostarczono amunicji.

Rakiety oświetlające powoli, nieustannie spadały z nieba, a na ich miejscu wykwitały nowe. Zestrzeliwały je celnym ogniem nasze kaemy przeciwlotnicze, ale nieprzyjaciel na miejsce zgaszonych wciąż posyłał nowe, i blade smutne światło, podobne do światła widziadeł sennych, oświetlało bez przerwy miasto i jego okolicę — ląd i morze.

Na krańcu miasta, w bursie robotników budowlanych, wciąż jeszcze mieszkali jacyś cywile. Filczenko dostrzegł kobietę wieszającą bieliznę przy wejściu do budynku, i dwoje dzieci — chłopca i dziewczynkę — bawiących się na oświetlonym skrawku ziemi. Filczenko spojrzał na zegarek: była pierwsza w nocy. Dzieci najwidoczniej wyspały się za dnia, artyleria bowiem niewiele tego dnia pracowała na tym odcinku, a w nocy bawiły się normalnie.

„Moje dwie siostrzyczki też tak się teraz bawią gdzieś na Ukrainie", — pomyślał Filczenko i duszę szarpnął mu stary ból, tęsknota za zburzonym domem ojcowskim. — „Ale chyba teraz się już nie bawią".

Za nasypem szosy Duwankojskiej czterech marynarzy kopało grób dla komisarza Polikarpowa.

Odincow odrzucił łopatkę saperską i usiadł bezczynnie.

— Komisarz mówił, że jesteśmy dla niego wszystkim, że jesteśmy jego ojczyzną. I on dla nas był ojczyzną. Nie będę zakopywał go w ziemi.

— Trzebaż pochować człowieka, jutro przecież ogień rozrzuci go na strzępy, — mówił Odincowowi Cybulko. — Potem wykopiemy go z powrotem. Tymczasem go tylko chowamy, do zwycięstwa. Nie przystoi inaczej, Danił.

Ale Odincow nie chciał więcej pracować. Parszin i Cybulko odkopali niegłębokie łeże u podnóża nasypu i złożyli w nim Polikarpowa twarzą ku górze, ale nie przysypywali go ziemią. Chcieli, by był z nimi, by można było patrzeć na niego w ciężkiej chwili. Martwą, oderwaną lewą rękę złożyli marynarze przy piersi dowódcy, na wierzch zaś, jak broń, położyli prawą.

Odincow kazał Parszinowi i Cybulce spać do świtu. Krasnosielski spał już, chrapiąc przez sen, dysząc wonią suchych traw krymskich. Parszin i Cybulko położyli się w wygodnym rowie u nasady zbocza, porosłym miękką trawą, zwinęli się w kłębek jak dzieci i usnęli natychmiast.

Odincow czuwał teraz sam. Rzadka strzelanina artyleryjska zakłócała ciszę nocy; nad miastem jaśniało straszliwe, obnażające światło nieprzyjacielskie i do prawdziwej zorzy porannej było jeszcze daleko.

Od rana znowu zacznie się bitwa. Odincow czekał na nią z upragnieniem: chciał bronić dobrej sprawy narodu rosyjskiego niepokonaną siłą żołnierza. „Słuszność jest z nami" — rozmyślał marynarz nad śpiącymi towarzyszami. — Ciężko nam, dusza nas boli. A faszysta mętnie widzi życie: nie wie, czy istnieje ono naprawdę, czy tylko śni o nim we śnie, toteż żyje tylko dla własnej uciechy: to spije się do nieprzytomności, to dziewczynę jakąś okaleczy, to znowu wystrzeli we mnie. A nas uczono brać życie poważnie, przygotowywano nas do prawdy wiecznej, myśmy czytali Lenina. Prawda istnieje, spisana jest w naszej księdze i będzie istniała, choćby wszyscy wymarli. Ten blady ogień zaś nieprzyjacielski na niebie i cała moc faszystowska — to tylko nasz straszny sen. Wielu zginie w nim, nie ocknąwszy się, ale ludzkość się zbudzi, i znów wszyscy będą mieli chleb, ludzie będą czytali książki, będzie muzyka i spokojne słoneczne dni z obłokami na niebie, będą miasta i wsie, ludzie znów będą prości i dusza ich stanie się pełna".

Odincow stał sam na zboczu szosy i patrzył przed siebie, w mrok osłaniający nieprzyjaciela.

Potem, w świadomości Odincowa pojawiać się poczęły fantazje — owe namiastki ludzkiego szczęścia, i ogrzewały jego duszę. Widział swoje życie po wojnie: skończy szkołę muzyczną przy filharmonii, w której się uczył przed wojną, i zostanie muzykiem. Będzie pianistą, i jeśli potrafi, sam zacznie układać nową muzykę, w której zabrzmi wstrząśnięte przez wojnę i śmierć serce ludzkie, i która odzwierciedli nowe wspaniałe życie.

Odincow spojrzał na towarzyszy: śpią Cybulko i Parszin, śpi Krasnosielski, ranny na wylot w pierś; na wieki zasnął komisarz. Źle im spać na twardej ziemi, nie do takiego życia urodziły ich matki i wykarmił naród, nie po to, by odrywano kości od żywego ciała ich dzieci. Odincow westchnął: wiele jeszcze będzie pracy po wojnie, po naszym zwycięstwie, jeśli chcemy, by świat stał się piękny i wzniosły, jeśli nie chcemy, by serce żołnierza, rozdarte mieczem wojny, obróciło się w proch zapomniany...

O świcie przyjechał maszyną Filczenko i komisarz Łukianow: przywieźli amunicję, broń i żywność.

Łukianow obejrzał pozycję i zabrał do miasta zwłoki Polikarpowa, obiecując, że rankiem przyjedzie znowu. Filczenko kazał Odincowowi położyć się i odpocząć.

Odincow położył się w rowie, obok rozespanego chrapiącego Krasnosielskiego, ulokował się wygodnie i zasnął.

Filczenko patrzył na towarzyszy. Spali porozkładani, ostatnim mocnym snem przed przebudzeniem. Wszyscy mieli odsłonięte twarze, i Filczenko wpatrywał się w każdą z nich z oddzielna, bowiem ci ludzie byli dlań na wojnie wszystkim, czego człowiekowi potrzeba i czego jest pozbawiony: zastępowali mu ojca i matkę, braci i siostry, towarzyszkę życia i ulubioną książkę, byli dlań miniaturą całego narodu radzieckiego, pochłaniali całą złaknioną przywiązania siłę jego ducha.

Z otwartymi ustami, jak dziecko oddychał przez sen Wasyl Cybulko. Był traktorzystą z obwodu dniepropietrowskiego, brał już udział w kilku bitwach i poruszał się swobodnie w ogniu walki. Ale po walce, lub w czasie spokojnych przerw, kiedy bitwa przycichała na chwilę, Cybulko bywał ponury, a raz nawet płakał. „Co ci jest, boisz się?" — spytał go wtedy Filczenko. „Nie, towarzyszu kierowniku, nijak się nie boję, — odpowiedział Cybulko. — Tylko poczułem teraz, że matka mnie kocha i myśli o mnie; boi się, że ja tu pomrę, i od tego zrobiło mi się smutno".

Cybulko wszystko lubił rozważyć własną osobliwą głową. Świat odczuwał jak wspaniałą tajemnicę, i był wdzięczny i szczęśliwy, że urodził się tu właśnie, na tej ziemi, jak gdyby ktokolwiek władny był kazać mu istnieć na tym lub na innym miejscu.

Filczenko przypomniał sobie, jak cztery dni temu leżeli razem w jakimś wapnistym dole. Trzy czołgi niemieckie sunęły na ich oddział. Cybulko wsłuchał się w warkot maszyn i chwytał uchem rytmiczną pracę silników. „Mikołaj! — powiedział wtedy. — Słyszysz, jak Diesle dyszą ciężko i równo? Oto gdzie potęga i kompresja!" Wasyl Cybulko rozkoszował się, słuchając potężnej pracy silników. Rozumiał, że choć faszyści jadą na tych maszynach, by go zabić, maszyny są tu niewinne: stworzył je wolny geniusz myśli i pracy, a nie ci mordercy pracującego człowieka, którzy oto na nich jadą. Niepomny niebezpieczeństwa, Cybulko wychylił się z wapiennej jaskini, chcąc własnym okiem obejrzeć maszyny; miał bratni stosunek do wszystkich maszyn, gdziekolwiek istnieją na świecie, wierząc głęboko, że wszystkie one są z nami, z klasą robotniczą, bowiem klasa robotnicza jest ojcem wszystkich maszyn i mechanizmów.

Teraz Cybulko spał; ufne jego oczy, wpatrujące się w świat z podziwem i dobrocią, były w tej chwili zamknięte: ciemne włosy pod pilotką skleił dawny pot, a wychudła jego twarz nie miała już wyrazu szczęśliwej młodości — policzki miał zapadnięte, a usta zaciśnięte w nieustannym naprężeniu.

— Żyj, Wasiu, do późnej starości, — westchnął Filczenko.

Iwan Krasnosielski, zanim został marynarzem, pracował przy spławianiu drzewa na Uralu. Był robotnikiem na promie. Walczył sprawnie i po gospodarsku, jakby spełniał ciężką, lecz niezbędną i pożyteczną pracę. W przerwach między bitwami i w czasie wypoczynku był milczący i nie zadzierzgał z towarzyszami szczególnej przyjaźni.

Filczenko domyślał się, dlaczego Krasnosielskiemu nie potrzeba takiej przyjaźni. Wiązała go z życiem inna, nie mniej potężna siła — strzegła go miłość do swej dziewczyny, do dziewczyny mieszkającej daleko stąd na Uralu, do dziwnej, cichej istoty, która serce marynarza poiła męstwem i spokojem. Filczenko dawno, jeszcze przed wojną zauważył, że Krasnosielski, kiedy był na lądzie, nie bawił się nigdy w Sebastopolu z dziewczętami, rzadko i mało pijał, nie oddawał się swawolom młodości — nie dlatego, by był do tego niezdolny, lecz dlatego, że nie znajdował w tym rozrywki ani uciechy i nudził się zazwyczaj przy takich zabawach. Żył szczęściem swojej miłości. I walczył ze wściekłością i niemniejszą zaciekłością dlatego widocznie, że chciał swym czynem wojennym przyspieszyć dzień zwycięstwa, by zacząć potem inne zgoła czyny — czyny miłości i życia w spokoju.

Krasnosielski był człowiekiem wysokiego wzrostu, ręce miał pracowite i wielkie, ciało muskularne i pełne widocznej siły fizycznej: taki człowiek mógłby panoszyć się w życiu, ale on był łagodny i cierpliwy: jedna tylko czuła a niewidzialna siła kierowała tą potężną istotą i wytyczała mu drogę ze szlachetną dokładnością.

Filczenko zamyślił się, patrząc na Krasnosielskiego: wielkie i ciekawe jest życie, nie trzeba umierać.

Jurek Parszin był cztery razy ranny, dwa razy ciężko, i nie umarł. Był człowiekiem przeciętnej siły, wesołym i żywym i pozwoliłby się zabić dopiero po śmierci ostatniego gada na świecie. Parszin znał i kochał wiele dziewcząt sebastopolskich i one kochały go na wzajem i nie były o siebie zazdrosne, co było rzeczą dla kobiet niezwykłą. Jednakże tajemnica powabu Jurka Parszina była prosta, a zrozumienie jej wzmagało jeszcze sympatię, jaką budził. Polegała ona na szczodrej dobrotliwości jego duszy, na bezlitosnym stosunku do samego siebie, gdy chodziło o pierwszego lepszego miłego mu człowieka, i na nieustannej wesołości, z jaką zawsze rozsiewał dary swego życia. Mógł wziąć na siebie winę towarzysza i odbyć za niego karę.

Widząc w Parszinie jego duszę, ludzie jak gdyby słabli wobec niego, — wobec tak otwartego i hojnego źródła życia, jasnego i nie słabnącego w swej sile promieniowania, i opuszczały ich zwykłe namiętności i przywary: zapominali o zazdrości miłosnej, bo serce i ciało poczynało się wstydzić skąpstwa, gardzili wyrachowanym rozumowaniem, i nowe, lekkie uczucie istnienia rodziło się w ludziach, jak gdyby dotykała ich i pociągała za sobą jakaś siła wyższa i prosta.

Na wojnie Parszin czuł się swobodnie i nie znał obawy śmierci. Serce pełne było żywotności, i to uczucie stanowiło dlań niby ogień zaporowy wobec doznania niebezpieczeństwa. Śmierć nie mogła się pomieścić w jego pełnym, kipiącym własnym szczęściem istnieniu.

Cztery razy był ranny, i cztery razy powracał do życia. To przekonało Parszina, że niewątpliwie wyjdzie cały z wojny i będzie widział nasze zwycięstwo. Miał jeszcze jedno marzenie: własnymi rękoma zewrzeć się w walce z ostatnim gadem na świecie. Sądził, że ostatnim gadem jest Hitler, a ponieważ Hitler posiada stopień wojskowy frajtra, Parszin zaś, zanim wojna się skończy, zdąży także dosłużyć się stopnia frajtra lub kaprala, będzie to walka dwu frajtrów. Tak marzył sobie Parszin.

Filczenko patrzył teraz na skurczonego z chłodu i uśmiechającego się do jakiegoś niewiadomego snu Parszina.

— Szkoda was wszystkich, do licha! — powiedział głośno. — Cóż? Jeśli my zginiemy, przyjdą na świat inni ludzie, i nie będą od nas gorsi. Byleby istniała ojczyzna, ojczyste miejsce, gdzie mogą rodzić się ludzie...

Ojczyzna była dla Filczenki niby pole, na którym rosną ludzie podobni do różnobarwnych kwiatów, i nie ma dwu śród

nich, którzy byliby całkiem tacy sami, dlatego śmierć była dlań niepojęta, nie mógł się z nią pogodzić. Śmierć niszczy zawsze to, co istnieje raz tylko, czego nie było dotąd nigdy, i co na wieki się już nie powtórzy. Żal po człowieku, który zginął, jest nieukojony. Dlatego właśnie stał tutaj, — by powstrzymać śmierć, by ludzie nie zaznali nieukojonego żalu. Ale nie wiedział jeszcze, nie doświadczył, jak samemu powitać trzeba i przeżyć śmierć, jak trzeba umierać, by sama śmierć opadła z sił w spotkaniu z człowiekiem...

Filczenko obejrzał się dookoła. W kierunku pozycji na nasypie zdążało jakieś auto. Gdzieś w oddali gruchnęła salwa nieprzyjacielskiej baterji; odpowiedziano jej z Sebastopola. Rozpoczynał się dzień roboczy wojny. Słońce oświetliło szczyty wzgórz; łagodne światło powoli rozpływało się po trawie, po krzakach, po mieście i morzu, aby wszystko żyć mogło dalej. Trzeba było budzić ludzi.

Marynarze powstawali z ziemi, postękując, sapiąc i mrucząc rozmaite słowa i poczęli otrzepywać kurz i źdźbła trawy z mundurów.

— Podzielić między siebie broń i amunicję! — rzucił rozkaz Filczenko.

Marynarze podzielili między siebie broń i ekwipunek dostarczony w nocy, — karabiny, naboje, granaty, butelki z płynem zapalającym — i przyrychtowali je.

Starszy komisarz batalionu Łukianow podjechał do nich autem. Marynarze stanęli na baczność.

— Dzień dobry, towarzysze! — przywitał ich komisarz.

Marynarze odpowiedzieli. Łukianow popatrzył w ich twarze i milczał chwilę...

— Posiłki przyjdą później, — powiedział. — Przybyły nocą i teraz ekwipują się. Jesteście teraz czołowymi oddziałami straży przedniej. Za wami jest linia naszej piechoty. Spodziewany jest atak czołgowy nieprzyjaciela. Dacie sobie z nim radę, towarzysze? Nie puścicie wroga do Sebastopola?

— Jakoś tam już będzie, towarzyszu komisarzu! — odpowiedział Parszin.

Komisarz popatrzył surowo na Parszina, dostrzegł jednak, że w żartobliwym spojrzeniu marynarza kryje się poważna decyzja.

— Trzeba powstrzymać i zmiażdżyć wroga! — rzekł komisarz, — Za wami jest Sebastopol, a przed wami — cała nasza wielka, wieczna ojczyzna. Wróg, jak robak przebrzydły, wdziera się w głąb naszej ziemi, bez której nie ma dla nas życia; więc tu rozniesie go nasz ogień! Będziemy walczyli, jak Rosjanie bili

się od wieków — do ostatniego człowieka, a ostatni człowiek do ostatniej kropli krwi i ostatniego tchu.

Komisarz porozmawiał jeszcze na osobności z Filczenką, zakomunikował mu niezbędne informacje i instrukcje dowództwa, po czym polecił marynarzom, by dobrze i na długo podjedli.

— Jedzenie to potężna broń żołnierza! — powiedział komisarz Łukianow na pożegnanie i odjechał, zabierając dwa stare karabiny, które zastąpiono nowymi.

Marynarze zabrali się do pszennego chleba, kiełbasy i konserw.

— Po takim żarciu dobrze jest ziemię orać, — wypowiedział swój pogląd Cybulko. — Ugór można zaorać z łatwością, nie zmorduje się nawet człowiek.

— Barszcz by się przydał, — powiedział Odincow, — i gorące mięsiwo.

— Nie zawadziłoby teraz podgazować trochę duszę, wypić kieliszeczek, — poskarżył się Parszin.

— Obejdzie się, nie na wesele się wybierasz, — osadził Parszina Krasnosielski.

— Widzisz go! — zaśmiał się Parszin. — O mnie się troszczy... No, niech będzie, alkohol dostał bezterminowy urlop. Po wojnie, na twoim, Jasiu, weselu będziemy się bawili i wtedy łyknę sobie z butelki.

— U nas na Uralu nie piją kieliszkami ani z butelki, — wyjaśnił Krasnosielski, — u nas się je gruntownie.

— Przenoszę się na Ural, — zgodził się od razu Parszin.

Po śniadaniu Mikołaj Filczenko powiedział swym kolegom:

— Towarzysze! Zwiad nasz wyjawił dowództwu zamiary wroga. Dziś Niemcy pójdą do szturmu na Sebastopol. Dziś dowieść musimy, że znamy sens naszego życia, dziś pokażemy nieprzyjacielowi, że jesteśmy wielcy duchem, że wielkość naszą czerpiemy z Lenina i Stalina, a nasi wrogowie — to tylko puste skóry ludzkie, wypchane strachem przed tyranem Hitlerem. Zmiażdżymy ich, zdławimy tyrańskie nasienie! — zawołał jakby w natchnieniu, promieniejący siłą Mikołaj Filczenko.

— Rozkaz, zdławić tyrana! — krzyknął Parszin.

Filczenko począł nasłuchiwać.

— Przygotować się! — zawołał. — Na miejsca!

Piechurzy morscy zajęli stanowiska wzdłuż zbocza szosy, w okopach i rowach wykopanych przez oddział, który był tu uprzednio.

Po drugiej stronie szosy, na polu piołunowym i na zboczu wzgórza, na którym gnieździli się Niemcy, w tej chwili było pusto. Ale skądś, z daleka, dobiegał równy, ledwie dosłyszalny

szelest, jak gdyby tysiące dzieci stąpało po piasku drobnymi nóżkami.

— Mikołaju, co to takiego? — spytał Filczenkę Cybulko. — Nową jakąś zarazę widać faszyści wymyślili...

— Zobaczymy, — odpowiedział Filczenko. — Jakaś sztuczka widocznie, liczą na zastraszenie lub podstęp, ale nie mogą myśleć na serio...

Szelest zbliżał się.

Na zboczach nieprzyjacielskiego wzgórza, mniej więcej w połowie odległości od podnóża do szczytu, po prawej i lewej stronie ukazały się kłęby kurzu. Coś sunęło w tym kierunku z tamtej strony pagórka.

Marynarze, stojąc w wykopanym rowie ziemnym, zastygli i patrzyli poprzez krawędź zbocza na drugą stronę szosy.

Parszin roześmiał się.

— To owce, — powiedział... — To stado owiec przedarło się z okrążenia i idzie do nas.

— To owce, ale idą do nas nie na próżno, — rzekł Filczenko.

— Nie na próżno: będziemy wcinać gorący szaszłyk, — powiedział Odincow.

— Cicho! — rzucił rozkaz dowódca. — Uwaga! Towarzyszu Cybulko, — do kaemu!

— Rozkaz, do kaemu, towarzyszu kierowniku, — odezwał się Cybulko.

— Wszyscy wziąć karabiny!

— Rozkaz, wziąć karabiny! — zawołali marynarze.

Owce dwoma strumieniami opływały wzgórze i poczęły schodzić w dół, łącząc się na polu w jeden strumień. Stado ciągnęło wprost na szosę Duwankojską. Słychać już było wystraszone pobekiwanie owiec: coś je niepokoiło i spieszyły się, drobiąc cienkimi nóżkami.

Jedna owca zatrzymała się nagle i obejrzała się za siebie; nabiegły na nią inne, powstał tłok i z ciżby owiec ukazał się człowiek w szarozielonym płaszczu i zamachnął się karabinem na zwierzęta.

— „To mądra owca!" — pomyślał Filczenko o tej, która się zatrzymała, i postanowił działać.

— Cybulko, z kaemu do gadów pośród stada.

— Widzę, — odkrzyknął Cybulko.

Teraz Filczenko zobaczył jeszcze sześciu skulonych Niemców, biegnących w ciżbie stada owiec.

— Cybulko! — krzyknął Filczenko. — Owiec na próżno nie strzelaj, to zarodowe. Ognia!

Karabin maszynowy zaterkotał. Strumień kul zagwizdał w powietrzu. Dwaj Niemcy padli od razu, a biegnące z tyłu owce z pełnym spokoju wdziękiem przeskoczyły przez ich trupy.

Stado zbliżyło się niemal zupełnie do przeciwległego zbocza nasypu. Teraz Niemców można było łatwo odróżnić wśród zbitej masy stada. Było ich około pięćdziesięciu. Niektórzy nie zatrzymując się walili z automatów w nasyp szosy, inni parli naprzód w milczeniu.

Filczenko kazał Krasnosielskiemu zająć drugie miejsce przy kaemie, a sam wraz z Parszinem i Odincowem rozpoczął celny ogień karabinowy do fizylierów niemieckich.

Maszynka Cybulki pracowała zaciekle i skutecznie, jak serce i mózg jej kierownika. Połowa wrogów już poległa, ale ze dwudziestu, a może i więcej Niemców ustrzegło się jeszcze, zdążyli dobiec do przeciwległego zbocza nasypu i tam przywarli do ziemi. Teraz już nie podobna było ich dosięgnąć z kaemu lub z karabinu. Na domiar zbiegły się jeszcze owce, skaczące teraz wprost po głowach marynarzy, drżące i pobekujące żałośnie, jak dzieci.

— Cybulko! — krzyknął Filczenko. — Drogą naprzód, przez szosę. Ognia do owiec!

Cybulko począł kosić owce, które przez nasyp przedostały się na głowy oddziału. Biegnące na przedzie padły, a te, które szły za nimi, rzuciły się na boki, by wyminąć ludzi.

— Wszyscy za granaty! — krzyknął Filczenko. — Naprzód!

Skoczył przez szosę i cisnął granat w Niemców. Nad nimi przeskakiwały jeszcze wystraszone, siejące groszek owce i wzniecały tumany kurzu, a Niemcy siekli je szablami, by się uwolnić od tej zbędnej już teraz osłony.

Marynarze sprawnie uwinęli się z granatami: krew i kości owiec zmieszali z krwią i kośćmi swych wrogów.

Wrócili na swą pozycję.

— No i co? — spytał Cybulko Filczenkę.

— Drobiazg, — powiedział kierownik polityczny. — Głównie biliśmy się z owcami.

— Co to za bitwa! — westchnął Parszin. — To nic nie znaczy.

— Popalcie trochę — zezwolił Filczenko.

Krasnosielski ściągnął z nasypu w jedno miejsce zabite owce, by w nocy można je było zawieźć do miasta dla ludzi.

Zza wzgórza walić poczęła w szosę i w pozycję przebiegającą za marynarzami artyleria nieprzyjacielska. Armaty biły bez pośpiechu niezbyt gęsto, ale drążyły uparcie, nie tyle dławiąc, ile zmacując linie obrony radzieckiej.

Komisarz Łukianow krótkimi skokami przyprowadził rezerwę — około pół kompanii piechoty morskiej — i rozmieścił ją na skrzydłach, inicjatywę na tym odcinku pozostawiając Filczence.

Łukianow wysłuchał raportu Filczenki o krótkiej bitwie z Niemcami wśród stada owiec i wyciągnął wniosek:

— Cóż chcecie, to był zwiad bojowy. Bitwa będzie później.

Komisarz odszedł. Wkrótce artyleria niemiecka przeszła do bojowego, huraganowego ognia.

— Spustoszenie robią przed sobą, — zorientował się Filczenko. — To znaczy, że niedługo ruszą czołgi.

Odprowadził swój oddział do blindażu, pokrytego zaledwie jedną warstwą cienkich bierwion, tu jednak było w każdym razie spokojnie. Sam Filczenko pozostał przy wejściu do blindażu, by spoglądać przez nasyp i obserwować nadejście czołgów.

Ogień artylerii nie słabł. Ciemny kadłub pierwszego czołgu ukazał się na polu; za nim pod osłoną ognia artyleryjskiego sunęły dalsze maszyny.

Filczenko wskoczył do blindażu przed bliskim wybuchem, który zasypał go czarnym pyłem i ziemią. „Trzeba się strzec, — pomyślał. — Artyleria zaraz umilknie".

Kiedy armaty ucichły, Filczenko wyprowadził oddział na pozycję. Czołgi zbliżały się do nasypu; było ich narazie siedem — bez mała po półtorej maszyny na jednego.

— Wasia! — zawołał Filczenko w stronę Cybulki. — Z kaemu do wizjerów pierwszej maszyny. Krasnosielski, Parszin — butelki i granaty. Do roboty! Ognia!

Cybulko dał pierwszą serję, po niej drugą, ale czołg wciąż sunął na marynarzy. Parszin i Krasnosielski przeczołgali się przez nasyp na drugą stronę szosy.

— Kaemowiec, celniejszy ogień! — zawołał Filczenko.

Cybulko przypadł do kaemu, namacał cel strumieniem kul i wpił się ołowiem w wizjer maszyny. Czołg zawirował na jednej gąsienicy i zastygł na miejsu: posłuszny był śmiertelnym drganiom swego kierowcy. Obok czołgu ukazał się na chwilę Krasnosielski i cisnął weń butelkę. Smolisty kłąb czarnego dymu wzbił się z kadłuba maszyny, potem w głębi dymu ukazał się żywy ogień i rozgorzał wysokim, gorącym płomieniem.

Cybulko walił już z kaemu do innych czołgów. Napjpierw dawał krótkie, macające serje, potem wpijał się śmiertelnie w cel długą jadowitą serią. Krasnosielski i Jurek Parszin działali za nasypem szosy. Czaili się w lejach, za grudami zrytej

ziemi, za ciałami zabitych owiec, podrywali się na chwilę i ciskali butelki i granaty w wyjące maszyny.

Filczenko i Odincow oczekiwali swej kolei za nasypem. Najpierw gęsty dym, potem jaskrawe płomienie ukazały się nad dwoma dalszymi czołgami. Pozostały jeszcze cztery. Ale wszystkie cztery zatrzymały się i rozstąpiły, ukazując biegnącą za nimi piechotę.

— Teraz! — zawołał Filczenko. — Wasia! Do ludzi — ognia!

Cybulko wpił strumień ognia w piechotę nieprzyjacielską, która natychmiast przywarła do ziemi.

Filczenko i Odincow przeskoczyli przez nasyp. Ale Krasnosielski i Parszin wyprzedzili ich, podpełzali już na brzuchach do leżącej piechoty nieprzyjacielskiej i unosząc się zlekka, cisnęli pierwsze granaty.

Cztery ocalałe czołgi poczęły się wycofywać w milczeniu, nie rozpoczynały ognia, by nie razić własnych żołnierzy.

Filczenko i Odincow nie zatrzymując się, zarzucili granatami ciemną masę piechoty. Kaem Cybulki nie pozwalał nieprzyjacielowi wstać: ilekroć któryś się podniósł, Cybulko kosił go celnym ogniem; jeśli zaczynali się poruszać lub pełzać, przechodził na „cerowanie", to znaczy skierowywał ogień pod kątem w ziemię, przez ciała nieprzyjacielskie. Ale zadanie kaemowca było trudne: trzeba było uważać, by nie trafić swoich, znajdujących się w pobliżu nieprzyjaciela.

Niemcy wszakże też coś kombinowali. Ze trzydziestu ich nagle poderwało się z ziemi i poczęli biec za czołgami. Filczenko i Odincow cisnęli za nimi granaty, dorzucili jeszcze z karabinów i około tuzina ich padło na ziemię. Cybulko dał ostatnią długą serię do biegnących i wyłuskał jeszcze siedmiu.

Marynarze powrócili na pozycję przy nasypie szosy, bliską już i znajomą, jak własne mieszkanie. Powrócili zmęczeni, jak po ciężkiej pracy, i natychmiast zapadli w drzemkę, korzystając z chwili ciszy w powietrzu i na ziemi. Na stanowisku pozostał tylko Filczenko.

Po upływie pół godziny przeleciały nisko nad polem i drogą szturmowce niemieckie. Ostrzeliwały one z kaemów i zarazem bombardowały i tak już zrytą ziemię.

Kiedy samoloty przeleciały, nastała znowu cisza. I w tej ciszy ktoś zawołał Filczenkę po imieniu.

Wzdłuż nasypu biegł kucharz okrętowy Rubcow. Z wysiłkiem niósł w prawym ręku wielkie naczynie pomalowane na kolor ochronny; był to polowy termos angielski.

— A ja przyniosłem jedzenie — spokojnie i z taktem powiedział kucharz. — Pozwólcie poczęstować żołnierzy, towarzyszu dowódco.

— Pozwalam, — głosem znaczącym rzekł Filczenko.

— Dziękuję, — skłonił się kucharz. — Gdzie każecie nakryć stół pod gorący szaszłyk z ognia? Mięso dostarczone jest przez was.

— Kiedyś ty zdążył szaszłyk ugotować? — zdziwił się Filczenko.

— Mam wprawne ręce, towarzyszu dowódco, i jakoś zdążyłem! — wyjaśnił kucharz. — A wy tu też nadążacie z dostawą baraniny.

Rubcow wyszukał równe miejsce przy samym nasypie, rozłożył czysty obrus, wyłożył nań narzędzia, ustawił talerze — wszystko to znajdowało się w specjalnej skrzynce przy termosie, — następnie zaś wyciągnął z termosu aluminiowe naczynie, parujące i roznoszące zapach mięsiwa.

Marynarze, którzy drzemali podczas bombardowania, teraz na woń mięsa przebudzili się i wyszli z okopów.

— Cóż ty tu za kawiarnię na wojnie urządzasz? — spytał surowo Filczenko.

— Kawiarnia przyda się na froncie, towarzyszu dowódco — tłumaczył się kucharz Rubcow, — a zwycięstwu nie przeszkodzi bynajmniej.

Marynarze przyjrzeli się uważnie kawiarni polowej Rubcowa, potem wszyscy razem popatrzyli na kucharza i roześmieli się na całe swe młode gardła.

— Jak tu będziesz biegał, kucharzu, po linii czołowej, dostaniesz od nich po głowie! — uprzedzał Rubcowa Parszin.

— Nie, ja mam nosa, będę żył, — odrzucił taką hipotezę kucharz.

Oddział Filczenki rozsiadł się na trawie wokół obrusa, a kucharzowi kazano stanąć na warcie i patrzeć naprzód w kierunku nieprzyjaciela.

Najadłszy się, marynarze uznali, że kucharz Rubcow „potrafi"... Termin ten w ich przyjacielskim języku oznaczał najwyższą pochwalę czyjejś czynności; obecnie ocenili w ten sposób szaszłykowe zabiegi kucharza.

— A ty potrafisz! — krzyknął Rubcowowi Parszin.

— Wiadomo. Ja przecież jestem człowiek twórczy — odpowiedział obojętnie kucharz.

Po obiedzie marynarze stanęli w ordynku. Filczenko rzucił komendę: „Baczność! Równaj do kucharza!" Był to spokojny wyraz uznania za szaszłyk i kucharz wrócił na tyły, całkowicie

zadowolony ze swego bohaterskiego wyczynu w celu nakarmienia żołnierzy.

Marynarze zostali sami. Południe już minęło. Filczenko postawił na warcie Odincowa, pozostałym zaś kazał odpocząć. Żołnierze położyli się na zewnętrznej stronie zbocza, by ogrzać się nieco na wiosennym słońcu.

— Widzę czołgi! — odezwał się Odincow z nasypu.

— Na miejsca! — skomenderował Filczenko. — Przywitać czołgi ogniem!

Wyszedł na pozycję i począł cierpliwie liczyć czołgi, ukazujące się zza wzgórza. Okazało się, że jest ich piętnaście. Po trzy maszyny na żołnierza — przedtem było po półtorej. Niemcy podwoili więc porcję.

I natychmiast rozpoczął się szybki ogień artyleryjski. Niemcy strzelali teraz szybkim ogniem, chcąc odciągnąć uwagę Rosjan: chcieli skuć ich siły na szerokim froncie, a potem nagłym pchnięciem czołgów w jedno miejsce przełamać obronę.

— Szanują nas, — powiedział Cybulko, przeliczywszy maszyny. — Patrzajcie, ile ich wystawili przeciwko mnie jednemu: piętnaście, dzielone przez pięć, mnożone przez tysiąc koni parowych. Jestem zadowolony.

Odincow zamyślił się. Warkot zbliżających się czołgów, ogień artyleryjski, niespokojne, hałaśliwe i jakby umyślne natręctwo nieprzyjaciela — wszystko to wydało mu się nieco niepoważne, wszystko to — choć groziło niebezpieczeństwem — podobne było raczej do czynów człowieka, który naciera ze strachu, w złości i zamęcie szukając ratunku przed zgubą.

Potężne czołgi ciągnęły na wprost; być może, Niemcy chcieli obecnie wydostać się na szosę Duwankojską i szosą przeć od razu na Sebastopol.

Cybulko poprzez zgrzyt gąsienic i chrzęst pudeł stalowych wsłuchiwał się w gęsty, melodyjny oddech silników i powiedział do siebie: „Ech, i wszystko to na mnie! Witam pana, inżynierze Rudolfie Diesel. Nie mam do pana żalu, cenię pana za wielki wynalazek silnika. Jestem Cybulko, zwykły marynarz..."

— Towarzysze, — odezwał się Filczenko; jakkolwiek mówił cicho, a dokoła panował hałas, wszyscy go jednak słyszeli. — Towarzysze! Chcę wam powiedzieć, że będzie nam ciężko. Chcę powiedzieć, że nie wolno nam odejść. Mówię wam, przyjaciele, — czuję teraz to samo co wy, bo rozumiecie mnie dobrze... Rozkazuję wam stać na tej ziemi i nie umierać, bić się długo, dopóki nie pogruchoczemy tu maszyn i kości wrogowi.

Cybulko podszedł do Filczenki i pocałował go. I wszyscy

ucałowali się wzajemnie i ku wieczystej pamięci popatrzyli sobie na wzajem w oczy.

Każdy z marynarzy ze spokojem i zadowoleniem w sercu spojrzał po sobie, przygotował się do walki i zajął swe miejsce. Było im teraz dobrze i spokojnie na duszy; błogosławili się na wzajem na najogromniejszą, najbardziej niezbadaną i straszliwą rzecz w życiu, na to, co je niszczy i tworzy — na śmierć i zwycięstwo. I opuścił ich strach, bowiem odpowiedzialność wobec towarzyszy, solidarność z tymi, którym sądzony był taki sam los, przezwyciężała strach. W ciała ich wstąpiła siła, poczuli się zdolni do wielkiego dzieła i zrozumieli, że nie po to przyszli na świat, by zmarnować, roztrwonić swe życie w próżnym poszukiwaniu rozkoszy, lecz po to, by oddać na powrót to życie prawdzie, ziemi i narodowi. Patrzyli na sunące na nich czołgi i pragnęli, by maszyny szły prędzej: tylko śmiertelna bitwa mogła ich teraz zadowolić.

Zza czołgów na skrzydła oddziału Filczenki wyłonili się fizylierzy; marynarze przywitali ich ogniem — zarówno ludzie Filczenki jak owe pół kompanji, które przyprowadził komisarz Łukianow. Tak więc skrzydła Filczenki miały własne kłopoty, nie podobna było liczyć na ich pomoc. Zresztą skrzydła owe, i prawe i lewe, liczyły zaledwie po trzydziestu żołnierzy, a nieprzyjaciel nacierał na każde skrzydło siłami około pół batalionu.

Na skrzydłach rozgorzała zażarta bitwa między strzelcami obu stron, w centrum jednak Filczenko kazał zaprzestać ognia, by nie zdradzać swych słabych sił.

Bitwę marynarzy z czołgami rozpocząć miał Wasyl Cybulko. Filczenko kazał mu odczekać, póki maszyny nie zbliżą się na odległość stu metrów.

Czołg prowadzący, zbliżając się do nasypu szosy, wyrwał się skokiem naprzód i wszystkie inne pozostałe za nim zwiększyły szybkość.

I wtedy Cybulko rozpoczął bitwę. Dawno już przygotował karabin maszynowy i wodził celownikiem za ruchami czołgu. Wprawna jego dłoń i czujne serce działały precyzyjnie: od razu pierwsza seria kul trafiła w czołową maszynę, czołg skręcił w bok i w pełnym biegu nagle zarył się w miejscu w ręku zabitego kierowcy. Drugi czołg jednak z odważną zajadłością wdarł się na nasyp szosy i niemal najechał na oddział Filczenki. Wyprzedzając błyskawicznie własną myśl, Cybulko uniósł się, i z rozmachu całego ciała rzucił pod ten czołg wiązkę granatów.

Całą grupę żołnierzy ogłuszył bliski wybuch i zwaliła z nóg

fala powietrzna. Czołg zastygł na miejscu, a potem powoli, siłą własnego ciężaru spełzł po przeciwległym zboczu, na którym połową kadłuba utrzymywał jeszcze równowagę. Cybulko wstał i uderzył lewą ręką o kamień, by uśmierzyć w niej ból, ale ból nie minął i męczył żołnierza; z rozdartych mięśni płynęła gęsta, zdrowa krew.

Dwa czołgi ukazały się nagle na szosie. Cybulko zapomniał o tym, że ma ranioną rękę i kazał jej działać jak zdrowej. Przypadł znowu do kaemu i bił z niego bezpośrednim obstrzałem do maszyn, starając się trafić w wąskie szczeliny w pancerzu. Ale karabin maszynowy umilkł — nie było go już czym karmić: zużył ostatnią taśmę. Wówczas Cybulko skoczył sam do najbliższego czołgu i pod jego gąsienicę, ryjącą ziemię w biegu, rzucił wiązkę granatów. Rozległ się ostry trzask wybuchu — ogień strzaskał stal i zdruzgotany czołg stanął.

Cybulko nie słyszał serii kaemowej z tego czołgu, teraz jednak poczuł, że cały jest pokryty ranami. Czuł, jak topnieje i uchodzi zeń życie, chłód i pustka ogarniały jego serce. Położył się na grudach ziemi i skurczył się jak w dzieciństwie pod matczyną kołdrą, by się ogrzać.

Iwan Krasnosielski nie puścił drugiego czołgu na Sebastopol; przeciął mu drogę i rzucił weń jedną po drugiej trzy butelki z zapalającym płynem. Czołg zapłonął i uszedłszy jeszcze parę metrów, zatrzymał się i dopalał. Krasnosielski zwrócił się do towarzyszy; jeszcze cztery czołgi wyrwały się naprzód, waląc w biegu z armat i kaemów. Odincow i Parszin, leżąc, pełzali w martwej strefie obstrzału. Parszin z ziemi cisnął w czołg butelkę, żrący płyn rozlał się po pancerzu i wybuchnął płomieniem. Pocisk przeleciał z wyciem nad głową Krasnosielskiego. Żołnierz wpadł we wściekłość na myśl, że faszysta może go zabić i zawołał na maszynę straszliwym głosem, niepomny, że nikt go tam nie usłyszy, potem silnie i celnie rzucił butelkę w ciężki kadłub maszyny i ucieszył się na błysk płomienia. Pozostała Krasnosielskiemu jeszcze jedna butelka z płynem; skoczył do leja. Wymijając płonący czołg, druga maszyna nieprzyjacielska ciągnęła wprost na niego.

Tnąc przestrzeń ogniem, niski, zaciekły, potężny czołg rwał naprzód. „Stój, ścierwo!" — zawołał Krasnosielski i rzucił swą mizerną butelkę w chrzęszczącą stal. Maszyna stanęła w ogniu; górny luk czołgu uchylił się i wynurzyła się zeń niejasna twarz wroga. Krasnosielski podniósł karabin do strzału, ale wróg uprzedził go szybkostrzelnym pistoletem i Iwan Krasnosielski padł na ziemię z sercem, przeszytym ołowiem. Umierając, patrzył w niebo i myślał z żalem, że jego dziewczyna będzie osierocona, bo nikt nie będzie jej kochał tak, jak on ją kochał. Zamknął oczy, pełne żywych łez, i więcej ich już nie otworzył.

Parszin zaatakował butelką następny czołg, który zdążał szosą bezpośrednio na Sebastopol. Ale płomień nie objął maszyny i czołg szedł dalej, zdmuchując z siebie szybkością dym i ogień. Wówczas Parszin pobiegł za nim z granatem, ale Filczenko i Odincow zabiegli maszynie drogę przed Parszinem, wyrżnęli granatami w skrzynkę biegów, tak że czołg bryznął odłamkami metalu i zawirowawszy w miejscu, zmartwiał. Parszin jednak nie mógł się już opanować i dołożył jeszcze maszynie od siebie, ciskając w nią butelką, by śmierć wroga była pewniejsza.

Czołgi płonęły na szosie, inne jednak zmieniwszy kierunek sunęły przez pole, usiłując przedostać się na zakręt szosy. Filczenko, Odincow i Parszin, unikając ognia nieprzyjaciela, który walił kartaczami z nadjeżdżających czołgów, uskoczyli do pobliskiego okopu i przeszli do blindażu.

W mroku, panującym w schronie, Filczenko przyjrzał się uważnie towarzyszom. Odincow i Parszin dyszeli ciężko, twarze ich pokryte były sadzą i brudem ziemnym, ale oczy ich jaśniały siłą i nieugaszoną zaciekłością walki.

— Jak tam, Jurku? — spytał Filczenko Parszina.

— Idzie jakoś, — odpowiedział zachrypniętym głosem Parszin. — Chodź, zatrzymamy je wszystkie, nie ma co się bać, widziałem śmierć i otrzaskałem się z nią.

W podnieceniu, nie wiedząc, co ma czynić i jak się opanować, Parszin sczerniałą dłonią gładził ziemną ścianę blindażu.

— Chodźmy, dowódco, będziemy ich łupić! Co oni z nas zrobili — stałem się zwierzakiem... Żeby mi nasypać do gęby prochu i naboi, własnym brzuchem bym ich wysadzał w powietrze.

— Wiesz przecież sam, naboi już nie ma, — powiedział Filczenko i zdjął z ramienia karabin.

Odincow drżał z żalu i wściekłości.

— Idę na śmierć — powiedział cicho.

Wróg huczał już blisko. Filczenko w milczeniu, mocno przywiązał sobie do pasa granat, a dwa zostawił towarzyszom. Prócz tych ostatnich trzech granatów, do walki z wrogiem nie pozostało im już nic. Toteż teraz nie wolno było chybić lub uderzyć niedość silnie: uderzenie musiało być celne i śmiertelne.

Filczenko nic towarzyszom nie rozkazał, wyszedł z blindażu i znikł w łoskocie strzałów armatnich nadciągających czołgów, w chrzęście ich maszyn, miażdżących kamienie przydrożne. Doczołgał się do zakrętu szosy i zastygł w oczekiwaniu.

Odincow i Parszin, podobnie jak Filczenko, uwiązali po granacie do pasów i wyszli na spotkanie maszyn. Ujrzeli Filczenkę leżącego przy zakręcie drogi, tam gdzie powinny były zjawić się czołgi, wymijające uszkodzone maszyny, i przyczaili się w fałdzie ziemi. Rozumieli, że najważniejsze teraz jest zachować życie jeszcze przez kilka choćby minut, i ochraniali je z bojaźnią i ostrożnością.

Filczenko także się bał, bał się, że zmylił rachunek, i że czołgi nie wyjdą na szosę, lecz pójdą zboczami po tamtej stronie. A zanim on przebiegnie przez szosę i dotrze do maszyn, rozniosą go z kaemów i umrze jak głupiec, naiwne zwierzątko, ku uciesze wroga. Dręczył się, wsłuchując się w coraz bliższy warkot maszyn po tamtej stronie nasypu, i bał się, że ominie go ostatnie jego szczęście.

Z maszyn strzelano teraz rzadziej i tylko z armat, ostrzeliwując tę linię obronną, która była bliższa Sebastopola, za plecami marynarzy. Na skrzydłach bez przerwy słychać było karabiny i automaty: niewielkie oddziały marynarzy czarnomorskich odpierały tam nacierających Niemców.

Czołg idący na przedzie przetoczył się przez szosę jeszcze przed zakrętem i począł zjeżdżać na tę stronę nasypu, gdzie znajdował się Filczenko. Dowódca maszyny chciał widocznie przełamywać linię obrony od strony ugoru.

Potężna, ciężka maszyna zwolniła bieg i ostrożnie teraz zjeżdżała ze zbocza.

Filczenko uniósł głowę — nadeszła chwila, by uderzyć na ten czołg i umrzeć samemu. Serce mu się ścisnęło z żalu za życiem. Czołg spełzł już z nasypu i Filczenko zobaczył koło siebie żywy gorący kadłub miażdżącego dręczyciela, i tak niewiele było potrzeba, by go nie stało, by zmieść z oblicza ziemi w śmierć to ponure żelastwo, dławiące dusze i kości ludzkie!

I wtedy drgnęło serce Mikołaja Filczenki w swej wyzwolonej sile i szalonym zachwycie. Przed nim, obok niego było jego szczęście i szczyt jego życia, a on namiętnie teraz przeżywa to życie, przypadłszy do ziemi ze łzami radości, bowiem sama miażdżąca śmierć padnie za chwilę bez sił na ziemię z woli jedynie jego serca.

Powstał, zrzucił kitel i w jednej sekundzie znalazł się przed biegnącymi na niego z góry twardymi żebrami gąsienic dyszącej na samotnego człowieka ogniem naprężonego motoru maszyny. Filczenko zmierzył się od razu całym ciałem, nawykłym do posłuszeństwa, i rzucił się między piołuny pod miażdżącą gąsienicę, w poprzek jej biegu. Wycelował dobrze, — tak, by granat, uwiązany do jego brzucha, wypadł pośrodku

szerokości łańcucha biegu gąsienicy — i przypadł twarzą do ziemi w ostatnim uścisku pełnym ukochania i ufności.

Parszin i Odincow widzieli, co zrobił Filczenko. Widzieli jak na jego kościach zatrzymał się wstrząśnięty przez wybuch czołg.

— Kola umarł, — powiedział Odincow. — Czas i na nas.

Pięć czołgów ukazało się na szosie i poczęły zwolna spuszczać się po zboczu, wymijając rozbitą maszynę.

Dwaj marynarze wstali.

— Danił! — rzekł cicho Parszin.

— Jurek! — odpowiedział mu Odincow.

Jak gdyby jeden drugiego obejmował sercem, by nie zapomnieć i nie rozłączać się w śmierci.

Pobiegli w stronę czołgów zataczając półkole, by zderzyć się z nimi pierś w pierś. Ale Odincow padł na ziemię, zanim zdążył zetknąć się z maszyną, bowiem strzelec z czołgu zupełnie już zbliska zasypał z kaemu ołowiem pierś marynarza. Umierając, Odincow wytężył ostatek niknących sił i poczołgał się w kierunku maszyny — i gąsienica zmiażdżyła go wraz z granatem, obracając człowieka w ogień i grzmot wybuchu.

Parszin podbiegł do drugiego czołgu, chwycił za poręcz i zdążył przejechać się chwilę na cudzej maszynie; potem usłyszawszy wybuch na ciele Odincowa, puścił poręcz i wybiegł naprzód przed czołg. Następnie zrzucił kitel, poczekał, aż czołg zbliży się do niego i swobodnym, odmierzonym ruchem podłożył się pod gąsienicę.

Reszta ocalałych jeszcze czołgów zatrzymała się na szosie i na jej zboczach. Potem zaczęły pracować gąsienicami, dążąc ku sobie, i zawróciły przez pole do swego schronu za wzgórzem. Mogły walczyć z najstraszliwszym nawet przeciwnikiem, ale walki z ludźmi wszechpotężnymi, z ludźmi, którzy sami wysadzają się w powietrze, by uśmiercić wroga — przyjąć nie mogły.

I oto skończyło się wszystko. Fizylierzy niemieccy, którzy obchodzili od skrzydeł pole walki czołgów z marynarzami, umilkli już przedtem: jedni padli, inni okopali się.

Tam, gdzie walczył oddział pod dowództwem kierownika politycznego Filczenki, widać było jedynie umarłe czołgi, i jedynego żywego człowieka. Przy życiu pozostał jedynie Wasyl Cybulko. Wiedział, że rychło umrze, ale tymczasem żył jeszcze. Doczołgał się do krawędzi szosy, nieco dalej od miejsca, w którym czołgi stoczyły bitwę z jego towarzyszami, i widział wszystko prawie, co się tam działo.

9*

Teraz zobaczył, jak ze stanowisk obrony zdąża w rozsypce ku szosie nasza formacja wojskowa. Krew upływała, siły opuszczały Cybulkę i chwilami widział wszystko wyraźnie, to znów światło przed nim gasło i wpadał w omdlenie.

Kiedy znowu się ocknął, ujrzał ludzi dokoła siebie, i poznał między nimi komisarza Łukianowa. Ludzie opatrzyli Cybulkę, potem wzięli go na ręce i nieśli w stronę Sebastopola. Dobrze mu było na rękach żołnierzy i jak mógł, opowiedział im i Łukianowowi, który także go niósł, o wszystkim co dziś widział. Nie zdążył jednak opowiedzieć wszystkiego, bo umarł.
